

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr II/434

1983



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

P. ZNAWCA: **W OCZACH SOWIETÓW**

M. BRÓŃSKI: **SYTUACJA W AFGANISTANIE**

Z. BARTNICKI: **KRYZYS GOSPODARCZY W PRL**

A. STEINSBERGOWA: **SPRAWA KSS "KOR"**

ŚWIADECTWA W SPRAWIE ADAMA MICHNIKA

SPIS RZECZY

Redakcja <i>Kultury</i> :	<i>Nagroda Pokoju Nobla dla Wałęsy ..</i>	3
Redakcja „Mazowska”:	<i>Rozmowa optymistyczna</i>	4
Sławomir Mrożek:	<i>Dramat trwa</i>	9
Roman Zimand:	<i>Gatunek: podróż (dok.)</i>	13
W I E R S Z E		
Witold Wirpsza:	<i>Oskarżyciel</i>	31
—	<i>17 Grudzień</i>	33
György Gömöri:	<i>Niespokojne lato</i>	34
Antoni Orzech:	<i>Wróbel... — „Jest”</i>	35
Tadeusz Szymba:	<i>Wystaliśmy ten przyjazd... ..</i>	36
ARCHIWUM POLITYCZNE		
P. Zławca:	<i>W oczach Sowietów</i>	37
M. Broński:	<i>Sytuacja w Afganistanie</i>	42
K R A J		
Zdzisław Bartnicki:	<i>Kryzys gospodarczy w PRL</i>	48
Mateusz:	<i>Święto i dzień powszedni polskiej walki o niepodległość</i>	87
Aniela Steinsbergowa:	<i>Sprawa KSS „KOR”</i>	100
Bettino Craxi, Zb. Brzeziński:	<i>Świadectwa w sprawie Adama Michnika ..</i>	107
SPRAWY I TROSKI		
Ryszard Zakrzewski:	<i>Jeszcze o Bibliotece Polskiej w Londy- nie</i>	109
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	115
Andrzej J. Chylecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	121
KRONIKA KULTURALNA		
Józef Czapski:	<i>Z naprzeciwka</i>	125
KSIĄŻKI		
Andrzej Suss:	<i>„Siła i zasada” Zbigniewa Brzeziń- skiego</i>	131
Konstanty A. Jeleński:	<i>Jestem Miłozsem, Miłozsem być mogę... ..</i>	137
—	<i>Nadane nowości wydawnicze</i>	143
◆		
Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	145
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz kroniki Francuska i Kanadyjska</i>	146
◆		
—	<i>Z ostatniej chwili</i>	153
—	<i>Ratujmy Sacharowa</i>	153
◆		
B. Wojaś, A. Lepszy, K. A. Je- leński, W. Sikora, St. Żo- chowski:	<i>Listy do Redakcji</i>	155

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad - Novembre **1983**

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Ada i Jerzy Bajor, Longmeadow, MA (USA) — zamiast kwiatów na grób Stanisława Kwiatkowskiego, wiernego i stałego czytelnika <i>Kultury</i> , zmarłego w sierpniu 1983 r. na Florydzie — \$25,00	F. 200,00
Aleksander J. Bragiński, Pittsburgh, PA (USA) — zamiast kwiatów na grób Danuty Zawadzkiej, zmarłej w Providence, R.I. 1 września 1983 r. — \$30,00	F. 240,00
M. Dent, Calgary, Alta (Kanada) — \$ c. 25,00	F. 160,00
Dla uczczenia pamięci dr. Seweryna Wilk-Wilczyńskiego w 5-tą rocznicę Jego śmierci — Zona i Syn (Västerås, Szwecja) — Krs 200,00	F. 200,00
Ignacy Fonberg, Johnesborough, TN (USA), po raz 3-ci — \$ 48,00	F. 384,00
J. & A. Gombińscy, Londyn — dla uczczenia pamięci dr. Stanisława Gombińskiego	F. 500,00
Józef i Claude Handelsmanowie, Paryż — zamiast kwiatów na trumnę śp. Barbary Palestrowej	F. 500,00
Stefan Jachna, Parsippany, N.J. (USA), po raz 6-ty — \$ 100,00	F. 800,00
Tadeusz Knapkiewicz, Winterthur (Szwajcaria), po raz 11-ty Fr. szw. 105,00	F. 395,00
Czesław Miłosz, Berkeley, CA (USA), po raz 3-ci	F. 733,80
Adam Nasielski, Cooma North, NSW (Australia), po raz 11-ty	F. 500,00
Andrzej Podbielski, Nowy Jork — zamiast kwiatów na grób zmarłego w Londynie Janusza Prawdzic-Szlaskiego, dowódcy Okręgu Nowogrodzkiego A.K. — siostrzeniec	F. 400,00
Pamięci Wacława Zyndram-Kościałkowskiego w Dzień Zaduszny — Zona (Laloubère, Francja)	F. 100,00
Parafia Matki Boskiej Częstochowskiej, Stirling Hts., MI (USA) — \$ 8,00	F. 64,00
Th. Romer, Montréal, Qué. (Kanada) — \$ c. 21,00	F. 134,40
Henryk Sienkiewicz, Nowy Jork — \$ 36,00	F. 288,00
Płk Jan Woźniak, Londyn, po raz 9-ty — £ 20,00	F. 240,00
Zamiast kwiatów na grób Marii Wartekiej — Rodzina w Lundzie	F. 100,00
Aleksander Zurko, Footscray, Vic. (Australia) — \$A. 40,00	F. 244,00
Władysław Żeleński, Paryż — dla uczczenia pamięci dr. Stanisława Gombińskiego, zmarłego 25 sierpnia 1983 w Paryżu, serdecznego przyjaciela, świetnego prawnika, doradcy i pomocnika w staraniach o ujawnienie sprawców mordu profesorów lwowskich we Lwowie w lipcu 1941 roku	F. 500,00
Anonimowo z Londynu — £ 10,00	F. 120,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA NSSZ „SOLIDARNOŚĆ”

Edward Gil, Toronto, Ont. (Kanada) — na „Solidarność” w Kraju — \$ c. 50,00	F. 320,00
Grupa Robocza „Solidarności” w Kolonii — pieniądze uzyskane z akcji ulicznych w Kolonii i w Krefeld — nadesłał Marek Poliński	F. 2.745,45
Aleksander i J. A. Kałużny, Naples, FL (USA) — \$ 100,00	F. 800,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 160)

Nagroda Pokoju Nobla dla Wałęsy

Z różnych krajów świata płyną od przedstawicieli kultury i nauki, od działaczy religijnych i działaczy związków zawodowych listy do Oslo, do norweskiego Komitetu Pokojowej Nagrody Nobla, których autorzy wysuwają do niej w tym roku kandydaturę Lecha Wałęsy. Nie ma ani powodu, ani potrzeby ukrywać, że inicjatywa zawdzięcza sporo *Kulturze*. Nie warto też trwonić słów dla uzasadnienia, że przyznanie Wałęsie, a w jego symbolicznej już osobie wszystkim działaczom NSZZ i całej w ogóle „Solidarności” tego wysokiego odznaczenia byłoby jedną z najsprawiedliwszych decyzji norweskiego komitetu. W ciągu półtorarocznego zaledwie istnienia Solidarność przeprowadziła zdumiewającą, budzącą powszechny podziw i powszechną nadzieję walkę *pokoju* o wolność swego kraju i o godność ludzkiej pracy. Nie przelano ani jednej kropli krwi, nie wzywano nigdy do przemocy i gwałtu, świat zobaczył spokojną, stanowczą, uczciwą, czystą twarz milionów ludzi; tę samą twarz, którą miał okazję przelotnie ujrzyć podczas podróży Jana Pawła II do Polski. Krew, żołądacką przemoc, policyjny gwałt przyniósł dopiero dzień 13 grudnia 1981 roku. I widmo wojny przeciw własnemu narodowi. Kto zatem godny jest dzisiaj noblowskiej Nagrody Pokoju bardziej od przywódcy robotników polskich, więzionego przez reżym wojskowy? Kto bardziej był jej niegdyś **godny od Ossietzky’ego**, więzionego przez wojenny reżym hitlerowski? Jeśli słowo „pokój” ma zachować jakiś sens, inny od sensu nadawanego mu przez Moskwę i jej etatowych „pacyfistów” na Zachodzie, sędziowie w Oslo nie zawahają się w swym wyborze.

REDAKCJA „KULTURY”

16 sierpień 1982 r.

* W związku z przyznaniem Lechowi Wałęsie Nagrody Pokoju przedrukujemy nasz apel, który ukazał się w numerze wrześniowym *Kultury* z ub. roku. (Red.)

Rozmowa optymistyczna

(Z SZEFEM JEDNEJ Z PODZIEMNYCH STRUKTUR REGIONU MAZOWSZE)

REDAKCJA „MAZOWSZA”: — *Półtora roku temu stworzyłeś jedną z najsprawniej działających struktur w regionie. Jak dziś oceniasz sytuację podziemia?*

ODPOWIEDZ: — Uważam, że sytuacja jest bardzo dobra. Dramat w tym, że wiele osób tego nie zauważa. Naszym największym zwycięstwem jest fakt, że dziś, przed rokiem 1984, po 35 latach komunizmu — istnieje podziemie mające własne centrum, wydające prasę o nakładach niektórych tytułów nawet do kilkudziesięciu tysięcy, utrzymujące kontakty z polską emigracją niepodległościową. A policja dysponująca nieograniczonym budżetem, rzucająca setki ludzi na poszczególne obławy nie jest w stanie złapać Bujaka. Jest to również przełomowe, jak ten moment w sierpniu, kiedy Jagielski pojechał do Gdańska, żeby rozmawiać nie z jakimś facetem, ale z przewodniczącym MKS-u.

P.: — *No tak, ale amnestia jest często odbierana jako sygnał, że władza się podziemia nie boi.*

O.: — Amnestia była naszym sukcesem, a nie aktem łaski władz. Internowanie tysięcy działaczy, drakońskie wyroki po 13 grudnia miały rzucić ludzi na kolana, tymczasem tylko ich rozdrażniły i zmobilizowały. Następnie władza zaczęła dawnować represje licząc, że polityka liberalnego terroru ograniczy opór. Ale i to się nie sprawdziło. Ani nas nie zastraszyli, ani nie pozyskali komunistycznym liberalizmem. Więc teraz liczą na to, że poluzowując zdofają nas rozbić i rozmydlić sprawę. Czy to się uda? Według mnie — nie.

P.: — *Faktem jest, że ruch oporu jest coraz mniej masowy.*

O.: — Od początku uważałem, że ludzi do roboty w podziemiu musi być mało. Na dłuższą metę niemożliwe jest, by tak duży procent społeczeństwa na co dzień zajmował się polityką. Okres po Sierpniu był pod tym względem wyjątkowy — był to czas rewolucji. Jak to ktoś napisał, masowa konspiracja udać się nie może. Wystarczy, że społeczeństwo będzie się identyfikowało z twardym jądrem Solidarności, które zeszło w podziemie. Rolę referendum, czy wyborów, których nie ma, spełniła manifestacja na trasie pobytu Papieża czy 31 sierpnia. To jest ten wybór, którego dokonuje polskie społeczeństwo, jego wypowiedź.

P.: — *Ale ludzie się wykruszają, odczuwa się pewne zmęczenie...*

O.: — Wydaje mi się, że władza sprytnie wstrzeliła się w moment. Otóż ci, którzy wzięli się za konspirację z pierwszego impulsu, powodowani emocjami, ci których pociągnęła romantyka i egzotyka konspiracji, ci wszyscy czują się zmęczeni lub rozczarowani, bo okazało się, że konspiracja to nie podchody z władzą, a ciężka, żmudna praca. Do nich w gruncie rzeczy skierowana jest oferta ujawnienia się, czyli w istocie zrezygnowania z działalności. Nie mówię tu o pojedynczych ujawnianiach po dużych wpadkach, takich jak Hardka, bo to jest, jak powiedział Zbyszek Bujak, „wielka strata, ale straty możemy na razie uzupełnić”.

Kiedy w marcu 68 zamknięto Kuronia i jego współpracowników, to ówczesne mini-środowisko opozycyjne zostało na kilka lat sparaliżowane. Dzisiaj posadzono o wiele więcej ludzi, ale reszta działa. Wychodzą z więzienia często silniejsi, bogatsi w doświadczenia. Uświadomili sobie, że policja istnieje na pewno, co nie dla wszystkich było przedtem jasne, a z drugiej strony, że nie jest ona wszechmocna. Dla większości początkujących w konspiracji istniały tylko dwa stany: albo policja nie wie o nich nic, albo ma ich w swoich rękach. Tymczasem typowy jest stan pośredni. Policja coś wie, ale zbyt mało, aby uniemożliwić nam działanie.

Władza wierzy, że tak jak na początku lat 70-tych zamknie elitę i społeczeństwo zacznie powoli zamierać. Nie chce zrozumieć, że czasy „S” wychowały ileś kolejnych elit, gotowych nadstawiać głowy.

P.: — *Czyli uważasz, że Polski nie da się znormalizować, że opór jest celowy. Dlaczego wraca wciąż sformułowanie o kryzysie podziemia?*

O.: — Bo co jakiś czas wraca na wokandę pytanie: „Czy to, co robimy, ma sens?”. To nie objaw kryzysu, a dowód, że mamy — w odróżnieniu od komunistów — dystans do tego co robimy. (Oni mogą bez zbytecznego zadawania sobie takich pytań robić rzeczy bez sensu). To pytanie władza obraca przeciw nam, próbując wmanipulować nas w kampanię ujawnień.

Mamy rządy dziennikarzy, ludzi którzy całymi latami zajmowali się czystą manipulacją propagandową. My niestety nie umiemy propagandowo wykorzystywać naszych zwycięstw i sensownie amortyzować naszych klęsk. A władza robi to nieźle. I w odróżnieniu od nas nie robi pewnych błędów. Jeśli TKK z okazji wizyty Papieża wzywa do tego, żeby nie było żadnych akcji protestacyjnych, to podkłada się propagandowo. Bo teraz wyłącznie od drugiej strony zależy, czy transparenty „S” żądające wolności i wyrażające marzenia niepodległościowe całego narodu będą interpretowane jako akcja protestacyjna czy jako strzelisty akt wiary religijnej. TKK w wielu wypadkach nie wykorzystuje tych oczywistych atutów, które społeczeństwo i oni jako niekwestionowani przywódcy mają w ręku. Tymczasem druga strona dyskontuje wszystko, łącznie ze swoimi błędami, które próbuje zamienić w sukces. Przecież jeśli Rakowski jedzie do Gdańska, żeby przeciwstawić się człowiekowi, który według rządu jest osobą prywatną, to sam sobie zaprzecza. Nie jest osobą prywatną ten, któremu trzeba dawać odpór publicznie na konferencji transmitowanej przez TV. Jedynym rozwiązaniem zadowalającym dla Moskwy i tak byłoby dopiero wkroczenie grupy ubeków i „wyaresztowanie” Wałęsy i jego otoczenia na sali. Wszystko inne jest tylko dowodem rewizjonistycznego odchylenia tow. Rakowskiego. Władze zmuszone do takiej konfrontacji i nie mogące dać społeczeństwu mata ponoszą klęskę. Obecny pat jest naszym sukcesem.

P.: — *Wielu ludzi uważa jednak, że to władza jest stroną wygrywającą w sytuacji społecznej blokady.*

O.: — „Solidarność” była próbą spokojnego, pokojowego rozwiązania konfliktu między władzą a społeczeństwem. Ponieważ wszelka działalność Związku była blokowana — to, co wydawało się rozwiązaniem, stało się kolejnym patem. Tyle że — i to jest nasza wygrana — ten pat jest na coraz wyższym poziomie, coraz więcej sfer życia wymyka się władzy z rąk i są to zjawiska na coraz większą skalę. I tak może się okazać, że władza zmuszona będzie ustępować, realizować nasze solidarnościowe postulaty, ponieważ w różnych sferach traci wpływ na rzeczywistość. Nigdy się do tego nie przyzna, ale godzi się na fakty dokonane. Już teraz np. praktycznie uznaje częściową reparytyzację. Uznaje również — co nie znaczy, że Urban publicznie to oświadczy — opozycję i niezależne wydawnictwa. Na początku wojny człowiek za kilka ulotek mógł zarobić 3 lata. Dziś dużo szybciej wychodzi z więzienia złapany z kilkuset gazetkami czy książkami. Wracamy więc do sytuacji sprzed Sierpnia, tylko że teraz obieg niezależnej informacji jest nieporównywalnie szerszy. Niby mieli przewagę, ale znów wstawiliśmy ich w pata. Kolejna partia nie skończyła się ich wygraną. A w każdej następnej będzie coraz lepszy dla nas układ sił.

P.: — *No dobrze, a Kreml?*

O.: — Moskwa stoi i jeszcze przez 10-15 lat będzie stała przed dylematem, czy rozpętać wojnę światową, czy lawirować, „iść na odprężenie”, żeby zyskać zastrzyk technologii, który uratuje ją przed sklerozą ekonomiczną. Rosjanie — jak zwykle — prowadzą inteligentną i wszechstronną politykę zagraniczną. Są wciąż przygotowani na oba warianty. Skończył im się Bliski Wschód, to wzięli się za Amerykę Środkową, co spowodowało, że już można obawiać się o Meksyk. A gdy będą mieli Meksyk, to już całkowicie zmieni się układ geopolityczny. Jeśli chodzi o drugi wariant — odprężenie — to Moskwa nadal liczy na sfinlandyzowanie Europy i kusi Niemców zjednoczeniem na swoich warunkach.

Zachód już jednak zaczyna rozumieć, co znaczy polityka pokojowa w wykonaniu Rosji. Po raz pierwszy płaci za Jałtę. Uświadamia sobie, że alianci oddali nie jakieś tam kraje w Europie Środkowej, ale kraje, które oddzielały ich od rosyjskiego mołocha. Polska przestała być dla nich egzotycznym krajem, zobaczyli, że taki sam naród jak ich własny walczy o zrozumiałe dla nich cele. Pomogliśmy im więc zrozumieć, że stawką w tej grze są oni sami, że rozwiązanie problemu niepodległości krajów Europy Środkowej i Wschodniej nie można odsuwać w nieskończoność. Nadzieja? Paradoksalnie napawa nią prosty fakt, że Zachodowi woda podchodzi do ust i nie ma się już dokąd cofać.

P.: — *Co robisz? Jak długo zamierzasz siedzieć w podziemiu?*

O.: — Zaraz, zaraz... Po pierwsze, jak głosi definicja z „Małego konspiratora”, podziemie jest na powierzchni, tylko że nie tej po której chodzi bezpieczeństwa. Nie siedzę w żadnej piwnicy. A po drugie nikt z nas się nie poświęca, każdy żyje dla siebie. I nigdy życie w Polsce nie było tak ciekawe. Trzeba robić to, co się umie, i robić to dobrze. W dowolnej skali, ale coś sensownego. O ile w pierwszym okresie obowiązywał etos walki, zrywu — ciągła improvisacja, to teraz trzeba podejść do tego jak do ciężkiej pracy. Jan Józef Lipski w swojej książce o KOR-ze opisał tamte czasy jako cztery lata ciężkiej harówki. Efekty na dłuższą metę muszą być wynikiem ciężkiej pracy. „Solidarność” była niezłym efektem. Naszym największym zagrożeniem jest to, że ludziom zabraknie wytrwałości — cnoty dość u nas rzadkiej.

Jedynym sensownym sposobem na życie jest terapia zajęciowa. Trzeba określić sobie cele cząstkowe: wydawanie gazety, strajk ekonomiczny, uczciwe wybory do samorządu, zdobycie terenu na cele budowlane, powołanie spółki handlowej w jakiejś wsi. Akcja w takiej konkretnej sprawie winna się w umysłach ludzi „S” łączyć z celami ogólnymi. Nie od dziś wielkim pro-

blemem opozycji jest to, że licytujemy się na wielkie hasła, a nie umiemy przywiązać się emocjonalnie do celów pośrednich. W Hucie Lenina nie można walczyć bezpośrednio o niepodległość Polski. Można jedynie walczyć o to, aby ją przybliżyć.

Powyższy artykuł ukazał się w 62-gim numerze „Tygodnika Mazowsze” z 22 września 1983.

DRUKARZOM...

Zmienia mieszkanie.
Nieraz z trwogą wsłuchuje się
w pukanie do drzwi.
Gdzie schować stos pachnących
świeżą farbą gazetek?
A gdzie powielacz?
Tajny drukarz.
Jutro, pojutrze może go dopadną
zamkną w więzieniu.
Inny przyjdzie na jego miejsce.
Głodu prawdy kłamstwo nie nasyci.
Potrzebni są ludziom.
Pomyśl o nich czasem!

Meh Naluri

Redakcja Kultury przyjmuje wpłaty na Fundusz Drukarski im. Władysława Głowackiego. Szczegóły podaliśmy w październikowym numerze Kultury.

Dramat trwa

Powieść i dokument jednocześnie. Biografia autora nie da się oddzielić od beletrystyki, a dramat epoki wyrażony jest dramatem jednostki. Dramat takiej wielkości, że nie mieszcząc się li-tylko w ramach uwarunkowań historycznych, psychologii i akcji, staje się pytaniem o sens bytu. Pytaniem metafizycznym. Mowa tu o najnowszej książce Heinricha Lödla pt. „Po południu też nie jest jasno”.

Już pierwsze rozdziały opisujące duszną atmosferę mieszczaństwa, dzieciństwo i wczesną młodość autora zapowiadają konflikt, którego epilog (lecz czy epilog?) stanie się jednocześnie konkluzją utworu. Spotykamy tu doskonale zarysowaną postać ojca (profesora Franza Lödla), przedstawiciela klasycznego humanizmu, tak bezsilnego wobec społecznych zagadnień dwudziestego wieku, uczestniczący w rosnącym rozczerowaniu, a potem buncie młodego Lödla wobec zastarzałych dogmatów tradycyjnej humanistyki. „Powietrza, powietrza” — notował siedemnastoletni Lödl. — „Czyż nigdy nie ruszymy z miejsca?”.

Jego wrażliwość na zjawiska dnia nie pozwoliła mu zastygnąć w kręgu teorii. „Dotąd filozofowie wyjaśniali świat, teraz chodzi o to, żeby go zmienić” — cytował za Marksem, z którym zapoznał się w konsekwencji wczesnego zafascynowania heglizmem. Jednakże nie tylko cytował, lecz dalsze wyciągał wnioski. Marksistowski scjentyzm tylko częściowo mógł go zadowolić. „Umysł syty, serce na pół nasycone, lecz dłonie wciąż próżne” — notował. — „Ekonomia polityczna nie zastąpi nam czynu. Nie przeszłość, nie przyszłość, ale gorące dzisiaj jest człowieczym żywiołem. Nie zimne spirale węża historii, nie papier statystyk, lecz płomień uczucia i żelazo woli — oto rzeczywistość”.

A dalej:

„Nawet jeżeli zmurszały świat burżuazji rozpadnie się nie-

uchronnie, gdy nastąpią tektoniczne ruchy społeczeństw czyli przyrody, która przybrała formę ludzkich mas — to jednostka nie może żyć oczekiwaniem, aż podziemna praca law objawi się wulkanami, nie może żyć tylko pewnością, że oto z oceanów wyłonią się znów lądy, a łańcuchy górskie staną się dnem nowych mórz. Historia czyli natura pulsują rytmem człowieczej krwi, zaś ta krąży szybciej niż planety”.

Już przedtem interesował się myślą Barrèsa i Sorela, ale dopiero podróż do Włoch (1912) skryształizowała jego poglądy. W Mediolanie znalazł się w kręgu dziennika *Avanti*, organu włoskiej partii socjalistycznej, którego redaktorem był wybijający się przywódca ruchu Benito Mussolini, podówczas radykalny marksista. Zetknięcie się z rewolucyjnym idealizmem wcielonym w czyn polityczny, dyskusje z Vilfredo Pareto — to pozwoliło mu, jeżeli nie odnaleźć własną drogę, bo na to było jeszcze za wcześnie, to na pewno ku niej się przygotować. Notował Lödl w swoim dzienniku włoskim:

„Niezmierzona, prymordialna witalność mas kierowana precyzyjną, nieugiętą wolą i wyostrzoną jak miecz świadomością kadry rewolucyjnych przywódców — to siła, której nikt i nic nie zdoła się oprzeć. Albowiem do niej należy przyszłość, a ona do przyszłości. To przyszłość ją wzywa głosem uniwersalnej konieczności, a ona odpowiada na jej zew”. Wybuch pierwszej wojny światowej powitał Lödl jako zapowiedź zmian, do których była ona zaledwie przygotowaniem.

Jakkolwiek Lödl sympatyzował żywo z rewolucją rosyjską 1917 roku, natychmiast dostrzegł jej specyficzność. Tym samym wykazał zdumiewającą intuicję historyczną, jak to widzimy dzisiaj, u schyłku stulecia, kiedy podobna (choć przedwcześnie zaniechana) korektura społeczno-polityczna w Europie Zachodniej dokonała się inną jednak, a jej właściwą drogą. Pisał Lödl:

„Tak, po trzykroć tak śmierci kapitalistycznego potwora. Chylę czoła przed siłą, która mu zadała śmiertelny cios. My rozprawimy się z międzynarodową plutokracją równie bezwzględnie jak Lenin i Trocki, my skończymy z hańbą rodzimego kupczącego kupiectwa raz na zawsze, podobnie jak to oni uczynili. Ale my uczynimy to samodzielnie, własnoręcznie i w naszym własnym domu. Albowiem nie dzicz mongolska jest naszym dziedzictwem i nie bastardi Bizancjum, lecz Virtus Romana, śmiałość Wikinów, geniusz Charlemagne’a i pancerność Rycerzy Zakonu”.

A następnie:

„Tak, władza to jedyne rozwiązanie. Tak, władza, lecz nie w sztywnych ramach państwowości skazanej na sklerozę prędkiej czy późniejszej, nawet jeżeli zrodzona jest z rewolucji. Jedyne ruch

wiecznie żywy, wiecznie przekraczający swe własne, chwilowe granice, czyli bez granic ostatecznych, gwarantuje taką właśnie władzę, czyli władzę wiecznie żywą. Ruch i władza to jedno”.

I znów:

„Władza jest czystą energią, która działając przybiera barwy zależnie od środowiska naturalnego, w którym działa. Podobnie jak wody potężnego wodospadu przybierają barwy nieba i skał, błękitu lub szmaragdu, bazaltu lub granitu. Alpy z innego są tworzywa niż azjatycki step”.

Lata 1933-1945 potraktowane są syntetycznie. O służbie (w randze Obergruppensturmscharführera, jak dowiadujemy się z innych źródeł) wspomina Lödl jedynie mimochodem i to w formie elegijnej prozy poetyckiej, niekiedy aforyzmów. Zwłaszcza działalność Lödla na terenach wschodnich, Polski, Ukrainy i Białorusi zarysowana jest skrótowo, z podziwu godną oszczędnością środków wyrazu. Zwolennicy tanich sensacji, literatury detalu, „chronologicznej” narracji, „realistycznego” opisu będą rozczarowani. Tym bardziej zawiedzeni będą amatorzy kronik i pamiętników. I słusznie postąpił Lödl, unikając takich przestarzałych już form. Uniknął w ten sposób zwulgaryzowania tematu, a przeciwstawiając się tandetnym gustom publiczności dowiódł raz jeszcze, że jego pozycja jako myśliciela mierzącego swe siły tylko na miarę najwyższych i najbardziej ogólnych zagadnień jest niepodważalna.

Dopiero w następnych rozdziałach obejmujących okres od roku 1945 do dnia dzisiejszego, czyli okres, który sam Lödl nazywa „latami refleksji”, powraca on do metody analitycznej. Odszedł od niej tylko w środkowej części utworu i tylko po to, żeby okazać się mistrzem aforyzmu, skrótu i poetyckiej migawki. Powraca, lecz z jaką siłą, z jakim nowym, zaskakującym bogactwem. Jak w symfonii — motywy na początku rozproszone pojawiają się teraz zwarte i służą jako *matériel sonore* ostatniej, tragicznej pieśni. „Dlaczego” — pyta Lödl — „Jak to się stało, że tak czysta, tak wielka, tak uniwersalna idea, której służyliśmy z takim samopoświęceniem, z taką bezinteresownością, której oddaliśmy naszą młodość, a wielu z nas — życie, zawiodła? Czy też ona, idea, pozostała czystą jak była, a tylko po drodze pojawił się błąd? Jakieś zanieczyszczenie, skaza czy niedoskonałość, nie jej, idei, lecz nasza ludzka niedoskonałość? I czy wobec tego mamy prawo zwracać się przeciw idei, tak czystej, kiedy to nie ona, lecz my byliśmy winni? Bronię się przed goryczą. I nie tylko w swoim imieniu, lecz także dla pokoleń, które po nas następują. Albowiem nie materialne ruiny są najgorszym nieszczęściem ludz-

kości, lecz utrata wiary w to, co ludzkość ma najwyższego, najświętszego, najbardziej doskonałego: wiary w uniwersalną ideę”.

Trudno bez wzruszenia czytać te słowa. Osobisty dramat Lööla jest centralnym dramatem naszej epoki: dramatem rozczarowanego idealisty. Jego cierpienie — największym cierpieniem naszych czasów, zwłaszcza w literaturze. Lecz jakże po męsku je znosi. I dzięki jego heroicznej postawie tragedia nie przeradza się w rezygnację i rozpacz. Więc czy naprawdę można mówić o rozczarowaniu? Odwaga Lööla w stawianiu owych pytań, jego nadzieja mimo wszystko, że doświadczenie nie zniszczy ideału, jest dla nas źródłem optymizmu.

Sławomir MROŻEK



LACHMANN GALLERY

POSIADAMY OBRAZY OLEJNE, AKWARELE
I RYSUNKI NASTĘPUJĄCYCH MALARZY:

S. Czajkowski, T. Czyżewski, J. Fałat, S. Filipkiewicz,
H. Gotlib, L. Gottlieb, A. Grottger, A. Gieryski,
M. Kisling, A. Wierusz-Kowalski, J. Matejko, J. Mehoffer,
Z. Menkes, J. P. Norblin, A. Orłowski, W. Podkowiński,
Z. Pronaszko, H. Siemiradzki, A. Szyk, E. Żak i inni.

Galeria gwarantuje autentyczność
wszystkich prac.

LACHMANN GALLERY

704 Paterson Ave., E. Rutherford, N.J. 07073, USA

Tel.: 201-438-1845

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en l'Île — 75004 Paris

Métro: Pont Marie.

Tél.: 326-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE • KSIAŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI • PRZEKŁADY Z JEZY-
KA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.

Katalogi bezpłatnie wysyłamy na każde żądanie.

Gatunek : podróż (dok.)*

XV

Znalazłem się na Zielonej, obok szkoły. Przez Pola i Gosiewskiego doszedłem do Domagaliczów, gdzie mieszkała ciocia (a właściwie kuzynka) Hania. Jej córkę, Lilkę, młodszą ode mnie o cztery lata, woziłem w wózku, może niekoniecznie najdelikatniej, ale na pewno szybko. Nie zaszkodziło jej to, choć nie pomyślałbym się do suponowania, iż właśnie dlatego została lady S., czyli żoną Sira S. Prywatnie nazywam ją serową. Tyły kamienicy, w której mieszkała ciocia Hania, i kuchenny ganek naszego mieszkania sąsiadowały z sobą. Ale tak naprawdę to Gosiewskiego, Domagaliczów, Ochronek i w ogóle cały ten kwartał między Zieloną a Piekarską był ciekawy nie ze względów rodzinnych, lecz z uwagi na asfaltowe jezdnie i stosunkowo niewielki ruch. To pozwalało rozszerzać zakres wolności, tzn. jeździć na rowerze po coraz większej przestrzeni.

Więc przeszedłszy obok cioci Hani doszedłem do Piekarskiej, gdzie niedaleko placu Bernardyńskiego, po lewej idąc w górę, mieszkał jej ojciec, starszy brat mego ojca, wujek Ajzik. Od niego dostałem w podarunku pierwszy modlitewnik i mimo, iż nie umiałem czytać w żadnym języku, odmawiałem wieczorem *Szema*, zaś rano *Mode ani* z modlitewnikiem w rękę. Bardzo sam sobie imponowałem. Panu Bogu zapewne mniej.

Na rogu Piekarskiej i placu Bernardyńskiego mieścił się lokal nocny o nazwie — nie wiem czy oficjalnej — Piekiełko. Tam...

* Dokończenie artykułu z Nr. 10/433 *Kultury*. Jak już zaznaczyliśmy poprzednio przedrukujemy go z jednego z krążących po kraju odpisów.

XVI

Nie, to trzeba zacząć inaczej.

Kilka razy do roku ojciec zabierał mnie do Kamionki Strumiłowej, a ściśle do Batiatycz pod Kamionką, gdzie stał nasz tartak i fabryka parkietów. Pociąg odchodził z Podzamcza około 6-tej rano i ojciec uważał, że na dworzec jeździ się tramwajem (właśnie z placu Bernardyńskiego). Podobnie jak za naturalne uważał, iż jedziemy trzecią klasą. Do głowy mu nie przychodziło, że można zamówić fiakra (mnie możliwość ta rysowała się niejasno), a tym mniej, że — w latach kiedy mieliśmy samochód — można szoferowi kazać wstać o świcie i zjechać po nas. Po prostu uważał, że tramwaje służą do jeżdżenia niezależnie od tego, ile ma się pieniędzy. (Myślę też, że ładnych parę lat pracował najpierw na to, by móc wydać bez chwili wahania ileś tam halerzy na bilet kolei elektrycznej). Za równie oczywiste jak posługiwanie się tramwajem uważał, iż na miejscu czeka na nas stangret Franc z bryczką zaprzęzoną w ulubione kasztany.

Otóż któregoś ranka, miałem nie więcej niż 7 lat, znalazł się właśnie na rogu Piekarskiej. Z „Piekietka” wychodziło jakieś towarzystwo. Nagle usłyszałem wysoki, przenikliwy krzyk. Obejrzałem się i zobaczyłem, że krzyczy chwiejąca się kobieta w długiej sukni. Przeraziłem się, po prostu strasznie przeraziłem się. Tak, iż złapałem ojca za rękę — kiedy się ma siedem lat trzymanie za rękę dorosłych jest gestem, którego się świadomie unika — i tak już doszliśmy do przystanku.

Czy agresja — zupełnie nie erotyczna — jaką budzą we mnie pijane kobiety ma swe źródło w tamtym zdarzeniu? Prawdę mówiąc, wątpię.

Przez kilkanaście lat żyłem w sprzeniewierzeniu się prawie wszystkiemu, co wyniosłem z domu i ze szkoły. Ale nawet w owym okresie paru rzeczom byłem wierny. Między innymi stosunkowi do alkoholu.

Nie sądzę, by wszystko czego mnie uczono w dzieciństwie było słuszne. Ale większość chyba tak.

XVII

Czy to możliwe, bym cały poniedziałek spędził w bibliotece? Jest teraz czwartek i nie pamiętam, bym trzy dni temu gdziekolwiek łąził.

We wtorek wykonałem marszrutę zagranicznego turysty. Krę-

ciłem się po Rynku z przyległościami. Podwałe, Arsenał, Katedra, Kaplica Boimów, Katedra Ormiańska. Nawet teraz, przez żelazne sztachety, czy z okna sąsiedniego domu, do którego wlałem szukając *bel vedere*, widać wspaniałość jej architektury. Kiedy się ma 8 czy 12 lat to po prostu wie się, że w rodzinnym mieście jest Katedra Ormiańska. I gdzie jest. I uważa się to za oczywiste. Kościoły. Cerkiew Wołoska. Wały Gubernatorskie. Drugie gimnazjum, którego dyrektor (Buzat?) znany był pod przezwiskiem „kupiec zbożony”. Wszedłem na Kopiec Unii Lubelskiej na Wysokim Zamku. Znow znalazłem się na Rynku.

O ile mnie pamięć nie myli, to tu — przynajmniej wedle legendy — w tej kamienicy Grzybułowski ze łzami w oczach błagał króla, by nie zawierał pokoju zwanego później traktatem Grzymułtowskiego.

Adam z Kutna, z którym parę lat temu rozmawiałem na ten temat, w trakcie korekty mego przekładu robionego na zlecenie „firmy”, twierdził, że już wówczas było za późno. Jego zdaniem — a powinien się na tym znać — nie trzeba było wybierać tego cholernego Wazy, który marzył tylko o jednym: żeby osiąść na tronie szwedzkim.

Takie sobie pogaduszki w trakcie przerwy na papierosa, bo nie umiem palić i pracować.

Chętnie się z nim zresztą zgodziłem, bo od dzieciństwa nie lubiłem żadnego króla po Batorym. W szkole nigdy nie kazano mi „rozumieć” Stanisława Augusta. Toteż jego powojenna rehabilitacja budzi we mnie odruchowy opór. Pomijając inne sprawy, sentymentalna głupota jego listów do Katarzyny jest przerażająca.

Przyszło mi to na myśl, bo właśnie we wtorek, czytając *Iris*, trafiłem na recenzję Nowaczyńskiego z jakiejś sztuki o Stanisławie Augustie. Późniejszy autor „Wielkiego Fryderyka” domagał się nowego spojrzenia na ostatniego króla, uwzględnienia przede wszystkim tego, że duszę miał wykwinął i strasznie cierpiał wśród nieokrzesanych Sarmatów. Koncept kiepski nawet na sztukę teatralną.

Inna sprawa, że ówczesni Sarmaci nie mogą budzić zachwytów towarzysko-intelektualnych. Gorzej, że wyobrażenia o polityce mieli dziwaczne (łagodnie rzecz ujmując). Żywili na przykład niewzruszone przeświadczenie, że dwory europejskie patrzają na nich ze szczególnym podziwem i nie pozwolą ich skrzywdzić. Polityka zagraniczna przywódców Konfederacji Barskiej...!

Więc stoję przed kamienicą króla Jana i myślę sobie: jaki tam ze mnie turysta.

A jeśli już koniecznie, to turysta w Nekropolis.

XVIII

We wtorek zaczął się z powrotem przyjemny mróz, a we środę po południu i w czwartek do obiadu było nawet słonecznie.

We środę przez Ogród Jezuicki poszedłem pod Politechnikę. Potem włóczyłem się po Potockiego, na Bajkach, 29 Listopada, Nabelaka i po jakichś uliczkach, których nazw chyba nigdy nie znałem. Ale i tak wiedziałem, że muszę wyjść na Wólecką, a stamtąd na Kadecką Górę.

W jednej z willi na 29 Listopada mieszkali państwo V. Pani V. była najbliższą przyjaciółką matki i jej najczęstszą partnerką w koszarnej grze pt. remi-brydż. Czasami matka brała mnie z sobą na partię remi-brydża, czemu opierałem się, bo było nudno. Utkwił mi w pamięci obraz. W zalanej słońcem willi (pokój? weranda? ogród?) pojawia się nagle Lilka, córka państwa V. Musiała mieć wówczas 18-20 lat. Wysoka — dla mnie ówczesnego — niebieskooka blondynka, w białej, plisowanej spódnicy, w białej bluzce z marynarskim kołnierzem, w ręce rakieta tenisowa, na ulicy czeka samochód. Wpadłem w stan osłupionego zachwyty. Lilka V. exit.

W środę włócząc się po tych ulicach uświadomiłem sobie, że to wspomnienie jest jakby sceną z powieści Scotta Fitzgeralda. Chyba jedyną w moim życiu.

XIX

Wartość przypisywanego Talleyrandowi powiedzenia, że kto nie żył przed rewolucją, ten nie wie, co to jest słodycz życia, wydaje mi się względna. Nie bardzo wiem, co to jest słodycz życia, ale podejrzewam, że nie jest to nic takiego, w czym bym gustował.

Większość książek dowodzących, że człowiek ma być szczęśliwy jest głupia. Człowiek czasem bywa szczęśliwy. I podejrzewam, że niewiele więcej można na ten temat powiedzieć.

Skądinąd świetnie wiem, że zaplecem „sceny z Fitzgeralda”, o której wspomniałem przed chwilą, była krzywdą społeczną, nierówność, bieda. Ale żywię przeświadczenie, że wybieramy — o ile możemy wybierać — jedynie między różnymi rodzajami krzywdy i nierówności. Są lepsze i gorsze, co nie znaczy, że należy bez protestu aprobować te lepsze. Ale trzeba wiedzieć, że są lepsze.

Kiedy, bodaj w sobotę, szliśmy z Guciem przez plac Mariacki, pokazałem mu dom, gdzie mieściła się wypożyczalnia książek „Vita”, do której należałem. (Później przeniosłem się na Kopernika do „Alfy”). Okazało się, że Gucio też miał abonament w „Vicie”. Zważywszy ogrom różnicy majątkowej, która dzieliła rodziców Gucia i moich, fakt go dzien jest refleksji.

XX

Wszedłem na Kadecką Górę i klucząc między domami trafiłem na Stryjską.

Nawet park Stryjski jest mniejszy! To już zakrawa na skandal. Od wejścia u wylotu ul. Kadeckiej do źródła, przy którym umieszczono zatartą dziś tablicę poświęconą „twórcy ogrodów” Arnoldowi Röhringowi, jest zaledwie kilka minut szybkiego marszu. Cudowne źródło: kamienna miska, miedziany kurek, z którego stale płynie woda. Kolejne guwernantki i guwernerzy pilnowali bym nie pił spocony, co czyniłem z podwójną przyjemnością: gasiłem pragnienie i omijałem zakaz. Jakoś nigdy nie dostałem zapalenia płuc, którym stale mi grożono.

W parku pusto. Nie wiem, czy za obu moich bytności spotkałem dziesięć osób. Bardzo też to sobie chwaliłem.

Z parku wyszedłem na ulicę wiodącą ku św. Zofii; obok zakładu dla ociemniałych (nie, zakład dla ociemniałych był po przeciwnej stronie, a co tu było?) na Snopkowską. Na rogu Snopkowskiej i 22 stycznia mieszkał Stasiek L. Staś był mazgaj i niejadek. Przynosił do szkoły wspaniałe, obfite śniadania, które podsuwał wszystkim. Czasami, na wielką przerwę przychodziło któreś z jego rodziców, by dopilnować Stasiowego jedzenia. Ze współczuciem myślę o mękach upokorzenia, jakie musiał wówczas przeżywać.

Chciałem wyjść na św. Jacka, ale trafiłem najpierw na Tarnowskiego. Znów usiłowałem przypomnieć sobie, w którym domu mieszkała pani Terlecka: poniżej czy powyżej św. Jacka? Na pewno po parzystej stronie. Więc w sumie między 30 a 42 numerem. Zabawne: nie mogę sobie przypomnieć domu, a pamiętam, że schody zaczynały się przy lewej ścianie klatki.

Przez św. Jacka na Oficerską. Tu gdzieś mieszkał płk G. z żoną, czterema synami i córką. Pułkownika nie znałem, zaś historia pani G. i jej pięciorga dorosłych dzieci nie należy do tej podróży. Należy do innej, tej, która zaczęła się w zaryglowanym wagonie towarowym na Podzamczu.

XXI

Teksty Irzykowskiego z 1906 roku.

Zenujące wiersze, nijakie opowiadania. Dramaty i wiersze wydane w 1907 roku w Stanisławowie u Staudachera. Chwalił je w 1907 roku, w *Naszym Kraju*, St. Garysz, kpiąc z tych, którzy nie rozumieli „Pałuby”. W tymże 1907 roku Irzykowski pisze w Brzeżanach dramat w 3 aktach, „Kamerton śmierci”. Kolejny niewypał.

A w 1908 roku, w tymże *Naszym Kraju* publikuje arcyciekawą recenzję z „Wizerunku...” Grzegorza Glassa. I w sześć tygodni później „Dwie rewolucje”. Kto w końcu jest autorem powiedzenia o Młodej Polsce, która posiwała w jedną noc?

W *Iris* prozę filozoficzną pt. „Fragment z chaosu stworzenia świata” opublikowała... Lucyna Cwierciakiewiczowa. Ale cenimy ją nie za to, lecz — jak wiadomo — za słynną książkę kucharską. Któreś z jej wydań zawiera nieśmiertelne zdanie: „Nauka poszła naprzód: rosołu już się nie szumuje”.

W recenzji z książki Glassa Irzykowski pisze o „genialnym wiedeńskim psychologu dr Freudzie”. Skłonny jestem przyznać, że w 1908 roku był to sąd oryginalny.

O opublikowanym w *Iskrze* programie rosyjskiej partii socjaldemokratycznej, R.S.-D.P.R., czytelnicy popołudniówki *Wiek Nowy* mogli się dowiedzieć już 10 lipca 1902 roku. Zachodzi domniemanie, że do informacji tej nie przywiązali należytej wagi.

A Womela chyba jednak istniał. I co gorsza pisał opowiadania.

XXII

W Czwartek pojechałem do Kamionki.

Nie złość się, Ojcie: koło Teatru Wielkiego wsiadłem do taksówki. Ale z Kamionki do Batiatycz i z powrotem szedłem piechotą. I wieczorem z Podzamcza też wracałem „na pizki”.

Przyznasz Tato, że Kamionka nie była niczym szczególnie urokliwym. I dalej nie jest. Zapewne należy do tych licznych na całej kuli ziemskiej miasteczek, które zawsze i we wszystkich okolicznościach są obskurne. (Marianna twierdzi, że Heraklion na Krecie jest tak brzydki, iż nie sposób tam wytrzymać kilku godzin).

Ty byś mi pewnie, Tato, mógł powiedzieć, kto projektował kościół w Kamionce. Żeby na raz neo-romański, neo-gotycki i neo-renesansowy, to już przesada. Nawa główna jest zresztą zniszczona, a w nawie bocznej mieści się jakiś magazyn. Ocalał

ogromny, ukrzyżowany Chrystus na wieży. I nawet robi to wrażenie.

A w Batiatyczach...

Nazywa się to teraz Kombinat. Ma bramę, strażnika i budynek dyrekcji. Poszedłem do sekretarki dyrektora, powiedziałem, że jestem synem przedwojennego właściciela i że chciałbym przejść się po tartaku. Sekretarka i troje petentów wysłuchali tego z przychylnym zainteresowaniem, a petentka powiedziała, że jej ojciec pracował tu przed wojną na placu i że ma jego fotografię przy pracy.

Kiedy przyszła moja kolej, wszedłem do dyrektorskiej sali i wyłożyłem, o co chodzi. Staliśmy obaj, i dyrektor powiedział (dosłownie): My na nic takiego nie będziemy pozwalać.

Wprawiło mnie to w stan absolutnego zachwyty, a już szczególnie ta pierwsza osoba liczby mnogiej. Dyrektora widocznie też, bo powtórzył: My na nic takiego nie będziemy pozwalając.

Nie to nie, powiedziałem. Dodałem „do widzenia” i wyszedłem.

Mógłbym, Ojcie, opisać Ci tego dyrektora, ale byłby to zbyt łatwy tryumf. Ostatecznie mógł on być schludnie ubrany i wyglądać na abstynenta. Zmieniłoby to niewiele.

Spojrzałem raz jeszcze przez bramę, na byle jak ułożone stosy belek i na ścianę z cegieł. Kiedy przerabiałeś tartak z drewnianego na murowany, wlałem tam, gdzieś na wysokość drugiego piętra, Bóg raczy wiedzieć w jaki sposób, bo wysoki nie byłem nawet w wieku 11 lat. Pamiętam z jaką mieszaniną złości i przerażenia ściągałeś mnie stamtąd. A nie posłałeś żadnego z robotników, bo uważałeś, że to nie ich sprawa i nie ich ryzyko. Miałeś chyba wówczas dokładnie tyle lat, ile ja teraz, a może byłeś o rok młodszy.

Wracałem rozbawiony do Kamionki i starałem się wyjaśnić Ci mechanizm reakcji dyrektora.

To nie o to chodzi, że głupców nie sieją — sami się rodzą. I nawet nie tylko o żelazną zasadę, zgodnie z którą za odmowę nie grozi nic, a za zgodę można oberwać. To było głębsze: jawiłem mu się jako szatan prywatnej własności środków produkcji. Przyznasz, że to dla mnie raczej pochlebne i na pewno zabawne.

Wróciłem do Kamionki. Mimo, iż szatan, a może właśnie dlatego, spojrzałem raz jeszcze na postać Chrystusa na wypalanej wieży kościelnej i wsiadłem do autobusu.

Była słoneczna, mroźna pogoda, żałuję, że dałem się skusić temu właśnie odjeżdżającemu autobusowi. Trzeba było jeszcze pójść nad Bug.

XXIII

W piątek wybierałem się na Łyczaków, cmentarz Łyczakowski i Pohulanekę. Ale okazało się, że bilet powrotny mogę podstemplować jedynie na Dworcu Głównym. Więc znów znalazłem się pod Politechniką, przeszedłem obok azurowych od 1939 roku wież kościoła św. Elżbiety (znam tylko jeden udany przypadek neo-gotyku — kościół garnizonowy w Toruniu) i znalazłem się na Alei Focha. Och, ten dworzec z czasów kiedy tak samo budowano gmachy parlamentów, oper i dworców kolejowych. Z innych przykładów tej architektury umiem sobie podzartowywać — z tego nie. A poza tym lubię dewizę... *Semper Fidelis*.

Z powrotem na Gródeckiej i przez Bema na Janowską. Najpierw szedłem bez celu w górę. Potem zacząłem szukać choćby resztek cmentarza, ale czy źle szukałem, czy cmentarz zniesiono — nie znalazłem. Więc wróciłem na Janowską i zacząłem szukać domu, w którym mieszkał inny jeszcze brat mego ojca, wujek Pinchas i jego żona, ciocia Chana. To było na pewno poniżej Bema, w jednej z tych raczej ubogich kamienic. Chyba pod 24.

Wujek Pinchas (mój brat Dziunek nazywał go stryjem Piotrusiem) należał z ciotką Judytą z Zamoyskiego do niezamożnej części rodziny. Znacznie starszy od mego ojca, był zdaje się pechowcem, któremu ciągle wydawało się, że robi świetny interes. Prawie go nie pamiętam, choć dobrze pamiętam ciocię Chanę. I ich troje dzieci: Różę, Klarę, Dunka. Cała trójka w latach 30-tych wyjechała do Palestyny.

W naszej rodzinie panował dziwaczny matrylinearyzm. Wszyscy kuzynowie, o których tu mówię, to krewni od strony ojca, ale określano ich „wedle matek”. Na przykład „syn cioci Racheli”, albo „córnica cioci Chany”. Dla tych, którzy jeszcze żyją, ja jestem przede wszystkim „synem cioci Klary”, a bardzo rzadko „synem wujka Bernarda”.

Moi kuzynowie, a wszyscy którzy żyją są ode mnie starsi *de facto* o pokolenie, mówią, że „wujek Bernard” uchodził w rodzinie za człowieka mądrego i twardego.

Myszę, że taki byłeś, Ojczy. Domyślam się również czegoś więcej. Że byłeś nie tylko twardy dla innych, ale i ciężki dla siebie. Chyba wiem, co musiałeś przeżyć, kiedy zrozumiałeś, że dwaj twoi starsi synowie są „nieudani”. Każdy zresztą na inny sposób. Zdaje mi się, że krzywdziłeś Dziunka. W końcu on chciał tylko czytać książki. Nie oszukiwał, nie wyrzucał przez okno pieniędzy. Uważał, iż praca nie jest zajęciem, które by go fascynowało. A Ty uważałeś, że wszystko co się zdobywa

w życiu — zdobywa się ciężką pracą. I jeśli nawet wiedziałeś, że są tacy, którym „samo przychodzi”, to ich nie szanowałeś. Rzecz jednak w tym, Ojczy, że Dziunek niczego nie chciał zdobyć.

Zdaje się, że z tej goryczy, którą Cię napełnili starsi synowie zbyt wiele nadziei pokładałeś we mnie. Przyrzekam Ci, że tego błędu nie popełnię.

XXIV

Ale było o dzieciach cioci Chany, a nie cioci Klary.

Z Różą i jej młodszą siostrą Klarą spędziłem dwa dni. Raz w 1966, a raz w 1978 roku. Klara jest wspaniałym, złośliwym gawędziarzem.

Z wyjątkiem Róży nikt w rodzinie nie wie, ile Klara ma lat. Trudno nawet powiedzieć, by ukrywała to, chcąc się odmłodzić. Nie pozwala jej na to pasja gawędziarza. Opowiadała mi np., że świetnie pamięta naszego dziadka i jak odbył się ślub ciotki Judyty. Ponieważ dziadek zmarł w 1905 roku a ślub ciotki Judyty odbył się wcześniej, Klara musiałaby się urodzić w XIX wieku. Choćby w 1897 roku. Do Palestyny zaś wyjechała około 1935 roku niedługo po maturze.

Chciałbym być prawdziwym gawędziarzem i móc opowiedzieć, jak wyglądał ślub ciotki Judyty. Lub choćby potrafić powtórzyć zmyśloną opowieść Klary.

XXV

Lata 1942 i 1943. Dolek, mąż mojej kuzynki Reginy zginął rozstrzelany na Łackiego, bo pracował w wywiadzie AK. Mój brat Dziunek zginął w jakimś lesie, podczas likwidacji getta w Żółkwi. Mój kuzyn Dunek, syn ciotki Chany, pracował w tym czasie w Konstantynopolu, w wywiadzie Hagany.

Dolek i Regina mieszkali na placu Fredry, bodaj czy nie w tym domu, gdzie na dachu był neon reklamujący tutki Morwitan. O śmierci Dolka wiem niewiele. Po części dlatego, że Regina nie lubi o tym mówić, a po części dlatego, że te wszystkie śmierci w Brygatkach czy na Łackiego, te tysiące egzekucji między 1939 a 1945/1946 roku są niefabularne. Rozstrzeliwano. I tyle. Co tu jeszcze można opowiedzieć...

Na dzień przed likwidacją getta w Żółkwi, a było już pewne, że likwidacja nastąpi, mój brat Dziunek mógł przejść na „aryjską stronę”, gdzie czekało nań miejsce w piwnicy u Staszki. Odmówił.

Wydaje mi się, że rozumiem motyw jego decyzji. A może tylko mi się wydaje. Z całej rodziny do niego byłem najbardziej

przywiązany i bardzo chciałbym, by było tak, jak ja to sobie wyobrażam.

A kuzyn Dunek, będąc w Konstantynopolu dwa razy rozmawiał z ówczesnym nuncjuszem papieskim Roncallim. Nie wiem jak (i czy w ogóle) biskup Roncalli wyrażał się o moim kuzynie, ale Dunek o biskupie Roncallim mówił z estymą.

Rozmawiałem z nim wielokrotnie w 1966 roku. Konserwatywny liberał, był jednym z najinteligentniejszych interlokutorów w naszej rodzinie. Kiedy w 1978 roku pojechałem do Izraela na grób matki (grób ojca nie istnieje), Dunek już nie żył.

Lusia, wdowa po Dunku, powiedziała mi kiedyś, że książką, która wywarła istotny wpływ na jej życie były „Płomienie” Brzozowskiego.

Nie ona jedna. Tamto pokolenie, ludzie dziś po obu brzegach 70-ki jest chyba ostatnim, dla którego lektura „Płomieni” stanowiła przeżycie.

W „prawdziwej”, opowiadającej opowieści te trzy zdarzenia z lat 1942/1943 — śmierć Dolka, śmierć Dziunka i audycja u nuncjusza — można upchać w jeden dzień.

Tyle o ulicy Janowskiej. Co prawda to długa ulica.

XXVI

Do pierwszej gwiazdy w piątek wieczór nad placem Gołuchowskiego i placem św. Teodora unosił się swoisty gwar. Nazywa się to harmider.

Ci, którzy mówili i mówią: „no, jedną przynajmniej rzecz Hitler zrobił za nas...”, albo: „trzeba jednak Hitlerowi przyznać...” — ci wszyscy powinni stanąć na jednym z tych placów, rozejrzeć się i odpowiedzieć na pytanie: czy o to im chodziło?

Ci, którzy we wczesnych latach 50-tych z renesansowych nagrobków kirkutu w Kazimierzu robili płyty chodnikowe powinni pójść na dawny cmentarz Orląt i przekonać się, jak to smakuje.

Nawet listopadowo bezlistny, nawet w dzisiejszym stanie, cmentarz Łyczakowski jest piękny. Byłem tam w sobotę. Szukałem krzyża — symbolicznej mogiły powstańców 63 roku. Nie znalazłem.

Potem poszedłem na cmentarz Orląt. Zachował się tam jeden nagrobek — inżyniera Gustawa Müldnera.

Wszyscy wiedzą, że cmentarza Orląt nie ma. Mało kto wie, że zwłoki spoczywające pod płytą Grobu Nieznanego Żołnierza sprowadzono właśnie stamtąd. A już nikt nie wie, że wraz z cmentarzem Orląt zlikwidowano doszczętnie cmentarz strilciw. „Sprawiedliwość dziejowa” jako nie-istnienie.

XXVII

Przez błotniste ścieżki dotarłem do czegoś, co wydawało mi się resztkami boiska 41 p.p. I tu okazało się, że nie ma „mojej” drogi, tej, którą na nartach chodziłem na Pohulankę. Tak się złożyło, że znam — a w każdym razie pamiętam — wyłącznie zimową Pohulankę. Chodziłem tu na narty, może wcześniej na sanki. I tej drogi nie ma.

Przez podwórka doszedłem do ulicy Pohulanka, na której chyba nigdy nie byłem i skręciłem ku wzgórzom. Przy pierwszej okazji wszedłem w las. Łaziłem po pagórkach i jarach i wciąż nie wiedziałem, gdzie jestem. Dopiero kiedy przypadkiem trafiłem na ruiny kaplicy, zrozumiałem, że to Pasięka Łyczakowska. I zacząłem się jako tako orientować.

Zdaje mi się, że w końcu trafiłem na mój „jeszcze tylko ten ostatni zjazd”. (Mój Ty Boże, zjazd! Stoczek, ośla łączka!). Stąd nieodwracalnie wracało się do domu. Na nartach, obok boiska, można było spokojnie dojechać na róg Kochanowskiego — Piotra i Pawła. A jeśli zima była śnieżna, to i do samego domu, a w każdym razie do rogu Kochanowskiego i Szewczenki. Z Zielonej do Kochanowskiego i dalej w górę na Łyczaków tramwaj jechał właśnie przez Szewczenki.

Znow przeszedłem obok naszego domu. Przypomniałem sobie, że pod 21-ym mieszkała ruda Zośka. „Ruda Zośka” to brzmi jak postać z kryminału, powieści dla młodzieży, może z Nowakowskiego. Ale co mam robić, skoro tamta dziewczynka z Kochanowskiego naprawdę była ruda i naprawdę miała na imię Zośka. Po wojnie spotkałem ją kiedyś na Legii. Doszliśmy wtedy do zgodnego wniosku, że takiej pływalni jak Żelazna Woda nie ma i nie będzie. Folklor po zagładzie.

Wybrałem drogę przez Romanowicza i ze zdumieniem stwierdziłem, że w naszym domu mieści się „piwnica”. Schodki w dół, marmurki, kawa z expressu, ciastka i taśmy z amerykańskimi piosenkami typu *sweet*. (Do samej wojny wolno mi było pić kawę tylko pół na pół z cykorią). W „piwnicy” palić, oczywiście, nie wolno, więc papierosa paliłem w bramie naszego domu. Spojrzałem przypadkiem pod nogi i pomyślałem: znowu będzie czyszczenie butów.

Normalnie w domu buty czyściła służąca. Na Romanowicza Ukrainka Mila, na Kochanowskiego Hela, też Ukrainka. Ale „normalnie” nie obejmowało moich eskapad. Jeśli wracałem utyłany w błocie, co chłopcom zdarza się często, buty musiałem czyścić sam. Przyzwyczajony byłem do tego tak, że uważałem

to za oczywiste. A przy tym byłem rozpieszczanym dzieckiem, funkcjonującym *de facto* na zasadzie jedynaka.

XXVIII

Moja, jakże kaleka znajomość ukraińskiego pochodzi od Mili i Heli.

Ojciec, który chodził jedynie do chederu, bo na jeszybot nie było już pieniędzy, władał pięcioma językami: hebrajskim, jidisz, niemieckim, polskim i ukraińskim, choć myślę, że po ukraińsku pisać nie umiał. Nikt nie uważał tego za coś niezwykłego. Przypuszczam nawet, że nikt tego nie zauważał. „Prawdziwe” obce języki to był francuski, angielski. Zapytany przed pierwszą wojną, ojciec powiedziałby zapewne, że żadnego obcego języka nie zna.

Raz jeden, przed wojną rzecz jasna, zastałem matkę czytającą jakieś stare listy. Nie wiem dlaczego pokazała mi je na chwilę. Były to listy od ojca z okresu narzeczeńskiego. Dwujęzyczne: niemiecko-polskie. Po niemiecku głównie wiersze. Heine i Goethe, jak mi wyjaśniła mama.

Braciom, znacznie ode mnie starszym, których dzieciństwo przypadło na lata przed pierwszą wojną, nie wolno było jeździć na łyżwach. (Jeździli, rzecz jasna, po kryjomu). Bo w chederze nauczono mego ojca, że sport to nie jest zajęcie dla dobrego Żyda. Ojciec jednak nauczył się jeździć na łyżwach; podobno po to, by móc chodzić ze mną na ślizgawkę, na Pełczyńską. Urodzony w 1882 roku, musiał mieć wtedy 48 albo 50 lat.

Tyle o Buddenbrookach.

XXIX

W okresie dzieciństwa i młodości Ostapa Ortwin żywa była jeszcze legenda o Saulu ben Juda, który po śmierci Batorego miał być przez jeden dzień królem Polski. Była to m.in. legenda o rodzie Wahlów, co miał się wywodzić od owego Saula, o księciu Radziwille Sierotce, oraz o paduańskim rabinie nazwiskiem Katzenellenbogen.

Kiedy w 1910 roku Franciszek Jaworski omawiał w *Widnokreęgach* prace Bałabana dotyczące tej legendy, dodał, że wątpi, by wiedza historyczna zniszczyła legendę. Można by napisać o siostrach Wahlównych jako o potomkiniach owego królewskiego rodu, ale to żart ryzykowny, który jeszcze mógłby im zaszkodzić.

W 1901 roku, w okresie Wrześni, hakatyści wydali paszkwil na Edwarda Bernsteina, który wraz z całą socjaldemokracją niemiecką i katolickim centrum ostro protestował przeciw postępowaniu władz pruskich. Otóż jednym z głównych argumentów paszkwila było to, iż Bernstein miał się rzekomo chwalić, że pochodzi od owego Saula ben Judy. Jak zauważył rejestrujący to wydarzenie kronikarz *Wieków Nowego*, w ten sposób hakatyści za jednym zamachem zohydowali Bernsteina jako Żyda, Polaka i socjalistę.

Taki oczywiście żadnego ducha narodowego nigdy nie zrozumie.

XXX

Renesans. Barok. Secesja.

Dwa pierwsze z tych słów znałem jeszcze przed wojną, ale nie mówiły mi nic specjalnego. Chyba nie słyszałem słowa „secesja”, a stwierdzenie, że ulica Romanowicza jest zabytkiem architektury nie oderwałoby mnie od Maxa Branda, Paul de Kruifa, Nasielskiego czy dialogów Platona, bo takie wszystkieżne lektury miałem w wieku lat dwunastu. Kiedy na wystawach księgarń na Batorego (jedna z nich należała do matki Eryka, przez którego o mało nie wyleciałem ze szkoły) pojawiło się „Życie seksualne dzikich”, użyłem wszystkich błagań i Kajtek z „Alfy” wypożyczył mi Malinowskiego.

Rozczarowanie. Rozczarowanie i męka. Bo zaciąłem się i przeczytałem do końca.

A jednak wczesny barok kościoła Bernardynów, renesans bóżnicy i Arsenalu tkwiły we mnie wraz z nieznaną mi z nazwy secesją. Zrozumiałem to w 1974 roku w Antwerpii, jedynym zachodnioeuropejskim mieście, w którym już na dworcu poczułem się u siebie. Mówię o zachodniej Europie. W środkowej, w Pradze, Wiedniu, Budapeszcie, Ljublanie jestem zawsze u siebie. Może w Bawarii też, ale nie byłem.

Łaziłem po Antwerpii i zastanawiałem się, skąd to poczucie swojskości. Habsburgowie? Po pierwsze, dawno stąd wybyli. Po drugie zaś, nigdy mnie nic nie obchodzili. („Cesarzowi i Elizi życzym szczęścia ili wliżi” — w latach trzydziestych była to żartobliwa piosenka). Więc co? Dlaczego w odległej o godzinę Brukseli — nie, a tu tak. I olśnienie. Bo to jest prawdziwe miasto. Barok. Brzydota XIX wieku, trochę secesji, trochę renesansu. Tramwaje. Kamienny bruk. Dużo zieleni. Żadnych wieżowców — trzy, cztery piętra wystarczą. Oczywiście, powinny być jeszcze wysokie wzgórza i świątynie pięciu wyznań, ale ostatecznie nie można zbyt wiele wymagać od Antwerpii.

Że tak odczuwają świat ludzie starzy? Nie wypieram się. Ale to jest coś więcej, niż lata. Naprawdę istnieje Środkowa Europa. Kiedy czytam rozważania moich kolegów o kulturze śródziemnomorskiej myślę sobie: Avignon — piękne, ale nie udawajcie, że znacie to z dzieciństwa. Nie udawajcie, żeście się chowali w cieniu romańszczyzny Vézelay, a potem, przypadkiem, udało się wam zobaczyć tum łączycki. Poetów łacińskich, jeśli ich w ogóle recytujecie, to z wymową i akcentem takim, że żaden Francuz, Włoch czy Anglik nie zrozumie, jaki to język. I na nic zdadzą się wasze argumenty, że ta wymowa jest prawdziwa. Po pierwsze, nikt tego nie wie na pewno — nawet profesor Golias z trzeciej budy, autor „Disce puer latinae”. Rzecz nie w tym, kto jest „prawdziwym” Europejczykiem — oni czy my. I oni, i my. Każdy trochę inaczej — i na tym „trochę inaczej”, na zgodzie na odmienność polega m.in. Europa.

Więc wiele lat minęło, nim uświadomiłem sobie, że tkwi we mnie barok z secesją, renesans Złotej Róży z Panoramą Racławicką, zamiast Rubensa. To po prostu było, na to się nie chodziło, tego się nie oglądało. Chodziło się na Toma Mixa do kina „Pasaż”, na Errola Flynna do kina „Atlantic”, na Jadzię Andrzejewską do kina „Palace”, na „Niewidzialnego człowieka” i „Rok 2000” do kina „Kopernik”.

A kina istnieją wszystkie. Na swoim miejscu. Z wyjątkiem „Uciechy” i „Pasażu” w pasażu Mikolascha, zniszczonych przez bombę czy pocisk artyleryjski.

Pierwsze dwa filmy oglądałem z ojcem w kinie „Uciecha”. „Quo Vadis” i jakąś komedię, której tytułu nie jestem pewien, ale pamiętam że Buster Keaton tak śmiesznie wpadał ze statku do rzeki. Oba filmy były nieme, co było już rzadkością. Ojciec, przypuszczam, uważał, że jak na początek film dźwiękowy może wywrzeć na mnie zbyt wielkie wrażenie.

XXXI

To oczywiście nieprawda, że pamiętam wszystko. Bez trudu potrafię pokazać, gdzie stał pomnik Ujejskiego czy Smolki, ale nie mogę umiejscowić pomnika hetmana Jabłonowskiego. Rozpływają mi się kontury jakiejś postaci w hełmie i w zbroi, jakieś fałdy. Ale gdzie? Chyba na Wałach...? No właśnie — chyba. Pamiętam — rzecz jasna — gdzie był pasaż Mikolascha, gdzie pasaż Hausmanna. Ale nie wiem, gdzie był pasaż Andriollego. Nawet nie domyślam się, w której części miasta miałbym go szukać. A przecież na pewno był, może nawet jest.

I odwrotnie. Czy w czasach mego bardzo wczesnego dzieciństwa na rogatkach płaciło się jeszcze kopytkowe, czy też jest to pamięć urojona?

XXXII

Styl?

Do Irzykowskiego zniechęcało mnie jego „jactwo” ujawniające się nie tylko w „ja pierwszy”, „ja przedtem”, ale i w przeświadczeniu, że jego lektury obowiązują wszystkich. W *Naszym Kraju* w 1908 roku krytykuje „Śmiech” Bergsona za to, że Bergson nie czytał Lippsa. Można by szukać do tego kluczy. Na przykład klucz prowincji, niby że te nieszczęsne Brzeżany (czy Irzykowski znał o wiele młodszego od siebie Rydza?). Ale to klucz fałszywy. Prowincja znaczyła coś innego. Poczta do Brzeżan docierała codziennie i pewnie dostarczana była trzy razy dziennie. Istniało coś takiego jak prenumerata, zaś księgarnie sprowadzały na zamówienie każdą książkę. Tak na marginesie — nie wierzę w kulturę inną, niż prowincjonalna: Wilno, Dublin, Oxford w stanie Mississippi, Krzemieniec, Grodno, Weimar. Tak się złożyło, że z wymienionych miast byłem tylko w Dublinie. Cudowna prowincja po dziś dzień; z największym parkiem w Europie. Parafiańszczyznę ma się w głowie, a nie na zewnątrz.

Czy styl równa się sposób myślenia? To nie takie proste.

W latach 1903-1906 ukazywał się taki miesięcznik *Odrodzenie*. Można by go nazwać organem mesjanistów. Bardzo antydeckie. Nigdzie tak nie sponiewierano „Egoizmu...” Balickiego czy „Myśli...” Dmowskiego. Niby sympatyczne. Ale kiedy brnąłem przez ich rozważania o późnym Słowackim, o duchu narodu... Kiedy w ich credo przeczytałem „Wierzmy, iż posłannictwem Polski jest wcielenie Chrystusa w dzieje ludzkości (...)”, pomyślałem sobie: to już jednak wolę czytać „Myśli nowoczesnego Polaka”. Przynajmniej rozumiem o co chodzi.

Czy mesjaniści wszędzie są tacy sami? Piszą: „Europa i Rosja jednej i tej samej idei są płodem: Idei społeczeństwa na wyrozumowanie, na liczbę, na potęgach obliczalnych opartego”. Wstawić na miejsce Rosji Polskę — i jakbym czytał Dostojewskiego. Toteż nie przypadkiem Nalepiński nazwał go Królem-Duchem Rosji. Panie Stworzenia!

Krzywdzę jednak *Odrodzenie*. Związane było ze spuścizną po bardzo dziwnym myślicielu, Stanisławie Szczepanowskim. Ten akurat łączył mesjanizm z teorią wzrostu. Potrafił też być nader baczny i złośliwy obserwator.

„[...] Szatan zatraciciel nie ma u nas, jak gdzie indziej rogów

i pazurów [...] ale przybiera postać niewinną niedołęgi lub lekkoducha, bo czymże był np. Radziwiłł Panie Kochanku. Czasem objawia się jakaś chęć do pracy dla kraju lub społeczeństwa, ale to wszystko ma cechę dzieciństwa. Ilustracją takiej pracy dziecinnej jest dwór w Puławach generała ziem podolskich Czarotorskiego”.

Albo:

„[...] Całe społeczeństwo podzieliłem na dwa obozy: konserwatystów, którzy proszą jałmużny i postępowych, którzy ich krytykują, że nie dość wyżebrali”.

Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że z całej ówczesnej prasy *Odrodzenie* miało najwłaściwszy stosunek do najboleśniejszej sprawy — sprawy ukraińskiej.

Więc i do *Odrodzenia* i do Irzykowskiego — to bieguny myśli i stylu — mam stosunek ambiwalentny.

XXXIII

W poniedziałek o zmierzchu raz jeszcze poszedłem pod kościół Bernardynów, potem przez plac Cłowy ku Arsenałowi, po lewej stronie cerkiew Wołoska, po prawej, w dali kościół Karmelitów. Na ławce pod Arsenalem wypaliłem papierosa. Kościół Dominikanów. Przez Blacharską, obok Staupigii. W dzieciństwie fascynowało mnie to słowo, którego znaczenie i dziś nie jest dla mnie jasne. Stałem pod ocalałą ścianą Złotej Róży.

Kamienie. Ludzie. Na Romanowicza pod 3-cim Marta F., na Czarnieckiego Tadzio T., na Kochanowskiego (pod 11-tym) Janka A., trzy domy dalej Rudy Napoleon, na tym samym piętrze co my — Zosia-aniółek, w następnym domu Szurek, syn „białych emigrantów”, dom dalej taka dziewczyna, co chodziła do Notre-Dame czy Sacré-Cœur (czerwony otok na marynarским kołnierzu mundurka). Naprzeciw, na rogu Zamoyskiego, sklep Rybaka (masło szwabskie, kajzerki)...

Kiedy w grudniu ubiegłego roku, po latach niewidzenia, spotkałem Maję, powiedziałem: słuchaj, ty się robisz coraz piękniejsza. Spojrzała na mnie z porozumiewawczą ironią i powiedziała: moja babcia była najpiękniejsza wtedy, kiedy szła przez komin.

Piszę to w hotelu. Walizka spakowana. Rano tylko dołożyć pantofle, umywalia i rękopis.

XXXIV

A podróż?

Podróż rzecz łatwa.

Wystarczy w kwietniu 1980 roku złożyć wniosek i już w piątek, 6 listopada 1981 roku człowiek dowiaduje się, że w poniedziałek 9-go, między 11.00 a 14.00 może odebrać paszport wraz z biletem i że pociąg ma tegoż dnia o 16.00.

Więc w poniedziałek koło południa odebrałem paszport. Ważny do ZSSR oraz europejskich kdl-ów. Bo jeszcze mógłbym skorzystać z okazji i polecieć do Whitehorse, co pozwoliłoby mi ominąć Przełęcz i skrócić drogę do Dawson City. Ale nic z tego. Po pierwsze, nie mam pieczątki, a po drugie, Yukon już zamarzał, Sitka Charley nie żyje i nie miałby kto poprowadzić zaprzęgu.

Więc tylko zapytałem grzecznie, z którego dworca odchodzi pociąg do Przemyśla. Ten dziś. Ten o 16.00.

Nie ma takiego pociągu.

Jerzy Kosiński w powieści „Cockpit” usiłował opisać funkcjonowanie Wydziału Zagranicznego Akademii, ale okazało się, że przekracza to możliwości i granice okrutnej fantazji autora „Ptaka malowanego”; więc nawet nie będę próbował. A tak na marginesie, ciekawe, czy w czasach gdy on starał się o paszport królowała już w Wydziale pani O., zwana powszechnie Ilse Koch.

Tak czy inaczej, o 15.00, mając w ręku bilet na środę na godzinę 06.00, znalazłem się przed biurkiem jakiejś pani, która powiedziała: nic mi nie wiadomo o pańskim wyjeździe.

Ale w końcu wyjechałem. We środę o 06.00. A parę minut przedtem spotkałem na peronie Michała i Gucia Syberyjskiego.

Do Przemyśla pociąg dotarł z trzygodzinnym opóźnieniem. Przeszliśmy z Guciem na sąsiedni peron. Do komory celnej. Barak był nieoświetlony i zamknięty. Nie wyglądało na to, by kogokolwiek tu komorowano czy też w kogokolwiek celowano. Zostawiłem Gucia pod drzwiami na straży naszego dobytku, sam zaś ruszyłem wzdłuż baraku celem zasięgnięcia języka. Trafiłem w końcu na jeden oświetlony pokój. Przez dobrze przed mrozem zabezpieczone szyby wykonałem coś na kształt rozmowy. Coś na kształt — bowiem dźwięki docierające do mnie nie dawały się rozumieć w sposób jednoznaczny. Jednoznaczne natomiast były niewerbalne zachowania się mężczyzny siedzącego po tamtej stronie szyby. Wynikało z nich, że nie ma najmniejszego zamiaru ruszyć się z miejsca.

Kiedy wróciłem, obok Gucia i walizek stała niewysoka dziewczyna w kożuchu i oburzała się. Na bałagan. Na nasz opóźniony pociąg i na coś jeszcze, ale już nie pamiętam na co. Ruszyliśmy we troje w stronę dworca, tj. z dworu do budynku. Tu dziewczyna pożegnała nas oświadczywszy, że spróbuje na

samej granicy złapać ciężarówkę. Po odejściu oburzonej panny ustaliłem, że pociąg mamy o godzinie 16.00 dnia następnego, że można próbować nocą do bukareszteńskiego, ale nie warto, bo nie wypuszczą i że pono w niektóre dni kursuje autobus, ale nikt nie wie, czy na pewno i kiedy.

Około 19.00 wylądowaliśmy z Guciem w recepcji domu wycieczkowego, gdzie udało nam się wynająć ostatnią wolną komórkę. W czasie, gdy wypełnialiśmy druczki pojawiła się nasza poznana na dworcu panna. Okazało się, że granica czynna jest jedynie do 17.00, ale jakiego czasu — nie wiem.

Na obiado-kolację poszliśmy we troje i zjeść udało się nam już w drugiej z rzędu restauracji. Nie chwaląc się, dzięki moim zdolnościom perswazyjnym, którymi musiałem posłużyć się trzykrotnie. Oddzielne przemówienie do wykidajły, oddzielne do szatniarki, oddzielne do kelnerki. Najtwardsza była szatniarka.

Przy stole dowiedzieliśmy się z Guciem, że panna ma na imię Mela, że pracuje w jakimś „polu” (Budo? Gazo? Ruro?) i że jutro z samego rana musi być w K.

Na dobranoc — już w domu wycieczkowym — panna Mela powiedziała mi, że do K. najłatwiej dojadę taksówką oraz wyjaśniła, jak mam ją znaleźć w K.

Bu... Nikt nie wie o mnie tyle co Bu... Otóż Bu mawiała: jesteś najleniwszym dziwkarzem na świecie.

Zlituj się, Bu — mówiłem — wiesz dobrze, że nie można jednocześnie być i leniwym i dziwkarzem. A ponieważ jestem leniwy, ergo nie jestem dziwkarzem.

Tak naprawdę mawiała Bu. Tak jej naprawdę odpowiadałem. I naprawdę jestem leniwy. Nie pojechałem taksówką do K. Nie znalazłem w żadnym „polu” (Budo? Gazo? Ruro?) Meli, panny oburzonej.

Kiedy obudziłem się rano, Gucia już nie było. Po chwili wpadł do łazienki, gdzie się goliłem. Przyszedł wprost z mrozu, co jest fajne w powieści, ale mniej w łazience. Tryumfalnie doniósł mi, że o 12.00 mamy autobus. Przemyśl mu się spodobał, co mu byłem przepowiedziałem poprzedniego wieczora.

Było śnieżnie, mroźno i nawet zjedliśmy śniadanie.

A o 12.15 siedzieliśmy w autobusie.

XXXV

Podróż?

Nic łatwiejszego, niż podróż.

Roman ZIMAND

listopad 1981

Wiersze

Witold WIRPSZA

Oskarżyciel:

Ten człowiek, Sądzie, nie będę wymieniał
Nazwiska, bowiem trzeba uczcić uszy,
Jest niebezpieczny; i więcej: potworny.
Jego to sława, generalskie szlify,
Jego sukmana, złowieszcze przysięgi,
To znaki zdrady i zbrodni. To groza.

Co prawda, umarł. Lecz mało, że umarł,
Że jego ciałem zbezczeszczono groby
Królewskie oraz godność naszych dziejów;
Nie dość, powtarzam, że okrył nas hańbą,
To jeszcze dzisiaj, spod kamienia, duch
Jego poraża i upadła naród.
Prawa nie starcza, aby tę kanalię
Określić jasno i wymierzyć karę.

Zjawiał się wszędzie, gdzie niepoczytalni
Zuchwalcy, Sądzie, przeciw prawowitej
Władzy judzili najciemniejszą tłuszcę.
Aż za ocean niosło go w niesławie.
Kumał się z każdym, komu pomazaniec
Był nie do gustu. Zważmy: Lafayette,
Von Steuben, Franklin, co bluźnił niebiosom,
Unicestwiając moce piorunowe,
Waszyngton oraz Kazimierz Pułaski;
Tak, ten Pułaski, sromotny generał,
Co za nic mając najświętsze sojusze
Semiramidę Północy znieważał,
Szarpał majestat Rzeczy Pospolitej.

Co łączy wszystkich? Wszystkich łączy zdrada.
Zdradzani byli król polski i pruski,
Król Francji tudzież król Wielkiej Brytanii;
Wszyscy królowie, wszystkie Majestaty.
I za co, Sądzie? Gaże generalskie,
Kiesy nieprawe, płacono w dolarach.
Tak jest, w dolarach. Już wtedy w dolarach.
To od początku był srebrnik zaprzaństwa.
Bo od początku to bandyckie państwo
Płaciło złotem, banknotem, czekami
Za przeniewierstwo. Po dziś dzień tak jest.

Czymże jest, Sądzie, prawowita władza?
Istnieje wtedy, gdy łaska Fortuny
Sprzyja Historii niezniszczalnym prawom.
Kto zaś Fortuny chce połamać koło
Oraz Historii wstrzymać bieg niezłomny,
To choćby nawet mu się poszczęściło,
Do czasu, Sądzie, powtarzam, do czasu,
Bo czas Historii i Fortunie szczęści,
Nie wszeteczności; więc, powtarzam, Sądzie,
A choćby nawet mu się poszczęściło,
Sądzić go trzeba na kraty i knuty.

Gdy do Europy wrócił, co uczynił
Człowiek, którego imienia nie powiem?
Obywatelstwo przyjął, nie pytając
Zwierzchności swojej, czy przyjąć mu wolno,
Obcego kraju, od rządu złoczyńców.
Innego bowiem by pewnie nie zechciał.
Zjechał do Polski i wzniecił pożogę,
Na sojuszników zwałił się znienacka,
Wzburzył lud wiejski, kadząc mu i czadząc,
I rycerskiego zmusił generała,
Wielkiego wodza narodów Wszechrosji,
Do spustoszenia niewielkiej osady;
Mądrość mu bowiem kazała oszczędzić
Osadę większą, stolicę Nadwiśla.
Sztuka wojenna, Sądzie, obryzgała
Tego człowieka.

To jeszcze nie koniec.

Bo cóż on robi, gdy łaska monarchy
Dała mu wolność? — On ucieka w góry.
I tam przyjmuje znów obywatelstwo.

Taka jest widać już jego natura,
Ze jak mu dają, to bierze i kwita:
Obywatelstwo zbuntowanej czerni,
Ciemnego chłopstwa, co władzę cesarską
Potraktowało... Tu słów mi brakuje.
Lecz z czego żyje ten obcoziemieniec,
Ten Białorusin w krakowskiej sukmanie?
Czy pośród kmiotków żyje tak jak kmiotek?
Żyje z dolarów, z błotnego pieniądza,
Z amerykańskich, powtarzam, dolarów.
To zwie się pensją, generalską, Sądzie.
Wstydu nie znając, pławiąc się w nieróbstwie,
Czekając śmierci rozsiewa zarazę.

Tak, umarł, Sądzie, nawet dawno temu.
I teraz trzeba tej śmierci zaradzić,
Bo tę zarazę, ten trąd, to morowe
Powietrze, które z jego trupa zionie,
Które z Wawelu na kraj cały spływa
I powoduje zaćmienia umysłów,
Kurcz wyobraźni i gnilne procesy
W sercach młodzieży, bez mała niemowląt,
Ten mór, ten rozpad musimy powstrzymać
A sięgnąć trzeba do źródła zarazy.
Ad fontes, Sądzie, czyli do zewłoka.

Więc wnoszę, żeby ten groźny grobowiec
Znikł z tego kraju wśród ognia i wód.
Cisza potrzebna, ale nie ten grób.

Berlin, w drugiej połowie czerwca 1983 r.

Witold WIRPSZA

17 GRUDZIEŃ

Ten facet w ciemnych okularach, co stoi pod sklepem,
to szpicel,
lustruje twarze znużonych kobiet,
stojących w kolejce po chleb,
nasłuchuje, czy w ich oddechu nie ma buntu,
nasłuchuje, czy ich puls nie uderza w dyktaturę,
nasłuchuje, czy jakieś słowo nie zamieni się

w demokrację,
nasłuchuje, czy w tych kobietach żyje jeszcze
wolność
a kobiety z opuszczonymi głowami milczą,
a kobiety z opuszczonymi głowami dławią płacz,
a kobiety z opuszczonymi głowami cichutko pojękują,
szpicel przybliża się i
nachyla ucho do ściany,
sądząc, że w ścianie czai się niebezpieczeństwo,
że ściana zaraziła się chorobą milczących kobiet,
że w ścianie ukrywa się pełzająca kontrrewolucja,
że w ścianie powstaje spisek,
a kobiety wolno posuwają się, coraz bardziej znużone
ich ręce martwo zwisają nad ziemią,
ich oczy wyblakłe i smutne,
ich sylwetki pochylone,
jakby osłaniały ostatnią isierkę nadziei
płonącą gwiazdę głodu
w ich brzuchach,
szpicel nieco się cofa i przeciera okulary,
a kobiety nagle zwierają się w kręgu
i wyciągają przed siebie ręce,
jedna z nich wpada w panikę,
druga bezradnie rozgląda się,
trzecia drży i blednie,
wewnątrz kręgu umiera
stara kobieta,
jej rozwarta dłoń sztywnieje na mrozie,
jej oczy wołają o pomstę do Boga,
jej ciało kurczy się i maleje tak bardzo,
że po chwili zamienia się
w zastygłą, siną kroplę krwi,
szpicel wyciąga notes i pisze
w mojej dzielnicy panuje spokój.

17. XII. 1981 r.

György GÖMÖRI

NIESPOKOJNE LATO

Zbyt dużo tej wiosny padało.
Czarne nagie ślimaki

rozmnożyły się w ogrodzie pod krzakiem
wygłodzone pająki kryły się po szczelinach
a kwiat maku opadł jak głowa ścięta toporem,
płonie stos połamanych gałęzi i skoszonego zielska,
wiatr od wschodu co noc huka po domu
i nie wiadomo: kiedy drżący ze starości mandaryn Kapuścianego
[Imperium

prześwietny Kapuściany Łeb
falangom gąsienic da rozkaz wymarszu na sąsiednie ogrody
pyszniące się bielą i czerwienią.

1981

György GÖMÖRI

(Przełożyła z węgierskiego Camilla MONDRAL)

Antoni ORZECH

*
*
*

Wróbel
żywa grudka ziemi

kim będziesz w niebie
gdzie proporcje są odwrócone

odsłoń na moment swoje „jestem”
które metafora próbuje przybliżyć bezskutecznie

Dobrze jest wiedzieć w zimną noc
że za oknem puka
serce nie większe od paznokcia
które się nie boi

„JEST”

Prawdziwa walka
jest z nicością

Gdy nas opuści to słowo
albo okaże się że nigdy nie było z nami

i zalegnie noc
bo ono jest słońcem

Kłęknicie przed nim
choćbyście nigdy nie zginali karku

Przywołujcie je w zachwycie nad konwalia
a z miejsc w których go nie ma
uciekajcie w pośpiechu
choćaby wszystkie inne słowa
przybrano w diamenty

Antoni ORZECH

1980

Tadeusz SZYMA

★★

Wystaliśmy ten przyjazd w kolejkach,
Wyczekali pod tyłu krzyżami,
Aż stopniały nam gromnice w rękach
Na ogarki ledwie — Naszej Pani.

Wydeptaliśmy dla Ciebie drogę,
Wymodlili — po błocie i grudzie,
Aż zdrętwiały opuchnięte nogi
I niejeden ustał od utrudzeń.

Wykrzyczeliśmy tę nagłą ciszę,
Która przestrzeń bez granic otwiera,
Żebyś słowem umocnić nas przyszedł,
Gdy zduszony głos w gardle zamiera.

Byś odsłonił to co niewidoczne
A osłonił płomyk chybliwy
Jak w górniczej lampce... I byś oczom
Wrócił światło — jak ustom chleb żywy.

Tadeusz SZYMA

Archiwum polityczne

W oczach Sowietów

I

Słowa *corruptio optimi pessima* nabierają w świetle najnowszej historii coraz straszliwszego znaczenia. Europa przekroczyła już fazę finlandyzacji. Przodują w tym Niemcy. Ich *Friedensbewegung* jest zgubnym szaleństwem. Rosjanie mają wszelkie powody do zadowolenia. Ich plan opanowania Europy Zachodniej bez wojny, więc i bez wojskowej okupacji znajduje się na drodze ziszczenia. Jeżeli opinia publiczna nie przejrzy na oczy i nie ocknie się, wycofanie wojsk amerykańskich z Europy jest kwestią najbliższych lat. Nawet raketowe dozbrojenie (o które, co jest faktem o szyderczej wymowie, starał się Helmut Schmidt, gdy był u władzy) nie zmieni zasadniczo sytuacji. Moskwa uprawia grę zwaną niegdyś w Ameryce „chicken”: który z kierowców jadących naprzeciw siebie aut pierwszy skreśli w bok w obawie przed czołowym zderzeniem. Przy wszystkich swoich klęskach w dziedzinie gospodarki, kultury czy sprawności zarządzania, w jednej jedynej dziedzinie „realny socjalizm” okazał się mistrzem. To, czy rzeczywiście zdobył już przewagę wojskową nad światem nie jest najważniejsze. Istotne jest to, że Zachód w tę przewagę uwierzył. Bardzo być może, że globalne starcie, także atomowe, obnażyłoby słabość kremlowskiej maszyny wojennej, ale do tej eschatologicznej próby nie dojdzie — przynajmniej w dającej się przewidzieć przyszłości. Pytanie, czy Sowiety chcą wojny, sto razy wałkowane przez ogłupiających samych siebie politologów i pozał się Boże myślicieli niemieckich, jako fałszywie postawione, nie może liczyć na rzeczową odpowiedź. Oczywiście że Moskwa nie chce wojny, skoro widzi, że i bez niej może opanować Stary Kontynent. Po co strzelać, skoro można wszystkiego dopiąć szantażem? Rosjanie są perfidni, ale ich perfidia ma swoje granice. Zestrzelenie koreańskiego samolotu pasażerskiego było zarazem przypadkiem i prawidłowością, zgodną z naturą i stylem działania Sowietów, ale ten przypadek udo-

wodnił im jeszcze raz, i to w sposób szczególnie dobitny, jak bardzo Zachód jest rozmiękczone. Jeszcze kilka lat temu nikt w Niemczech nie odważyłby się nawet powiedzieć głośno, iż należy wyjść z NATO (co oznacza przecież utratę Berlina Zachodniego, tego oczka w federalno-niemieckiej głowie, czyli rezygnację z miasta, którego utrzymanie w związku z RFN wymagało przez czterdzieści lat tyle politycznych i gospodarczych kosztów), rozbroić się jednostronnie i w całości zaufać pokojowej dobroci ZSSR. Dziś niezliczone pisma powtarzają to z lubością. Jeśli ta cudna wizja się ziści, Niemcy a wraz z nimi reszta Europy staną się dojną krową Związku Sowieckiego. Rosjanie przeprowadzą odpowiednio wydozowaną kurację odchudzającą tego tak rozdeptego zamożnością zgrupowania państw, których łączny dochód narodowy jest większy niż globalna produkcja eurazjatyckiego giganta. Jest to tym bardziej prawdopodobne, że proces ów da się przeprowadzić płynnie, stopniowo, bez gwałtownych aktów i nagłych przemian, ponieważ on się już (i to dość dawno) rozpoczął. Wymiana handlowa Zachodniej Europy z Sowietami była i wciąż jeszcze jest korzystna dla obu stron; w zamian za surowce, gaz i ropę przemysł Europejczyków dostarcza Sowietom wszystkiego, czego im trzeba. Restrykcje importu są listkiem figowym, tym bardziej, że wiadomo, jak łatwo przychodzi Rosjanom faktyczne ich obejście. Lecz gdy Europa będzie już zdana na łaskę i niełaskę Kremla, bilanse handlu powoli — podkreślam: powoli — przestaną równać się obustronnemu pożytkowi. Cóż będzie mogła Europa zrobić, żeby ratować własny stan posiadania, kiedy zostanie sama? Bez względu na masę polityczną kolejnych rządów, bez względu na programy partii u władzy, rządy będą się pomału stawały coraz jawniej quislingowskie. Znajdą się na koniec w sytuacji Judenratów żydowskich pod władzą Trzeciej Rzeszy i będą musiały jak one Niemcom dostarczać Sowietom wszystkiego, co zostanie im nakazane, żeby odroczyć definitywną zagładę. Matactwa i kręactwa, jakich już teraz ima się „wolna prasa wolnego Zachodu”, chcąc ze Stanów Zjednoczonych uczynić jedyne niebezpieczeństwo dla pokoju światowego, cała ta gorączkowa w samozakłamaniu działalność, zaiste już szaleńcza, okaże się wyborną szkołą uzasadnienia własnym interesem interesów sowieckich.

Rozmaici teologowie i akademicy niemieccy, piszący do gazet, że lepiej znaleźć się choćby na Syberii niż pod gradem lecących ze Wschodu rakiet atomowych myślą się, stawiając, tyleż praktycznie co podle, alternatywę *lieber rot als tot*. Rosjanie nie będą ich wcale zmuszać do przemalowywania się na czerwono. Owszem, liczebność komunistycznych partii Europy Zachodniej wzrośnie, lecz pozostaną one partiami kadrowymi i masowy wciąż oportunistycznej ludności wcale nie będzie przez Moskwę mile widziany. Z punktu widzenia Moskwy będzie on zbędny, bo taktycznie niekorzystny. Lecz i tą drogą — drogą kolaboracyjnego zniewolenia i pracy dla Sowietów — nie uda się Zachodowi uniknąć niebezpieczeństwa, ponieważ Stany Zjednoczone, zmuszo-

ne do powrotu do doktryny Monroego, będą zagrożone od strony swego „miękkiego podbrzusza”, czyli Meksyku i innych państw Ameryki Środkowej i Południowej. Ze względu na olbrzymią ilość możliwych wariantów działania celem zapobieżenia komunistycznemu zalewowi obu tych Ameryk, które mogą uruchomić kolejne administracje Waszyngtonu, sytuacji jaka za 5, 10, 15 lat zaplanuje na całym obszarze Wolnego Świata nie da się przewidzieć. Jedno nie ulega wątpliwości: po politycznym upadku Europy Stany Zjednoczone będą ostatnim potężnym adwersarzem Sowietów. Zagrożenie małej, a zarazem niesamowicie gęsto zaludnionej Japonii tuż u brzegów sowieckiej Azji sparaliżuje zapewne politykę japońską, udaremni powstanie woli oporu, a w takim stanie rzeczy Moskwa robi znacznie więcej aniżeli robiła dotąd, żeby pogodzić się z Pekinem. Rosja będzie wtedy gotowa iść wobec Chin na niebywałe ustępstwa i na ofiarowanie im wszelkich gwarancji, ponieważ będzie, rzecz jasna, zamierzała wszystkie ustalone porozumienia unieważnić, kiedy zostanie na półkuli Oceanu Spokojnego sam na sam z olbrzymimi, ale wciąż daleko od niej słabszymi Chinami. Dlatego przyszła wojna sowiecko-chińska jest bardziej, daleko bardziej prawdopodobna niż zbrojne wkroczenie Rosji do Europy. Chiny bowiem, jako państwo tak samo totalitarne, funkcjonujące na sowieckich zasadach, nie będą mogły mieć żadnych wątpliwości, czego Kreml naprawdę pragnie i jakim świstkiem są dlań wszelkie traktaty. Ponieważ opinia publiczna nie ma w Chinach, analogicznie jak w Sowietach, najmniejszego wpływu na decyzje rządzących, opinia ta nie może przejść metamorfozy analogicznej do upadlającej przemiany Europejczyków w wasali, a potem w potulnych pracowników zagranicznych sowieckiego imperium. Pozostają jednak Stany Zjednoczone i niebezpieczeństwo wojny międzykontynentalnej będzie rość proporcjonalnie do europejskich, afrykańskich i azjatyckich bezwojennych sukcesów Moskwy. Zbigniew Brzeziński miał słuszość utrzymując, że Rosja jest za słaba, żeby mogła opanować świat militarnie, lecz orzeczenie to pomijało alternatywę polityczną, jaką stanowi podbój bez użycia zmasowanej siły wojskowej. Moskwa stawia już teraz na podbój bezmilitarny. Powinien podług tego co zachodzi udać się, jakkolwiek nie tak prędko może ani nie tak prosto, jak to przedstawiam. W dalekiej perspektywie rysuje się wszakże sztycherzy względem nadziei przerażonych, znikczemniałych w strachu Europejczyków wariant zdarzeń, który przeprowadzi Europę z deszczu pod rynnę: unikną, jak o tym marzą, sowieckich ciosów atomowych, żeby ściągnąć na swe głowy ciosy amerykańskie, ponieważ bezoporne zejście ze sceny historycznej Stanów Zjednoczonych wydaje się rzeczą niemożliwą. Groza wojny nuklearnej będzie tym większa, im większa będzie skuteczność ekspansji Sowietów, a tym samym im jawniej zostanie naruszona równowaga sił.

Jeśli współcześni Niemcy, ci, co piszą o konieczności wyjścia z NATO, czyli zlikwidowania organizacji obronnej, dożyją XXI

wieku, będą mogli utrzymywać, że widząc w USA główne niebezpieczeństwo, mieli rację. (Oczywiście będą kłamać jak dzisiaj, ponieważ to oni, Europejczycy, godząc się na zniszczenie istniejącej równowagi, porażając rządy w ich wysiłkach przywrócenia tej równowagi dobrojeniem, sami doprowadzą do wojny światowej).

II

Sprawę dobrojenia Europy traktuje się dziś w sposób wskazujący na prawie powszechne niezrozumienie istoty zagadnienia. Ci, którzy przeliczając siły obu stron dochodzą do wniosków, negujących potrzebę dobrojenia, ponieważ każda strona dysponuje już potencjałem śmierci, pozwalającym zabić ludność strony drugiej wiele razy, uważają się za racjonalistów. Cóż, kiedy racjonalne rachuby nie mają decydującego znaczenia w grze politycznej, w której stawką jest cały świat, bo w tej grze z atomowymi atutami nie o to idzie, kto by wojnę atomową w samej rzeczy mógł wygrać, lecz o to, kto ze strachu pierwszy objawi słabość! Jasne jest, że strona, która okłamuje zarówno stronę przeciwną jak własne społeczeństwo zdobywa taktyczną przewagę, którą może z czasem przekształcić w przewagę strategiczną. Jasne jest, że rząd, który w ogóle nie musi się liczyć z opinią swojej ludności, który może z tej ludności wyciskać maksimum produkcji na cele militarne znajduje się w lepszym położeniu przy hazardowym stole, aniżeli rządy upadające, kiedy społeczeństwa stają przed alternatywą zaciśnięcia pasa albo wybrania innych rządów, które będą z Sowietami pertraktowały. Jasne jest, że ten, kto nie liczy się z nikim ani z niczym, ma w szantażowej grze przewagę nad tym, kto jest zmuszony do przestrzegania norm, ograniczany prawem, wolą wyborców, a tym samym wciąż zagrożony upadkiem, gdyby tej woli należycie nie uwzględnił. Jasne jest, że największą przysługę sowieckiej racji stanu, stojącej na kłamstwie wobec całego świata, wyrządza ten, kto zamiast to kłamstwo demaskować, wspiera je, namiętnie biorąc się — w samozakłamaniu, niekoniecznie zaraz jako sowiecki agent — do fałszowania stanu rzeczy, czyli oszukiwania własnego społeczeństwa. I wreszcie jasne jest, że za wszystkimi szczytnymi dążeniami do trwałego pokoju, za przypisywaniem Sowietom woli współistnienia, za oskarżaniem Stanów Zjednoczonych o zbrodniczą agresywność i niepomaganie w zbrojeniach kryje się strach, okropny strach, który, jak wiadomo, jest najgorszym doradcą.

Pojałtański porządek świata, który już teraz zaczyna się wyłaniać z chaosu współczesności, będzie przedstawiał poczarwane curiosum historyczne. Ma to być *pax sovietica* dobrowolnie przyjęta przez ludy nie okupowanej i nietkniętej wojną Europy, pracującej w niemal ochotniczym zniewoleniu na rzecz podbitych ludów imperium sowieckiego, które w masie swej od dawna pogodziły się ze zniewoleniem, którym często brak nawet świadomości, że są niewolnikami.

Przedstawiony wariant schyłku XX stulecia jest najgorszy z możliwych, ponieważ wysoce prawdopodobny. Sowiety nie zatakują pierwsze ani Europy ani tym bardziej Ameryki. Europy nie, bo jak powiedziałem korzystniej jest czekać aż gruszki dojrzeją i spadną, aniżeli ścinać gruszę. Ameryki nie, bo dobrze znają kiepską sprawność swej maszyny wojennej. Przecież wiadomo już, że Sowiety zestrzeliły koreański samolot pasażerski dopiero po dwu godzinach nie na skutek przezornego pomiarkowania, lecz dlatego, że nie potrafiły zrobić tego wcześniej. Był to wszak już drugi test: pierwszy dał rezultat podobny, gdy kilka lat temu inny koreański samolot wtargnął od strony bieguna północnego na tysiące kilometrów w głąb sowieckiego terytorium. ZSSR, ten morderczo uzbrojony olbrzym, był niedołężny i taki pozostał. Tylko odpowiadając MILITARNIE rzeczywiście zbędnym dobrojeniem na wyzwanie, rzucone jej przez nie tak zbędne, bo służące szantażowi sowieckie zbrojenia, mogłaby Europa dać niewolniczemu imperium do zrozumenia, że się nie da groźbami ubezwłasnowolnić, a tym samym eksploatować. Nic nie wskazuje na to, by potrafiła się rychło zdobyć na taką wolę oporu. Haniebnego samozakłamania Europejczyków nie odmienia żadne rzeczowe argumenty. Jak powiedział Marks — czemuż nie moglibyśmy go zacytować? — dramat historii, kiedy powraca na jej scenę, okazuje się farsą. W samej rzeczy warto sobie uprzytomnić, że to Niemcy przed czterdziestu laty dowiodły Europę do zguby i że teraz usiłują zrobić to ponownie. Tyle, że wtedy przyczyną był ich nadmiar buty i ślepe posłuszeństwo wobec Hitlera, a obecnie zaślepienie strachem. Czarny komizm położenia polega na tym, że za pierwszym razem usiłowali pokonać, innych, a teraz usiłują ściągnąć wszystkich na dno wraz ze sobą. Bez takiej pomocy Niemiec Sowiety nie dałyby Europie rady.

Niemcy demonstrują przeciw Amerykanom, pikietują ich bazy, gdyż wiedzą dobrze, że nic im za to ze strony Amerykanów nie grozi. Jest to w kategoriach polityki zgubna głupota, w kategoriach etyki nikczemność, a w kategoriach psychologii — freudowskie przemieszczenie agresji z przeciwnika prawdziwego na urojonego. Publicyści, teologowie, intelektualiści niemieccy, ciskający zniewagi na amerykańskiego prezydenta, tak jak ci, co rzucają worki z krwią na amerykańskiego generała wiedzą wybornie, że im za to włos z głowy nie spadnie. Nie zagraża im nic oprócz rezygnacji Amerykanów z szansy europejskiego uratowania równowagi w skali świata. Kiedy Amerykanie sobie pójść, po tym już nieodwracalnym odwróceniu nic Europejczyków nie uratuje. Zostawszy sam na sam z Moskwą, pierwszej się za dziwi, a potem przeraża. Ale będzie już za późno. Gińcie z Niemcami na czele, ludy starej Europy, skoro tak bardzo wam na tym zależy.

P. ZNAWCA

Sytuacja w Afganistanie

ROZMOWA Z SAYD FAZEL AKBAR'EM
KIEROWNIKIEM AFGAŃSKIEGO OŚRODKA INFORMACJI
I DOKUMENTACJI W PESZAWARZE (WRZESIEŃ 1983)

Z okazji kongresu naukowego w Pakistanie spędziłem m.in. tydzień w Peszawarze, gdzie miałem możliwość zetknąć się z niektórymi osobami reprezentującymi politycznie i organizacyjnie masy uciekinierów afgańskich, a także utrzymującymi kontakt z różnymi grupami afgańskich bojowców (*mudżahidin*). Rozmowę z p. Akbarem, b. pracownikiem radia w Kabulu, odbyłem 19 września w jego biurze, które jest też małym muzeum militariów sowieckich, dostarczonych przez bojowców dość swobodnie przenikających do Peszawaru przez pobliską granicę. Wśród eksponatów znajdowało się kilka „zabawek” plastikowych, wybuchających przy lada dotknięciu, a o których prasa zachodnia pisała ze sceptyzmem. W istocie miny te nie są „zabawkami” *sensu stricto*, tzn. nie są zrobione celowo by przyciągać dzieci, ale na pierwszy rzut oka sprawiają takie wrażenie. Są to ok. 10-centymetrowe przedmiociki w kształcie rybek o różnych odcieniach zieleni. Spłaszczony „ogon” jest względnie niegroźny, natomiast rozdęty korpus zawiera ok. 50 gr. środka wybuchowego i eksploduje przy dotknięciu. Miny te przeznaczone są niewątpliwie do rozrzucania po polach i łąkach, gdzie stają się prawie niewidoczne; na tle brunatnej ziemi afgańskich gór muszą się odcinać bardzo wyraźnie i zapewne skusiły niejedno dziecko w górskich wioskach. Drugim rodzajem eksponatów były różne odmiany sprzętu przeciwgazowego: maski, fiolki z chemikaliami sygnalizującymi obecność gazu itp.; p. Akbar podkreślał, że każdy sowiecki żołnierz jest wyposażony w ten sprzęt, co — jego zdaniem — winno służyć za dowód, iż Rosjanie często używają gazu w akcji, a o czym prasa zachodnia również pisze półgębkiem i bez przekonania.

Mimo, że znam paszto (afgański) raczej tylko biernie, nie chcąc ograniczać swobody wypowiedzi mego rozmówcy prosiłem p. Akbara, by mówił w swym języku ojczystym i poniższy tekst jest tłumaczeniem (z niewielkimi skrótami), dokonanym przeze mnie później, w wolniejszym czasie, z taśmy magnetofonowej. Niektóre dodatkowe informacje (wtrącone w kwadratowych nawiasach) pochodzą z angielskich biuletynów Biura, które dostałem w czasie mej wizyty. W rozmowie uczestniczył też p. Madżruh, jeden z głównych koordynatorów politycznych na terenie Peszawaru, ale udział swój ograniczył on jedynie do roli kome-

tatora i (chwilami) tłumacza. Rozmowa nie przyniosła jakichś rewelacji faktycznych, odzwierciedla jednak dobrze nastroje i poglądy afgańskich działaczy politycznych i z tego względu wydaje mi się interesująca. Oto jej tekst:

M. BROŃSKI: — Co chciałby pan powiedzieć na temat rosyjskiej akcji w Afganistanie?

FAZEL AKBAR: — Jak wiadomo, Rosja jeszcze w czasach carskich snuła plany podboju Afganistanu. W nowszych czasach usiłowała uzyskać ten cel innymi środkami: mowa była o pomocy gospodarczej i przyjaźni, ale wszystko to w rzeczywistości zmierzało do podporządkowania sobie naszego kraju. W tym też celu Rosja zwerbowała sobie pomocników wewnętrznych, członków ugrupowań komunistycznych *Chalq* („Lud”) i *Parczam* („Sztandar”) i oni to w kwietniu 1978 drogą krwawego zamachu stanu siłą zagarnęli władzę. Ludność jednak szybko zorientowała się, że ludzie ci są jej obcy, że nie reprezentują interesów Afganistanu i że są po prostu pomocnikami Rosjan, toteż zaczęła stawiać im opór, przybierający szybko rozmiary powstania. Rosjanie zorientowali się, że ich wpływy słabną, więc w grudniu 1979 postanowili interweniować bezpośrednio, militarnie.

Wojna, która toczy się obecnie w Afganistanie ma charakter szczególny i porównywanie jej z wojną w Wietnamie jest mylące, choćby dlatego, że tam strona antykomunistyczna miała ogromną pomoc amerykańską. W Afganistanie walczący są sami. Rosjanie prowadzą akcję, ignorując zupełnie przyjęte na świecie prawa wojenne: zabijają kobiety i dzieci, masakrują ludność cywilną. Jakiś miesiąc temu na przykład, w Ghazni, wyciągnięto z domów pewnego dnia ok. 20 osób i zabito je bez ceregieli. Powtarza się to często — przed trzema miesiącami w prawie każdej wsi w okolicach Pagmanu zabito w ten sposób wiele osób, w odwet za pomoc *mudżahid*’om. Poza większymi miastami Rosjanie nie mają władzy w terenie i dopiero gdy oddziały bojowców wycofają się w góry, wkraczają w formie ekspedycji karnych i zabijają ludność cywilną; giną kobiety, dzieci, nawet zwierzęta.

Rosjanie nie prowadzą właściwie systematycznej akcji przeciw bojowcom, na razie zależy im głównie na zapewnieniu bezpieczeństwa swym transportom i garnizonom. Tu działają systematycznie: np. na terenach na północ od Kabulu i Kunduzu stworzyli rodzaj korytarzy dla swych transportów, niszcząc wszystko wzdłuż kilkusetmetrowych pasów po obu stronach drogi, domy, ogrody, wszystko... Wokół Kabulu i innych ośrodków zniszczyli wiele osiedli, by stworzyć bezpieczne strefy i zmusić ludność do emigracji. To ostatnie jest zaplanowaną taktyką: zbrojne najazdy na określone okolice mają za cel zmuszenie ludności do masowej emigracji, chodzi o wyparcie tysięcy ludzi z danej okolicy naraz. Nawet członkowie *Parczam*’u (komunistycznej frakcji, z którą związany jest Babrak Karmal i która po zlik-

widowaniu Tarakiego i Amina — opierających się na *Chalq'u* — jest obecnie głównym ugrupowaniem reżymowym) przyznają, że plan sowiecki polega na wyparciu lub wygłodzeniu ludności; chodzi im o to, by pozostał goły teren...

M.B.: — *I stąd Pakistan ma obecnie na swym terenie 3,5 miliona uchodźców afgańskich... Czy pomoc materialna dla nich jest wystarczająca?*

F.A.: — Pakistan pomaga, ale wiadomo powszechnie, że kraj ten nie ma wystarczających środków materialnych i ma wiele własnych kłopotów ekonomicznych. Inne kraje też pomagają, ale pomoc ta nie wystarcza w pełni, są trudności z odzieżą i żywnością. Wolny świat powinien zwiększyć pomoc, zwłaszcza, że Afganistan walczy po jego stronie, z jego przeciwnikiem... Poza tym zapomina się często, że uchodźców jest więcej, istnieją bowiem masy uchodźców *wewnętrznych*, ludzi którzy nie byli w stanie przedostać się poza granicę — przejścia są nieraz odległe, trudne i niebezpieczne — ale musieli schronić się w innych prowincjach Afganistanu.

M.B.: — *Wiem z doświadczenia, że każdy reżym typu sowieckiego zaczyna od organizowania szerokiej sieci policyjnej i werbowania donosicieli. Czy wobec tego Rosjanie nie są w stanie szybko wytropić takich uciekinierów wewnętrznych?*

F.A.: — Jak wspomniałem, Rosjanie nie kontrolują w pełni tere-
nu. [Według analizy danych, dokonanej w grudniu 1982 roku, około 80 % terytorium znajdowało się wówczas pod kontrolą *mudżahid'ów* i nawet tak duże ośrodki jak Kandahar, Ghazni i Herat oceniano jako w 50 % „uwolnione”, tzn. będące częściowo we władaniu grup bojowych; sytuacja jest oczywiście płynna]. Okupują tylko stolicę i pewne ośrodki prowincjonalne, nie mogą więc kontrolować ruchu ludności. Ale zjawisko donosicieli i agentów jest faktem. Zorientowawszy się, że akcja bezpośrednia przeciw bojowcom nie daje rezultatów, Rosjanie sięgnęli do środków pośrednich: przekupstwa, nacisku ekonomicznego... Próbuje infiltrować grupy *mudżahidin*, rozbijać jedność... Ale nawet jeśli agentom udaje się niekiedy osiągnąć to na płaszczyźnie politycznej czy organizacyjnej, nie ma to większego znaczenia w skali ogólnej. Wojna w Afganistanie trwa już od 4-5 lat i od początku akcje bojowe były rozproszone. Należy zdać sobie sprawę, że wojna ta nie ma „celu”, nikt nie podejmuje walki rozważając szanse, czy uda się wyprzeć Rosjan czy też nie... To jest wojna o styl życia, o Islam, o wiarę, to jest *dżihad* (wojna religijna), w której walczący składają ofiarę z siebie. Należałoby życzyć sobie większej jedności, należałoby sobie życzyć większej pomocy ze strony wolnego świata — Afganistan walczy po jego stronie — należałoby sobie życzyć większego nacisku Zachodu na Związek Sowiecki, zwłaszcza nacisku ekonomicznego; ale

niezależnie od tego, czy warunki te będą spełnione czy nie, walka w Afganistanie będzie trwała — być może kraj padnie, ale nie podda się. Nawet w obecnej sytuacji w Afganistanie jest nadzieja, jest wielka nadzieja na wolność.

M.B.: — *Wspomniał pan kwestię jedności, a raczej jej braku. Nawet wśród przedstawicielstw politycznych w Peszawarze brak jej. [Działają tu sześć różnych ugrupowań, dwa nawet o tej samej nazwie („Muzułmańska partia Afganistanu”), ale kierowane przez dwóch różnych przywódców; główne rozbieżności dotyczą kwestii ustrojowo-religijnych, gdyż wszystkie ugrupowania mają za cel taki czy inny „ustrój muzułmański” w przyszłości w Afganistanie; p. Akbar określa trzy ugrupowania jako „fundamentalistyczne”, tzn. mniej lub bardziej radykalne à la Chomejni, a trzy jako „umiarkowane”]. Jak to odbija się na akcji militarnej w Afganistanie?*

F.A.: — To fakt, że każdy *mudżahid* czy emigrant przybywający tu z Afganistanu skarży się na brak jedności. I jedność ta jest wielką potrzebą — jest zresztą nadzieja na to, prowadzi się rozmowy... Ale w praktyce brak jej nie ma aż tak wielkiego znaczenia w chwili obecnej. Na miejscu każdy komendant grupy bojowej jest suwerenny, podejmuje akcje według własnego rozeznania sytuacji, zależnie od własnych środków, warunków lokalnych, własnej determinacji, sam organizuje współdziałanie. I akcje są prowadzone...; [Jako przykład typowej drobnej akcji p. Akbar wskazuje na „incydent” opisany w biuletynie Ośrodka z 1 sierpnia 1983: 25 lipca grupa *mudżahid'ów* z kwater w Kila-gai otoczyła grupę żołnierzy sowieckich, kwatrujących w pewnym ogrodzie w miejscowości Doszi; zabito dwóch oficerów i sześciu żołnierzy, zginęło dwóch bojowców afgańskich; zdobyto 8 karabinów typu Kałakow i Kałasznikow i jednego jeepa].

M.B.: — *Oczywiście nie da się wymierzyć liczebnie ludzkiego cierpienia, ale jak pan ocenia straty Afganistanu w terminach demograficznych? W 1979 roku kraj ten liczył ponad 20 mln ludzi — na ile ocenia pan straty obecnie?*

F.A.: — Brak dokładnych danych, ale liczba zabitych przekracza pół miliona; są też wielkie ilości rannych. Afganistan stracił też 5 milionów ludzi, którzy wyemigrowali — 3,5 mln tu (do Pakistanu), 1,5 mln do Iranu.

M.B.: — *Wiadomo, że główną siłą oporu są Pasztuni; ale Afganistan jest krajem wieloetnicznym: mieszkają tam Hazara (ludność pochodzenia mongolskiego w centrum Hindukuszu), Tadżykowie i Uzbeki na północy; niepasztańskie grupy ludności czuły się niekiedy zdominowane i odsunięte na drugi plan przez Pasztunów. Czy obecnie nie odbija się to na ich postawie wobec sowieckiego najazdu?*

F.A.: — To fakt, że głównym elementem wśród bojowców są Pasztuni, ale inni też biorą udział w walce. Różnice etniczne nie mają tu znaczenia: na północy też walczą, walczą Uzbegy i Tadżykowie, wszyscy pomagają *mudżahid*'om. Nawet sowieccy Uzbegy i Tadżykowie pomagają nam, przekazują amunicję... [Jak wynika z zeznań dwóch muzułmańskich żołnierzy sowieckich, którzy przeszli na stronę *mudżahidin* (biuletyn z 1 lipca 1983), sprzedają zdobytej lub skradzionej broni jest dość powszechnym procederem wśród stacjonujących żołnierzy sowieckich]. Różnice etniczne nie mają wpływu na postawę wobec najeźdźców...

M.B.: — *A jak wygląda sytuacja w afgańskich wojskach „rządowych”? Armia ta (licząca w 1979 ok. 100 tys. żołnierzy) bardzo się przerzedziła przez dezercje, ale wciąż istnieje...*

F.A.: — Jest bardzo słaba. Właściwie nie ma co w ogóle mówić o „wojsku Karmala”. Ci, którzy w nim służą, tylko czekają na okazję, by przejść do *mudżahidin*. Do wojska biorą siłą, pod presją rosyjską; biorą kilkunastoletnich chłopców, organizują różne formy nacisku... [Jedną z nich jest uzależnienie studiów od uprzedniej służby wojskowej, stąd w ub. roku na uniwersytecie w Kabulu 90 % studentów stanowiły dziewczęta. Uniwersytet zresztą jest „zreorganizowany”, rządzi w nim „doradcy” sowieccy, a wykładają ludzie, zwerbowani według kryteriów politycznych i poziom jest bardzo niski; ok. 80 % dawnych wykładowców wyemigrowało. Rosjanie starają się stworzyć nową elitę, wykształconą w Sowietach — obecnie studiuje tam ok. 10 tys. młodych Afganów]. Wojsko to jest bardzo źle wyćwiczone, do służb technicznych (czołgi, lotnictwo) biorą nawet inwalidów z dawnych roczników! Tak, że Babrak Karmal właściwie nie ma w ogóle wojska...

M.B.: — *To znaczy, że Rosjanie są zmuszeni zwiększać coraz bardziej swój własny kontyngent w Afganistanie. Czy potrafi pan ocenić liczbowo wielkość sił sowieckich w tym kraju?*

F.A.: — To bardzo trudne, ponieważ właściwie nie ma granicy pomiędzy Afganistanem a Związkiem Sowieckim. Oni wprowadzają i wyprowadzają wojska zależnie od potrzeb chwili. Dotyczy to specjalnie samolotów, które właściwie z zasady startują z lotnisk sowieckich na ich terenie, a nie w Afganistanie. Tak, że nie da się powiedzieć dokładnie, choć na pewno liczba żołnierzy stale wzrasta.

M.B.: — *Czy uważa pan, że świat zachodni jest dobrze informowany o tym, co dzieje się w Afganistanie?*

F.A.: — Nie. Prasa zachodnia prawie nie pisze o tym, że wojna ta dotyka nie tylko bezpośrednio walczących, ale i całej ludności

cywilnej, że toczona jest wbrew przyjętym konwencjom. Rosjanie używają gazów trujących i to w wielu wypadkach. Przed kilku tygodniami w prowincji Logar zginęło od gazu ponad 100 osób, które schroniły się przed atakiem lotniczym w *karezie* (podziemnym kanale nawadniającym). W wielu innych miejscowościach, gdzie użyto gazu, skutki tego widoczne są po dziś dzień — ludzie cierpią na zaburzenia wzroku i słuchu, wymioty... Rosjanie używają masek, a ludność cywilna ich nie ma. O tym, że ludzie wciąż giną — nie tylko bojowcy, ale i ludność cywilna, kobiety i dzieci — pisze się za mało. Po strąceniu przez Rosjan samolotu południowokoreańskiego, w którym zginęło dwieście kilkadziesiąt osób, pisano bardzo dużo na ten temat — ale nie pisze się o tym, że w Afganistanie *codziennie*, w każdej prowincji ginie więcej ludzi niż tam... Sprawa Afganistanu przestała jakby liczyć się w opinii światowej. Niestety.

Rozmawiał M. BROŃSKI

ALBUM WOJNA Z NARODEM Polska, 13 grudzień 1981...

Zawierający zdjęcia dramatycznych wydarzeń po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce zdobył już znaczny rozgłos i uznanie w świecie.

Pozostałe jeszcze egzemplarze są do nabycia:

Komitet Poparcia Solidarności, Południowa Szwecja
BOX 1601, S — 211 01 Lund

oraz

Institut Littéraire, s.a.r.l.
91, Avenue de Poissy, Le Mesnil le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte, France

Cena z przesyłką — \$ 15,00 lub F.120,00.

Dochód przeznaczony na niezależne wydawnictwa w Polsce.

Kraj

Kryzys gospodarczy w PRL

Już od trzech lat trwa w Polsce otwarty kryzys gospodarczy, od czterech lat spada dochód narodowy i maleje produkcja, piąty już rok obniża się stopa życiowa ludności, a od siedmiu lat narastają inwestycje zamrożone, zatrzymane, opuszczone.

Wszystko to dzieje się na skalę nie notowaną dotychczas w historii gospodarczej świata po drugiej wojnie światowej, a przy tym bez żadnej widocznej, zewnętrznej przyczyny. Przez Polskę nie przetoczyła się wojna, nie dotknął jej żaden żywiołowy kataklizm, przeciwnie, w okresie poprzedzającym załamanie kraj dostał ogromną pomoc gospodarczą w postaci pożyczek, które można tylko porównać z pomocą, jaką Europa Zachodnia otrzymała w ramach planu Marshalla. Skutek jednak okazał się inny. Co zatem się stało?

Jakkolwiek całe wydarzenie jest nadzwyczajne, reakcja na nie okazała się dość szablonowa: na świecie ukazały się sensacyjne doniesienia, potem przyszły wyrazy współczucia i pomoc dla ludności. Oczywiście tej pomocy nie można nie doceniać: w Europie Zachodniej zaangażowało się w nią tysiące ludzi, w Polsce pomoc w postaci paczek otrzymywało setki tysięcy rodzin. Ale ta wielka i szlachetna akcja mieści się w ogólnym modelu światowej solidarności, która już nieraz się ujawniała z okazji wielkich suszy, trzęsień ziemi czy powodzi. Sama pomoc nie była więc tak nadzwyczajna jak wydarzenie, które ją wywołało.

W kraju władze zgodziły się na to, by załamanie gospodarki nazwać kryzysem, ale propaganda robi wszystko, żeby całą sprawę przedstawić prawie jako normalną: wszędzie na świecie zdarzają się kryzysy, więc mógł się zdarzyć i u nas, a poza tym został już opanowany i już z niego wychodzimy...

Ludność, po pierwszym szoku spowodowanym gwałtownym opustoszeniem półek sklepowych, została sparaliżowana wprowadzeniem stanu wojennego, co w pierwszym okresie skierowało jej świadomość na sprawy inne niż gospodarcze, mianowicie na bezpośrednie zagrożenie egzystencji. Później ludzie zaczęli się przyzwyczajać do gwałtownie rosnącej biedy, a przyzwyczajenie jest wstępem do uznania sytuacji za normalną.

Tak więc z żadnej strony to, co stało się (i dzieje się nadal) z gospodarką polską nie spotkało się z reakcją, analizą i oceną odpowiadającą niezwykłości tego wydarzenia. Świadomość ludzi okazała się na to nieprzygotowana, a nasz aparat pojęciowy ujawnił swą niewystarczalność zarówno dla analizy, jak i dla oceny zjawiska.

Niniejsze uwagi nie mogą oczywiście pretendować do miana takiej analizy i oceny. Na to potrzeba zbiorowego wysiłku badawczego i naukowego. Ale ponieważ na wyniki takie trzeba dopiero poczekać, niżej podpisany pragnie już obecnie wskazać na te elementy owego syndromu polsko-socjalistyczno-gospodarczego, do których powinniśmy się przede wszystkim ustosunkować i określić ich miejsce i znaczenie w istniejącym systemie pojęć z zakresu gospodarki, polityki i historii.

I. Jaki kryzys?

Nieprzystawalność pojęć, którymi operujemy do wydarzeń, które się dzieją, daje się odczuć już przy podejściu do tematu, gdy mianowicie chcemy nazwać zjawisko. Mówimy: „kryzys gospodarczy w Polsce”, gdy tymczasem pojęcie kryzysu było dotychczas używane do oznaczenia zupełnie innych zjawisk niż te, które mają miejsce w PRL. Pod słowem „kryzys gospodarczy” rozumiano zarówno w naukach ekonomicznych jak i w praktyce sytuację, w której popyt zmniejszony o niezainwestowane oszczędności okazywał się niedostateczny dla wchłonięcia istniejącej podaży. Wskutek tego, że część podaży nie znajdowała zbytu, odpowiadająca jej część aparatu produkcyjnego ulegała unieruchomieniu. Wraz z nią część siły roboczej wypadała z produkcji i pojawiało się bezrobocie. To powodowało dalsze zmniejszenie popytu, co znowy wyłączało dalszą część aparatu produkcyjnego itd., aż do momentu, w którym zmniejszenie podaży (produkcji) okazywało się większe niż ubytek popytu, który w tym czasie zasilany zaktywizowane oszczędności lub też kreowane *ex nihilo* kredyty. Wówczas zaczynał się proces odwrotny: następowało ożywienie. Natomiast w czasie kryzysu, niejako po drodze i mimochodem, wskutek zaostrzonej konkurencji (duża podaż, mniejszy popyt)

następowała w aparacie produkcyjnym uzdrawiająca selekcja, odpadały przedsiębiorstwa i branże niedostosowane i gospodarka wychodziła z kryzysu wzmocniona i o odnowionej strukturze.

Jak z powyższego opisu widać, dotychczasowe kryzysy w gospodarce kapitalistycznej były kryzysami popytu i miały swe źródło w sferze podziału.

Inaczej jest w Polsce. Tutaj nastąpił gwałtowny spadek produkcji przy istniejącym, ogromnym i niezaspokojonym popycie. Z punktu widzenia popytu w PRL była i jest nadal wspaniała koniunktura. Każda produkcja, która się pojawi jest natychmiast sprzedana: zakupi ją państwo lub ludność. Jest to zresztą systemowo zagwarantowane: brak popytu, czyli brak pieniądza na zakup wytworzonej produkcji nie może być przeszkodą w jej realizacji czyli zbycie. W razie potrzeby tworzy się pieniądz *ex nihilo*, wprowadza się go w obieg w formie dotacji i to co zostało wyprodukowane zostaje sprzedane i zakupione. Od tej strony maszyna gospodarki funkcjonuje znakomicie. Kryzys tkwi w tym, że mimo popytu produkcja nie zostaje wytworzona, podaż nie pojawia się na rynku lub też pojawia się w niedostatecznych rozmiarach. Jak z tego wynika, kryzys w gospodarce socjalistycznej, ujawniony w swej krańcowej postaci w PRL, jest kryzysem podaży i ma swoje źródła w sferze produkcji.

Ta różnica w samej istocie zjawiska ma ogromne znaczenie dla oceny perspektyw dalszego jego przebiegu. Kryzysy gospodarki kapitalistycznej mają charakter koniunkturalny i w stosunku do procesu produkcji zewnętrzny. W samym systemie gospodarki kapitalistycznej mają charakter koniunkturalny i w stosunku do automatycznie wprowadzają z kryzysu.

Kryzys gospodarczy w PRL jest kryzysem systemowym. Zmienność koniunktury nie ma na to żadnego wpływu. Kryzys gospodarczy jest immanentny, wewnętrzny w stosunku do procesu produkcji i gospodarka nie ma żadnych mechanizmów obronnych, które automatycznie prowadziłyby do jego przezwyciężenia.

Inne są również szanse skutecznej polityki antykryzysowej. O wiele łatwiej jest wyjść z kryzysu popytu, którego źródła tkwią w sferze podziału. Ponieważ rdzeń gospodarki, czyli proces produkcji jest zdrowy, wystarczy dokonać odpowiedniej korekty w podziale i gospodarka natychmiast podrywa się do góry. Praktyka gospodarki kapitalistycznej zarówno przy polityce keynesistów jak i przy polityce monetarystów potwierdza tę tezę.

Natomiast przy głęboko ułomnym procesie produkcji sanacja gospodarki i przezwyciężenie kryzysu są znacznie trudniejsze, wymagają bowiem zmiany samego procesu produkcji. To zaś jest

niemożliwe bez zmiany całego systemu gospodarczego, a także politycznego.

II. Jakie przyczyny?

Aby sprawa stała się wyraźniejsza, pomówmy o przyczynach. Nie będą to uwagi odkrywcze. Wielokrotnie już o tym pisano, analizując funkcjonowanie gospodarki socjalistycznej. Ale obecnie dawne tezy i sformułowania, uważane przez niektórych za abstrakcyjne uzyskują nowy walor przez potwierdzenie w jakże katastrofalnej praktyce.

Gospodarka PRL i gospodarka socjalistyczna w ogóle pracują z niską efektywnością, czyli inaczej mówiąc przy bardzo wysokich (i ostatnio rosnących) nakładach osiągają stosunkowo niskie efekty produkcyjne. Wskutek tego mogą one funkcjonować, a nawet w pewnym sensie rozwijać się tylko wówczas, gdy czynniki produkcji znajdują się w takiej obfitości, iż ich wysokie i rosnące zużycie nie prowadzi do wzrostu kosztów, czyli że muszą być niedopłacone. Nazywa się to, że gospodarka stosuje metody ekstensywne i jest zasilana stale nowymi czynnikami produkcji: nowymi surowcami i siłą roboczą i kapitałem. Owe ekstensywne metody produkcji były możliwe we wstępnym fazach uprzemysłowienia, gdy istniały duże rezerwy zarówno siły roboczej (na wsi) jak i czynników naturalnych (surowców i elementów środowiska naturalnego). Ale w miarę jak rezerwy te zaczęły się wyczerpywać, jak dopływ nowej siły roboczej ze wsi zmalał, łatwo dostępne złoża surowców zostały wyeksploatowane, a środowisko naturalne poważnie obciążone przez gospodarkę — czynniki produkcji zaczęły drożeć, co znaczy, że dalszy wzrost nakładów mógł się dokonywać tylko przy rosnących kosztach. Ponieważ jednak efekty produkcyjne były nadal niskie, nie mogły w pełni opłacić zużytych czynników produkcji. W płaszczyźnie realnej oznaczało to, iż produkcja nie odtwarza nakładów produkcyjnych dokonanych w poprzednim cyklu, a taka sytuacja stanowi śmiertelne zagrożenie dla każdego systemu produkcyjnego. Niemożność odtworzenia nakładów z poprzedniego cyklu prowadzi bowiem do tego, że następny cykl produkcyjny dokonuje się już w zmniejszonej skali: nazywa to się, że gospodarka wchodzi w strefę reprodukcji zwężonej, co oczywiście na dłuższą a nawet na średnią metę oznacza śmierć ekonomiczną. W takiej fazie znajduje się już gospodarka PRL, prawdopodobnie wchodzi w nią już inne kraje tzw. realnego socjalizmu, z wyjątkiem być może Węgier.

Kryzys w gospodarce polskiej wybuchnął wówczas, gdy czyniki produkcji — kapitał i praca — upomniwały się o zapłatę odpowiednią do nowej sytuacji, to znaczy wyższą. Zagraniczni pożyczkodawcy upomnieli się o zapłatę procentów i rat, a ludzie pracy zorganizowani w niezależny ruch związkowy o wyższe płace. Ponieważ nieefektywna gospodarka obu tych postulatów nie mogła spełnić, ustał dopływ kapitału zagranicznego, a niezależny związek zawodowy przeprowadził ograniczenie czasu pracy (wolne soboty, zniesienie trzeciej zmiany).

Pójdźmy w naszych dociekaniach jeszcze o krok dalej i zapytajmy, dlaczego gospodarka PRL okazała się tak nieefektywna. Również i na to pytanie dano już niejednokrotnie odpowiedź. Przyczyną nieefektywności jest wadliwa alokacja czynników produkcji, wynikająca z dyrektyw planu centralnego. Plan centralny stawia przed gospodarką fałszywe cele — stąd mamy wadliwą strukturę produkcji. Plan centralny wybiera fałszywe metody produkcji — stąd mamy wysokie koszty produkcji. Plan centralny nie umie przenieść sygnałów od popytu do produkcji — stąd mamy marnotrawstwo nietrafionych wyrobów z jednej strony i ogromne braki z drugiej.

Dlaczego tak się dzieje? Otóż część przyczyn (fałszywe cele) leży poza sferą gospodarki. Natomiast to, co podpada pod tłumaczenie ekonomiczne można tak wyjaśnić: plan centralny dlatego błędnie alokuje czynniki produkcji, że nie posługuje się rachunkiem ekonomicznym. A na to już w tym systemie nie ma rady.

Jest jeszcze i druga przyczyna owej nieefektywności gospodarczej. Nie wystarczy alokowanie środków według najbardziej nawet dokładnego rachunku ekonomicznego. To prowadzi tylko do oszczędności. Nie wystarczy tylko oszczędzać, trzeba się rozwijać. A do rozwoju potrzebne są innowacje. Gospodarka PRL, gospodarka socjalistyczna w ogóle wykazuje zupełny brak innowacyjności. Dlaczego? Czy ludzie nie umieją tam myśleć? Bynajmniej. Przyczyna leży gdzie indziej. Brak innowacji wynika z braku konkurencji i współzawodnictwa. Postęp i innowacje mogą być wymuszone tylko przez konkurencję. A tej w tym krańcowo centralistycznym systemie zupełnie brak.

Powiedzieliśmy, że gospodarka polska znajduje się w fazie reprodukcji zwężonej. Teoretycznie z tej sytuacji mogą być trzy wyjścia. Można albo na zewnątrz poszukać nowych źródeł zasilenia, umożliwiających dalszy wzrost nakładów i utrzymanie reprodukcji rozszerzonej przy zachowaniu metod ekstensywnych; można również podjąć próbę zahamowania wzrostu kosztów mimo wyczerpywania się rezerw czynników produkcji, co spowodowałoby się do zamrożenia, a nawet obniżenia płac. Można wreszcie pod-

jąć próbę zmian systemowych mających prowadzić do wzrostu efektywności gospodarki.

Obok tego można, a wobec katastrofalnych rozmiarów załamania gospodarczego nawet trzeba było, podjąć szereg działań doraźnych, których głównym celem byłaby ochrona pewnych obszarów gospodarki przed najgorszymi skutkami kryzysu, czyli „oswajanie” kryzysu przez selekcję. Jak zobaczymy dalej, niektóre z tych działań doraźnych stoją w sprzeczności z polityką konieczną do wyjścia z kryzysu.

III. Jaka selekcja?

Polityka selekcji kryzysu polega na tym, by chronić pewne dziedziny (branże produkcji, obszary konsumpcji, metody) przed najostrzejszym załamaniem, co oczywiście musi nastąpić kosztem szczególnego obciążenia kryzysem dziedziny pozostałych. Zobaczmy to na liczbach.

W ciągu czterech lat dochód narodowy PRL obniżył się w stosunku do 1978 roku w ujęciu wartości wytworzonej o 26 %, a w ujęciu dochodu pozostającego do podziału o 30 %. Główny ciężar tego spadku wzięły na siebie inwestycje, które w ujęciu netto, tj. bez amortyzacji, spadły aż o 75 %, a w ujęciu brutto o 45 %. Natomiast fundusz konsumpcji spadł tylko o 15 %, zaś spadek płac realnych w stosunku do 1978 roku wynosił według danych GUS-u 14 %. Jakkolwiek wiarygodność obu ostatnich liczb może budzić wątpliwości, nie można zaprzeczyć, że spadek płac i spożycia w ujęciu globalnym nie był tak wielki jak spadek dochodu do podziału. Pomogło w tym rolnictwo, którego produkcja globalna spadła tylko o 11 %, a towarowa o 13 %. Rolnictwo okazało się zatem dość odporne na kryzys, zwłaszcza rolnictwo indywidualne, gdzie produkcja w 1982 roku była mniejsza od poziomu 1978 roku tylko o 8 %.

Pełny ciężar kryzysu ujawnił się w produkcji przemysłowej, ale i tutaj wystąpiła selekcja. Produkcja globalna przemysłu spadła tylko o 13 %, podczas gdy tzw. produkcja czysta zmniejszyła się o 25 %. Ta różnica oznacza, że nieznacznie tylko (ca o 5 %) spadły koszty materialne produkcji przemysłowej. Nieznacznie również (o 6 %) spadło zatrudnienie w przemyśle, a globalne zatrudnienie w gospodarce narodowej zmalało w stosunku do szczytowego poziomu tylko o 2,5 %.

W samej produkcji przemysłowej też nastąpiła selekcja w obciążeniu kryzysem. Produkcja energii elektrycznej nie spadła w ogóle, węgla wydobyto w 1982 roku tylko o 2 % mniej niż w 1978 roku, natomiast przerób ropy naftowej zmalał o blisko

20 %, produkcja stali spadła o 22 %, produkcja cementu o 26 %, produkcja przemysłu włókienniczego o 36 %, a produkcja telewizorów aż o 45 %. Od 30 % do 40 % spadła produkcja w przemyśle elektromaszynowym, ale tylko w części cywilnej. Natomiast przemysł zbrojeniowy pracuje na pełnych obrotach. Nie ma wprawdzie żadnych statystyk na ten temat, ale wniosek taki można wyciągnąć z pewnych oznak pośrednich: poszczególne fabryki, o których wiadomo że produkują sprzęt zbrojeniowy, pracują w niezmnieszonej skali, mając zapewnione zaopatrzenie materiałowe i siłę roboczą. Z drugiej strony wskazują na to niektóre bilanse materiałowe. Produkcja wyrobów walcowanych spadła tylko o 23 %, podczas gdy produkcja cywilnych odbiorców blach — przemysłu metalowego, samochodowego i stocznioowego — spadła o 35 % do 45 %; przemysły te nie powinny mieć zatem trudności z zaopatrzeniem w blachy. Tymczasem ten półprodukt stanowi główne wąskie gardło w produkcji tych przemysłów. Wytlumaczenie może być tylko takie, iż główny odbiorca blach — przemysł zbrojeniowy — nie tylko nie zmniejszył swego zapotrzebowania, ale je zwiększył.

Selektywność kryzysu ujawniła się również w rolnictwie. Produkcja roślinna zmniejszyła się nieznacznie, natomiast zwierzęca, oparta częściowo o importowane pasze, spadła prawie o 20 %. W rezultacie produkcja zbóż zmniejszyła się tylko o 5 %, produkcja cukru wzrosła o 10 %, produkcja mleka zwiększyła się o blisko 15 %, a produkcja mięsa spadła o 20 %. Polacy muszą przejść z diety białkowej na węglowodanową.

Bardzo ostra selekcja w obciążaniu kryzysem nastąpiła również w handlu zagranicznym. O ile obroty z krajami kapitalistycznymi spadły o przeszło 30 % (import aż o 34 %), o tyle obroty z krajami socjalistycznymi utrzymały się na niezmienionym poziomie.

Wyżej już mówiliśmy, że kryzys gospodarczy działa zawsze selektywnie i że gospodarka z tego wychodzi wzmocniona. Ale nie po takiej selekcji jak ta, która tu została przedstawiona. Nietrudno bowiem zauważyć, że selekcja kryzysowa, której została poddana polska gospodarka prowadzi do zwiększenia i utrwalenia tych wszystkich dysproporcji, które właśnie doprowadziły do kryzysu. W wyniku tej selekcji gospodarka polska była w 1982 roku (i jest także w 1983 roku) bardziej materiałowo, kapitałowo i energochłonna niż była w 1978 roku, a wydajność pracy jest niższa niż była przed czterema laty. W wyniku tej selekcji struktura funduszu konsumpcyjnego uległa pogorszeniu: wydatki na żywność stanowią dziś przeszło połowę wydatków ludności. W wyniku tej selekcji zmieniła się towarowa i geograficzna

struktura naszego handlu zagranicznego, co powoduje zmniejszenie jego efektywności dewizowej, zmniejsza udział Polski w międzynarodowym podziale pracy i ograniczy rolę tego handlu w transferze nowej techniki.

Selektywność kryzysu działa również proinflacyjnie, gdyż gałęzie produkujące na rynek, a więc dostarczające pokrycia towarowego dla pieniądza, zostały dotknięte większym spadkiem produkcji niż przemysły surowcowe, i zaopatrzeniowe i inwestycyjne. Oczywiście produkcja w przemyśle środków produkcji powoduje wydatki pieniężne na płacę, które — nie znajdując towaru na rynku — zwiększają inflację.

Można zatem powiedzieć, że jakkolwiek owa selektywność objawów kryzysowych oznacza pewne przystosowanie się gospodarki do kryzysu, to jednak nie jest to przystosowanie postępowe, lecz wsteczne. Taka selekcja nie pomoże w przezwyciężeniu kryzysu.

IV. Jaka reforma?

Powiedzieliśmy wyżej, że z sytuacji, gdy gospodarka znajduje się w sferze reprodukcji zwięzłej można wyjść przez zmiany systemowe, które spowodują zwiększenie efektywności gospodarczej. Próba taka została podjęta jako tzw. reforma gospodarcza. Spróbujmy ocenić jej możliwości jako lokomotywy, która wyciągnie kraj z kryzysu.

Reforma ma polegać — jak wiadomo — na likwidacji dotychczasowego systemu rozdzielczo-nakazowego w planowaniu i zarządzaniu gospodarką, systemu, w którym plan centralny ustalał dla przedsiębiorstw zadania produkcyjne i przydzielał środki do ich wykonania. W gospodarce zreformowanej przedsiębiorstwa mają uzyskać samodzielność w ustalaniu programu produkcji i wyborze metod produkcji, mają finansować swe wydatki z własnych dochodów oraz być zarządzane przez samorząd załogi. Te zasady streszczono w hasle tzw. trzech „S” — samodzielność, samofinansowanie, samorządność.

Oczywiście wraz z takim ustawieniem przedsiębiorstw reforma obiecywała zmianę systemu ustalania cen (ceny wolne), zmianę systemu planowania (plan niedyrektywny), zmiany w handlu zagranicznym (swobodny dostęp, uzysk dewizowy), zmiany w centralnym aparacie gospodarczym (zmniejszenie liczby ministerstw i centralnych urzędów), rozwój przemysłu drobnego i rzemiosła zarówno spółdzielczego jak i prywatnego.

Powyższe zmiany miały spowodować przełom w dziedzinie efektywności gospodarki: przedsiębiorstwa samodzielne i samo-

finansujące się miały stać się gospodarne i oszczędne w kosztach, a jednocześnie ekspansywne i innowacyjne w produkcji.

Szybko jednak okazało się, że tzw. wdrożenie reformy w praktyce zupełnie odbiega od jej zasad. Jeszcze przed 13 grudnia „Solidarność” wskazała, że ówczesna uchwała Rady Ministrów, nazwana prowizorium systemowym, przekreśla podstawowe zasady reformy i pozwala systemowi funkcjonować bez zmian. Praktyka 1982 i 1983 roku w pełni potwierdziła tę ocenę. Przeciwnicy reformy, argumentując, iż w stanie kryzysu mechanizmy ekonomiczne nie są wystarczające dla sterowania gospodarką, przystąpili do kontrofensywy i albo obeszlili uroczystości podjęte uchwały sejmowe, postanawiające wprowadzenie reformy, albo wprowadzili w zarządzeniach wykonawczych zastępcze i tymczasowe regulacje, utrzymujące poprzedni system nakazowo-rozdzielczy bez zmian. Zgodnie z ustawą o planowaniu nie ma już dyrektyw nakazujących przedsiębiorstwom, co mają produkować, ale najpierw wprowadzono doraźnie tzw. programy operacyjne, określające rozmiar i asortyment około 70 % całej produkcji przemysłowej, obecnie zaś wprowadzono już na stałe tzw. zamówienia rządowe, które zobowiązują przedsiębiorstwa do produkowania „zamówionych” przez rząd wyrobów. Takie rozwiązanie jest głęboko sprzeczne z reformą, według której to właśnie przedsiębiorstwa miały decydować o programie produkcji, kierując się w tym, pod przymusem samofinansowania, wymogami maksymalizacji zysku. Jest jasne, że co innego będzie się produkować na zamówienia rządowe; takie „zamówienia rządowe” mieliśmy już przez 40 lat i wiemy, w jakim stopniu trafiają one w potrzeby ludności.

Reforma obiecywała zniesienie systemu przydziału surowców, materiałów, a docelowo także środków dewizowych. Zamiast przydziału środków produkcji o ich alokacji miała decydować cena, zgodnie z zasadami rynkowymi. W przypadku większości surowców nie dopuszczono do tego, nie tylko utrzymując centralne rozdzielnictwo, ale dodatkowo wprowadzając przymus pośrednictwa nowo utworzonych central zaopatrzenia, czyli jeszcze bardziej oddalając odbiorcę od dostawcy. „Samodzielne” przedsiębiorstwa nadal więc zabiegają o przydziały surowców i półfabrykatów, a przydziały te są uzależnione m.in. od tego, czy przedsiębiorstwo bierze udział w programie operacyjnym lub też realizuje zamówienia rządowe.

Klinicznym przykładem gwałcenia zasad reformy jest sprawa środków dewizowych. Drobnym odstępstwem od dotychczasowej pełnej reglamentacji w przydziale dewiz jest dopuszczenie do tzw. odpisów dewizowych, tzn. przyznanie przedsiębiorstwom

eksportującym części (niewielkiej) uzysku dewizowego osiągniętego z eksportu. Ale po pierwsze stopa odpisu może ulegać zmianie, a więc kwota uzyskanych dewiz już nie zależy od wysiłku przedsiębiorstwa. Bank (czytaj: rząd) może tu stosować specjalne preferencje lub antypreferencje. Po drugie zaś przedsiębiorstwa, które nie eksportują, w dalszym ciągu tak jak przedtem wyczekują na przydział dewiz. Tytułem eksperymentu (!) spróbowano drobną kwotę dewiz (kilka milionów dolarów) rozprzedać do przedsiębiorstw w drodze licytacji, ale narzędziem licytacji miały być nie ceny, które ubiegający się gotowi byli zapłacić za dolary — to byłoby rozwiązanie zbyt komercyjne... Kryterium licytacji miała być społeczna użyteczność i społeczna efektywność produkcji, którą za „zakupione” dolary można by uruchomić. Wyszło z tego żałosne widowisko: komisja (a jakże!), w skład której wchodziła m.in. przedstawicielka Ligi Kobiet Polskich (jak demokracja, to demokracja) nie przyznała np. kilku tysięcy dolarów krakowskiej „Urodzie” na produkcję kremu kosmetycznego, choć efektywność rynkowa 1 dolara włożonego w tę produkcję miała wynieść według oświadczeń przedsiębiorstwa 26.000 zł (!). Ostateczny głos miała właśnie przedstawicielka LKP, która oświadczyła, że w obecnej ciężkiej sytuacji gospodarczej kobiety polskie chętnie obejdą się bez kremu. I wytwórnia kosmetyków dolarów nie dostała! Sens tej historii jest taki, że centralny dysponent gospodarki, niezależnie od tego, co mówi reforma, nie dopuszcza do tego, by o realnych procesach gospodarczych (a więc głównie o tym, co produkować) decydowały sformalizowane reguły gry, np. gry rynkowej. W ostatecznej instancji decydować musi swobodne uznanie administracyjne.

A oto dalsze grzechy praktyki gospodarczej przeciw zasadom reformy. Samodzielne i samofinansujące się przedsiębiorstwa mają same decydować, jaką część zysku przeznaczą na inwestycje oraz na co zaciągną kredyty inwestycyjne. W praktyce jest inaczej. Przede wszystkim ograniczono zyski przedsiębiorstw drakońskimi progresywnymi podatkami, następnie wprowadzono obowiązkowy udział inwestycji w zyskach, bojąc się, że całość zysków pójdzie na płace. Wreszcie, aby zwiększyć kontrolę centrum nad procesem inwestycyjnym, nakazano bankom stosowanie określonych limitów i preferencji w udzielaniu kredytów inwestycyjnych, co jest jawnie niezgodne z zasadami reformy, która nakazuje dać pierwszeństwo w udzielaniu kredytów tym przedsiębiorstwom, które przedstawia najefektywniejszą ofertę inwestycyjną (i zapłaca najwyższy procent). Jeśli zaś chodzi o większe inwestycje, to bez żenady utrzymuje się dyrektywność władz centralnych i nawet antyekonomiczny mechanizm dotacji budżetowych.

Przytoczmy tu dwa przykłady. Dyrektor Bielskiej Fabryki Samochodów Małolitrażowych zapytany przez dziennikarza o perspektywę tego zakładu rozkłada bezzadanie ręce i mówi, że nie wie, to zależy od tego, czy zostaną przyznane odpowiednie kwoty na inwestycje, w tym również kilkadziesiąt milionów dolarów. Pomyślmy tylko: dyrektor samodzielnego przedsiębiorstwa, fabryki, która w ciągu 15 lat sprzedała z ogromnym zyskiem ze dwa miliony wozów, z tego kilkaset tysięcy za twarde dewizy, czeka teraz na przyznanie (przez kogo?) środków i gotów prawdopodobnie żebrząc o zarobione przez siebie dolary, gdyż w przeciwnym wypadku fabrykę trzeba będzie zamknąć.

Drugi przykład. Obecny wicepremier Szałajda na konferencji z nowym związkiem hutników odpowiada na głosy w dyskusji, upominające się o remont zaniedbanych hut (nawet hutnictwo zaniedbało!), że on jest oczywiście za, ale to zależy od tego, czy będą odpowiednie środki w budżecie. Oczywiście wśród tych biednych, spracowanych ludzi nie znalazł się nikt, kto by powiedział wicepremierowi (?), że nie budżet ma finansować remonty w hutnictwie, ale według założeń reformy poszczególne huty muszą wygospodarować ze swej produkcji środki na remonty, podobnie jak na inwestycje i koszty bieżące. Niestety, w tym przykładzie, jak i w setkach podobnych sytuacji, wszystko tonie we frazeologii dotychczasowego systemu nakazowo-rozdzielczego — limity, zadania, dotacje — i według tego toczą się też realne procesy gospodarcze.

Dotkliwą klęskę ponosi reforma w dziedzinie cen. Uniezależnienie przedsiębiorstw od dyrektyw planu centralnego w zakresie programu i metod produkcji wymaga zastąpienia dyrektyw i limitów innymi sygnałami i bodźcami, aby przedsiębiorstwa wiedziały, co i jak produkować oraz były do produkcji dopingowane. Takimi sygnałami i bodźcami powinny być ceny, ale występując w tej roli ceny nie mogą być wyznaczane przez państwo, lecz muszą wyrażać jakieś realne wielkości: koszty i popyt. Reforma przewidywała więc wprowadzenie systemu cen wolnych, a zatem ustalanych przez producentów, ale w nawiązaniu do sytuacji na rynku. Oczywiście założenie było takie, że ceny, jakkolwiek wolne, nie będą dowolne i przedsiębiorstwa ustalające swobodnie ceny będą musiały się liczyć z sytuacją na rynku. Ta sytuacja na rynku to konkurencja między producentami. Niestety gospodarka polska jest wysoce zmonopolizowana i zamierzenia reformy w dziedzinie odmonopolizowania przemysłu nie zostały nawet zapoczątkowane. Ustawa antymonopolowa, która powinna być częścią reformy, jest dopiero we wstępnym opracowaniu. Projekty w tej dziedzinie nie przewidują podziału wielkich, wielo-

zakładowych przedsiębiorstw, nowoutworzone zreszczenia obowiązkowe pełnią rolę dawnych zjednoczeń z funkcjami typowo kartelowymi, a co najważniejsze nie stworzono swobodnego dostępu do rynku nowych przedsiębiorstw, a wszelkie takie próby zarówno ze strony prywatnych jak i spółdzielczych a nawet państwowych przedsiębiorstw są z miejsca torpedowane. Zresztą takie próby wejścia na rynek są w ogóle ograniczone z braku kapitału. W tej sytuacji monopolistyczne przedsiębiorstwa zaczęły wyznaczać monopolistyczne ceny, zapewniając sobie wysoki zysk nie tylko bez zwiększania produkcji, ale nawet przy jej zmniejszeniu.

Władze zareagowały na to w sposób typowo administracyjny: ograniczyły prawo przedsiębiorstw do ustalania cen tzw. umownych (czyli wolnych), wprowadzając w to miejsce ceny regulowane. Z drugiej strony zyski przedsiębiorstw określone jako „niezależne” zostały obłożone wysokimi podatkami, a więc odprowadzone do budżetu. W ten sposób położono sprawę podwójnie: tam, gdzie zastąpiono ceny wolne cenami regulowanymi lub urzędowymi zlikwidowano informacyjną funkcję cen, tam zaś, gdzie — pozostawiając ceny wolne — obłożono idący z nich zysk progresywnymi podatkami, zniszczono budżetową i zasilającą funkcję cen. Cóż bowiem po sygnale, jeśli nie idą za tym korzyści i nie tworzy się z tego fundusz umożliwiający odpowiedź na sygnał?

Sprawa cen pokazuje, jak powierzchownie patrzą autorzy reformy na mechanizm gospodarki rynkowej, który zamierzali w pewnym zakresie imitować. Ceny wolne miały nie tylko zapewnić na rynku równowagę podaży i popytu, miały nie tylko zachęcać przedsiębiorstwa do produkcji, ale przede wszystkim, przez ukształtowanie się w początkowym okresie znacznie powyżej kosztów produkcji, miały dostarczyć środków do rozszerzenia produkcji, poprawienia jej jakości, wzbogacenia asortymentu. Stąd wzięły się te „chrupiące bułeczki”, które obiecywał minister Krawczyński, przewodniczący Państwowej Komisji Cen, gdy uzasadniał konieczność podniesienia cen pieczywa. Oczywiście żadne chrupiące bułeczki się nie pojawiły, pieczywo jest tak samo złe, jak było i tak samo trudno dostać świeży chleb już od czwartku. Podwyżka cen nie dostarczyła niesłuchanie zaniedbanemu polskiemu piekarnictwu środków na inwestycje, na podwyżki płac, na zakup lepszej maki, gdyż zyski z niej pochodzące zostały przejęte przez podatki. Gdyby nawet jednak środki te pozostały w piekarnictwie, to dla pojawienia się „chrupiących bułeczek” piekarnictwo powinno mieć swobodny dostęp do środków produkcji, które mogłoby zakupić za pieniądze uzyskane z podwyżki cen chleba. Ponieważ jednak większość środków produkcji (moce produkcyjne przedsiębiorstw budowlanych, dewizy na zakup maszyn, pie-

niądze na podwyżki płac) jest nadal reglamentowana, więc cała operacja cenowa pozostała jałowa. Wobec blokady zmian w realnych procesach produkcyjnych wpływ wszelkich zmian cen ogranicza się do sfery podziału i w najlepszym razie może doprowadzić do (chwilowej tylko) równowagi rynkowej, ale przy dotychczasowej strukturze produkcji. Elementem dostosowawczym jest tu tylko popyt, więc podwyżki cen pełnią tylko funkcje drenażowe.

Reforma nie rozwiązała, ani nawet nie naszkicowała, żadnego spójnego rozwiązania w dziedzinie płac. W gospodarce polskiej, mimo ogromnych wysiłków w tym kierunku, nie udało się dotychczas stworzyć systemu płac, który by konsekwentnie stymulował wydajność pracy. Za co płacić? I co zrobić, żeby płacić głównie za pracę, a nie za „bycie zatrudnionym”? Oto pytanie, stojące ciągle przed gospodarką polską. Trudność wynika z tego, że w sytuacji braku bezrobocia system płac musiałby zawierać bardzo silne motywacje, by zachęcać do wydajnej pracy. Temu stoją jednak na przeszkodzie z jednej strony skłonności i dążenia równościowe, które wszelkie większe różnice w płacach i dochodach traktują jako odstępstwo od socjalizmu, z drugiej zaś strony fakt, że stymulacja płacowa jest utrudniona przez niezmierne ubóstwo rynku, które sprawia, że nawet większe pieniądze, zarobione wielkim wysiłkiem, nie pozwalają wyjść poza pewne minimum konsumpcyjne, złożone głównie z żywności i stałych usług¹.

Drugą sprawą w zakresie płac, której reforma nie umie rozwiązać jest określenie, na jakim szczeblu płace powinny być ustalane, to znaczy jak daleko powinna sięgać samodzielność przedsiębiorstwa w tej dziedzinie. Ta sprawa była jednym z głównych motywów, jakie skłoniły rząd do reformy: chodziło o przeniesienie odpowiedzialności za płace z władz centralnych na przedsiębiorstwa, gdzie ewentualne żądania podwyżki można by uzależnić od wzrostu produkcji, wzrostu wydajności pracy, jednym słowem — wprowadzić obiektywny czynnik przymusu ekonomicznego. Jednak początkowe usamodzielnienie przedsiębiorstw w dziedzinie płac sprawiło, że duża część zysków pochodzących ze swobodnie ustalanych cen produktów poszła na podwyżki płac, co dało nowy impuls inflacji. Wprowadzono zatem hamulec w postaci podatku progresywnego (tzw. podatek na FAZ, czyli fundusz aktywizacji zawodowej), który sprawia, że każda podwyżka płac (początkowo podwyżka średniej płacy, a teraz podwyżka funduszu płac) jest obciążona rosnącą kwotą podatku, który przed-

1. Szczególnie duże podwyżki płac otrzymali górnicy. Ale to nie wystarczało. Aby ich zachęcić do pracy w soboty i niedziele za pieniądze zarobione w tych dniach dano im prawo zakupu w specjalnych sklepach, w których zgromadzono poszukiwane towary (?!).

siębiorstwo musi płacić z zysku. Presja FAZ sprawiła, że przedsiębiorstwa nawet teoretycznie samodzielne, w polityce płac straciły całkowicie zdolność manewru. Sprawa została więc po staremu i żądania podwyżek płac kierują się znów do władz centralnych.

Reforma zawiodła również w dziedzinie polityki zatrudnienia. Samodzielne i samofinansujące się przedsiębiorstwa powinny spowodować wielki ruch na rynku pracy. Oczekiwano, że w ramach reformy przedsiębiorstwa pozbędą się tzw. socjalnego zatrudnienia, które zwiększa ich koszty i obciąża zyski; w ten sposób na rynku pracy znajdzie się rezerwa siły roboczej, z której będą mogły czerpać te przedsiębiorstwa, które w nowych warunkach powinny rozszerzyć produkcję, a brakuje im do tego zatrudnienia. Jednym słowem oczekiwano po reformie, że doprowadzi do przesunięcia siły roboczej między przedsiębiorstwami i branżami, a tym samym umożliwi zmianę struktury produkcji. Nic takiego jednak się nie stało. Przedsiębiorstwa, które miały nadwyżkę zatrudnienia w stosunku do ograniczonej aktualnie produkcji postanowiły zatrzymać ludzi, uważając, że niewielkie koszty, jakie z tego powodu będą ponosić (siła robocza jest w Polsce tania i udział jej w kosztach produkcji nie przekracza 15 %) zostaną zrekomensowane przez pewność, że będą mieć ludzi, gdy kryzys minie (?). Jest to więc taktyka przeczekania. Natomiast przedsiębiorstwa, którym brak siły roboczej, ograniczone presją podatkową, nie mogą zwerbować nowych ludzi, nie mogą im oferować atrakcyjnych płac. W rezultacie korzysta na tym tylko ta część gospodarki, która mniej jest skrzepowana przepisami systemu, tj. drobny przemysł spółdzielczy i prywatny oraz rzemiosło. Ludzie masowo opuszczają zakłady państwowe i przechodzą do pracy w sektorze prywatno-spółdzielczym. Gdyby ta część gospodarki mogła się swobodnie rozwijać, fabryki państwowe stanęłyby z braku robotników.

Choć wizja ta jest odległa, to chcąc temu przeciwdziałać wprowadzono po zniesieniu stanu wojennego specjalne przepisy, utrudniające pracownikom zwolnienie się z pracy w zakładach objętych specjalnymi uprawnieniami. Głównie są to zakłady przemysłu ciężkiego, w tym zbrojeniowego. Ponieważ przepisy te mają jednak charakter tymczasowy, postanowiono ostatnio wprowadzić trwałe regulacje, mianowicie przymusowe pośrednictwo pracy urzędów zatrudnienia. Jest to niespotykana nawet w okresie stalinizmu reglamentacja rynku pracy, stanowiąca ograniczenie jednej z podstawowych wolności — wolności wyboru zajęcia. Od 1 października 1983 nie będzie wolno ani pracownikowi zatrudniać się, ani przedsiębiorstwu przyjąć pracownika

bez zgody urzędu zatrudnienia, który stanie się współczesnym *Arbeitsamt*. Zarządzenie o przymusowym pośrednictwie pracy stanowi również zamach na resztki samodzielności przedsiębiorstw, zapowiadanej przez reformę. Przedsiębiorstwa chcące przyjąć ludzi do pracy będą musiały składać do urzędu zatrudnienia zapotrzebowanie wraz z uzasadnieniem na miesiąc przed przewidzianym przyjęciem, urząd będzie miał wgląd w ich plany produkcyjne i może im przyznać (?) prawo do zatrudnienia lub nie. Tyle zostało z samodzielności przedsiębiorstw. Wydaje się, że już niżej nie można było spaść w rozszerzaniu reglamentacji. Jeden z debilnych biurokratów z Ministerstwa Pracy i Płacy tak to skwitował publicznie: „Nie możemy dopuścić do tego, żeby ludzie szli do pracy tam, gdzie są wyższe płace, muszą iść tam, gdzie są bardziej potrzebni” (cytuje dosłownie).

Reforma miała doprowadzić do wzrostu gospodarności przedsiębiorstw, do zmniejszenia kosztów, zwłaszcza kosztów materiałowych, gdyż materiały i surowce są obecnie największym gądkiem w produkcji. Plan tzw. 2-letni na lata 1983/1985 przewiduje kilkunastoprocentowy wzrost produkcji przy wzroście dostaw materiałów zaledwie o kilka procent. Wykonanie planu będzie więc możliwe tylko za cenę dużych oszczędności materiałowych, rzędu 10 %. Teoretycznie jest to możliwe, gdyż gospodarka polska jest bardzo materiałochłonna. Reforma miała przez presję samofinansowania zmusić przedsiębiorstwa do oszczędności w tej dziedzinie: niegospodarność zmniejsza zysk, zysk zaś stanowi źródło samofinansowania. Przedsiębiorstwo niegospodarne nie będzie się rozwijać, a nawet może zbankrutować! Jednak socjalistyczne przedsiębiorstwa, mając pozycję monopolistyczną, obeszły ten przymus ekonomiczny: wysokie koszty niegospodarności zaczęły przerzucać na odbiorców, podwyższając odpowiednio ceny. W tej sytuacji władze były zmuszone znów uciec się do metod administracyjnych: w samodzielnych i samofinansujących się przedsiębiorstwach wprowadza się kontrolę kosztów i tworzy pojęcie kosztów nieuzasadnionych, które mają być potrącone z zysku. Kto ma oceniać, jakie koszty są uzasadnione, a jakie nie? Oczywiście odpowiednie instytucje kontroli gospodarczej, scentralizowane i biurokratyczne. Na żaden mechanizm i automatyzm gry ekonomicznej nie ma tu miejsca, pozostaje znów tzw. swobodne uznanie administracyjne czyli woluntaryzm i stara podziemna walka przedsiębiorstw z centralną administracją.

Z powyższego przeglądu wybranych odcinków zastosowania reformy gospodarczej w PRL i skutków tej aplikacji widać w sposób oczywisty, że uroczyście uchwalona, szumnie ogłoszona i jakoby wprowadzona reforma gospodarcza jest płytka, cząstkowa,

w gruncie rzeczy pozorna, cofa się przed rozwiązaniami, które mogą zmienić realne procesy gospodarcze, a przy pierwszych niepowodzeniach koryguje swe zasady przez powrót do regulacji centralistycznych i administracyjnych i w ten sposób w zetknięciu z systemem nakazowo-rozdzielczym ponosi klęskę, już poniosła klęskę. Jaruzelski, który do niedawna uroczyście ogłaszał, że od reformy nie ma odwrotu, przestał się na ten temat wypowiadać, a jego ministrowie od reformy Baka i Sadowski też zamilkli. Upłynie jeszcze kilka miesięcy, wprowadzi się jeszcze parę modyfikacji do modelu reformy i ani się obejrzymy, jak wrócimy do starego wypróbowanego systemu centralnego planowania. Zresztą słowo „wrócimy” jest tu nie na miejscu. Gospodarka PRL nigdy od niego nie odeszła.

Po dwóch latach „działania” reformy nie zmieniła się struktura produkcji i podaż nie zbliżyła się do popytu ani o jeden centymetr; nie zbankrutowało żadne przedsiębiorstwo nierentowne i nie pojawiło się bezrobocie; nie pojawiły się żadne innowacje techniczne ani w produktach, ani w metodach produkcji. Gospodarka realnego socjalizmu, tak podatna na kryzysy, a właściwie będąca w kryzysie permanentnym, jeszcze raz okazała się odporna na reformę, którą odrzuca jak obcy przeszczep. Odpowiedź ostateczna na pytanie postawione na wstępie brzmi zatem: reforma gospodarcza, taka jaką się dopuszcza, nie wyciągnie gospodarki polskiej z kryzysu.

V. Jaki rynek?

Widać to najlepiej na obszarze, na którym każda gospodarka demonstruje w pełni swój sposób funkcjonowania i swoją efektywność, tj. na rynku. Rynku w pełnym znaczeniu tego słowa w gospodarce centralnie planowanej nie ma, jest jego ułomna i fragmentaryczna namiastka: obszar działań gospodarczych, na których styka się podaż z popytem.

Jaki jest ten rynek w Polsce w drugiej połowie 1983 roku, po trzech latach otwartego kryzysu gospodarczego? Jest to rynek w dalszym ciągu głęboko niezrównoważony, z ogromną przewagą popytu, z ciężącym nad nim tzw. nawisem inflacyjnym (kilkaset miliardów złotych), ale jednocześnie podzielony na pewne segmenty i podrynki, na których sytuacja kształtuje się w sposób różnicowany.

Najbardziej zbliżony do równowagi jest rynek towarów żywnościowych, przy czym na rynku targowiskowym sytuacja jest prawie normalna: ceny równoważą podaż z popytem i wystę-

puje względna obfitość warzyw, owoców (krajowych) i nabiału. Jedynie w podaży drobiu pojawiają się luki, których nie może wypełnić nawet szczególnie wysoki na tym rynku wzrost cen. Ceny na rynku targowiskowym skoczyły w okresie kryzysu półtora raza więcej niż płace, co oczywiście zmniejsza popyt, odcinając tzw. popyt krańcowy (krańcowych konsumentów czy krańcowe ilości towarów). Mimo dużego urodzaju owoców ceny często trzycifrowe informowały o postępującej inflacji, ale ludzie przyjmowali to na ogół bez protestu, poddając się obiektywnemu mechanizmowi rynkowemu.

Inaczej jest na rynku żywnościowym w handlu uspołecznionym. Rynek ten jest podzielony na dwie części: rynek wolnej sprzedaży i rynek reglamentowany. Na rynku wolnej sprzedaży panuje w zakresie podstawowych artykułów, tzn. pieczywa, nabiału i ziemniaków względna, choć płytka równowaga, której towarzyszy jednak niezmiernie ubóstwo asortymentowe. Wyraża się to głównie niedostatkiem artykułów wyższej jakości, bardziej przetworzonych; łatwo dostępne są tylko artykuły proste, zaspokajające elementarny popyt, szare w wyglądzie i opakowaniu. Równowaga ta jest przy tym bardzo płytka, gdyż nagle może zabraknąć nawet tych artykułów, których produkcja jest dostateczna. Wiadomo np., że produkcja mleka w Polsce osiągnęła w tym roku wysoki poziom. Asortyment przetworów mlecznych jest jednak bardzo ubogi, a i przy tym ubóstwie nagle we wrześniu zabrakło żółtego sera, który stanowi substytut mięsa.

Druga część rynku państwowego to rynek reglamentowany. Wprawdzie w ciągu bieżącego roku obszar reglamentacji zmniejszył się (w wolnej sprzedaży znalazły się znów środki czystości, wódka, papierosy i ostatnio tłuszcze), ale pozostały jeszcze reglamentowane: mięso, mąka, kasza, cukier, czekolada. Nie wystarczy jednak odnotować, jaki jest aktualny stan reglamentacji. Trzeba spojrzeć na ten typ organizacji „rynku” w aspekcie całości polityki gospodarczej rządu.

Reglamentacja żywności oznacza, iż ceny nie pełnią funkcji równoważenia podaży z popytem, nie kształtują struktury podaży i nie rozdzielają podaży między konsumentów. Owa tzw. „neutralizacja” cen na rynku żywności nastąpiła w wyniku długotrwałego, wieloletniego pozostawiania cen bez zmian, mimo zmian warunków produkcji, wielkości i struktury popytu itd. Tak np. cena cukru pozostawała bez zmian (10,50 zł za kg) od 1953 do 1980 roku, a więc przez 27 lat! W polityce gospodarczej krajów realnego socjalizmu powstał mit stałych cen jako takich, które z jednej strony najlepiej demonstrują stałość siły nabywczej pieniądza, a z drugiej strony pozwalają wyeliminować wpływ me-

chanizmu rynkowego (czyli popytu) na produkcję, co byłoby przecież niedopuszczalną ingerencją w uprawnienia planu centralnego. Za cukier płacono się przez 27 lat 10,50 zł, ale już w drugiej połowie tego okresu oznaczało to, że był on konsumowany według potrzeb: na tym odcinku przeszliśmy do komunizmu. Aż do momentu, w którym załamała się produkcja cukru i okazało się, że podaż jego nie pokrywa już popytu „według potrzeb”.

Polityka niezmiennych cen nie wzięła pod uwagę, że w produkcji zmieniają się koszty (na ogół rosną), że po stronie popytu zmieniają się dochody nominalne ludności (też rosną) i że wreszcie tempo tych zmian jest różne dla różnych towarów i różnych grup ludności, co od razu uruchamia mechanizm substytucji między towarami. Stałe ceny po pewnym czasie nie odpowiadają już kosztom produkcji ani dochodom ludności, a ich wzajemne relacje nie odpowiadają relacjom stóp substytucji.

W Polsce wszystkie te ruchy wielkości ekonomicznych odbywały się w taki sposób, że koszty produkcji rosły, dochody nominalne ludności rosły, popyt wzrastał. Przy niezmiennych cenach produkcja musiała być subwencjonowana dotacjami państwowymi, ale to nie wystarczało już, by zwiększała się równolegle do popytu. W tej sytuacji powstała i pogłębiała się nierównowaga między popytem a podażą, nierównowaga, której nie mogły przywrócić unieruchomione, a więc martwe ceny. Rozdział towarów między ludność zaczął dokonywać się żywiłowo, przy czym żywiłem był przypadek, czas oraz siła mięśni i nerwów. W ten sposób został zdeorganizowany najpierw rynek mięsny, potem rynek masła, cukru, a w końcu rynek wódki, papierosów, proszków do prania, mydła itd.

Żeby nabyć towar, trzeba było stać godzinami (czasem po kilkanaście godzin) w długich kolejkach, w potwornym tłoku i ścisiku, w niesłychanym bałaganie, przy ogromnym napięciu nerwów. Ceny pozostawały nadal niezmiennione. Ludność, a zwłaszcza kobiety zaopatrujące gospodarstwa domowe w żywność, znosiły katusze. Wszystko to trwało dostatecznie długo — przy całkowitej bierności władz — by ludzie mający wspomnienia okupacyjne zaczęli wzdychać do kartek i upominać się o reglamentację. Gdy wprowadzono kartki na mięso, rzecz zdawałoby się niesłychaną w powojennej Europie, w czasie pokoju, nastroje były już na tyle przygotowane, że ludzie miast się oburzać — odetchnęli.

Tymczasem system reglamentacji, jakkolwiek jest postępem w stosunku do barbarzyńskiego systemu zdobywania towarów przy pomocy łokci i krzyków — stanowi głębokie uwstecznienie

gospodarki. Wszyscy dziś wiedzą, że reglamentacja towarów prowadzi do bardzo negatywnych następstw. Po pierwsze gwałci preferencje ludności. To jest oczywiste. Po drugie wymusza popyt do wysokości przydziału. Przy równych przydziałach jest nieuniknione, że wielu ludzi przy wolnym rynku kupiłoby mniej danych towarów niż wynosił ich przydział. Przy reglamentacji wódki i papierosów prowadziło to wprost albo do szkodliwej konsumpcji, albo do spekulacji; przy innych towarach stanowi to marnotrawstwo. Po trzecie reglamentacja ogranicza wartość i obszar działania pieniądza jako środka wymiany. Tym samym reglamentacja osłabia siłę motywacyjną wypłacanych przecież w pieniądzu płac, które mają prowadzić do wzrostu wydajności pracy.

Po czwarte wreszcie, reglamentacja wymaga wielkiego aparatu administracyjno-kontrolnego. Według informacji ministra handlu z lata tego roku, przy systemie reglamentacji pracuje stale 250 tys. ludzi!

W sumie trzeba powiedzieć, że reglamentacja jest gospodarczo szkodliwa, gdyż oddala rynek od optimum, które polega na wyrównywaniu przez nabywców krańcowych użyteczności zakupowanych towarów. Reglamentacja jest sprzeczna z elementarnymi założeniami reformy, która postuluje przecież swobodę zaopatrzenia przedsiębiorstw w czynniki produkcji, podczas gdy reglamentacja ogranicza swobodę w nabywaniu przedmiotów konsumpcji przez gospodarstwa domowe. Wreszcie reglamentacja jest niepożądana, gdyż w każdej sytuacji, gdy produkcja może jakoś reagować na bodźce cenowe, problem równowagi między podażą a popytem można rozwiązać przez elastyczne ceny. Sytuacja taka występuje w Polsce na rynku żywnościowym. Rolnictwo indywidualne w Polsce, będące głównym producentem żywności, jest podatne na bodźce cenowe i może zwiększyć swą produkcję pod warunkiem dostatecznego zaopatrzenia w czynniki produkcji. To oznacza zaś zwiększony przepływ kapitałów do rolnictwa. Reglamentacja żywności stanowi zatem rozwiązanie zastępcze, które bez takiego przepływu kapitałów umożliwia równowagę między istniejącą podażą i administracyjnie określonym popytem.

Mimo iż produkcja żywności dzięki dwu kolejnym latom urodzaju rośnie, władze wykazują głęboką niechęć do zniesienia reglamentacji. Po prostu ta forma rozdziału dóbr konsumpcyjnych doskonale pasuje do całości systemu nakazowo-rozdzielczego, natomiast rynek był i jest w tym systemie ciałem obcym. Toteż mimo że produkcja masła wzrosła znacznie ponad ilości wynikające z przydziałów, utrzymywano reglamentację tego artykułu tak długo, aż zwiększające się zapasy przekroczyły możliwości skła-

dowania. W rezultacie w sierpniu, już po zniesieniu reglamentacji, ludzie w całej Polsce jedli masło z zimowych zapasów!

Utrzymuje się nadal reglamentację cukru, mimo największej w historii PRL produkcji tego artykułu i mimo nienajlepszej koniunktury na rynku światowym. Powód jest jakoby ten, że cukier może być używany do nielegalnej produkcji wódki, której oficjalna cena jest obecnie bardzo wysoka. Tutaj zatem widać, że relacje cen cukier-wódka są niezgodne z relacjami substytucji obu tych towarów. Utrzymuje się nadal reglamentację maki i kaszy, choć już drugi rok z rzędu mamy doskonałe zbiory zbóż i w tym roku państwowy skup zbóż przekroczy plan.

Oficjalnie wysuwa się dwa argumenty przeciw rozwiązaniom cenowym na rynku. Po pierwsze uznaje się, że rozdział towarów między ludność dokonany przez selekcję w barbarzyńskich kolejkach (żywiół) albo przez przydział administracyjny (reglamentacja) jest społecznie bardziej sprawiedliwy niż rozdział towarów w trybie swobodnego zakupu po cenach równowagi. W pierwszym przypadku towar dostaną ci, którzy mogą długo stać w kolejkach (konkretnie: pod Halą Mirowską w Warszawie, aby się zapisać na poniedziałek na mięso, ludzie stawali w kolejce już w sobotę wieczorem); w drugim przypadku dostaną wszyscy po równo, w trzecim przypadku dostaną ci, którzy mają i zechcą zapłacić pieniądze. I ten trzeci przypadek jest właśnie oceniany jako niesprawiedliwy (!).

Drugi argument jest następujący: ceny równowagi przy obecnej relacji popytu do podaży ukształtują się na poziomie przewyższającym koszty produkcji i zapewnią wysokie zyski producentom. Ale wobec reglamentacji czynników produkcji zyski te nie mogą być reinwestowane, nie spowodują rozszerzenia produkcji i będą musiały być przejęte przez budżet. A zatem ceny równowagi nie spowodują rozszerzenia produkcji.

Jak nietrudno zauważyć, pierwszy argument występuje przeciwko społeczno-moralnym założeniom reformy, które brzmią: wynagradzać (pieniędzmi) lepiej tych, którzy lepiej i więcej pracują; drugi argument zaś pomija zupełnie postulaty reformy o samodzielności przedsiębiorstw w zaopatrywaniu się w czynniki produkcji.

Istnieje również trzeci argument. Wprowadzenie cen równowagi na mięso, cukier a zwłaszcza na towary przemysłowe ujawniłoby niezmiernie niski poziom rzeczywistej płacy realnej w Polsce, nawet w porównaniu z niektórymi krajami Trzeciego Świata. Statystyki państwowe bowiem nie notują długości kolejek przed sklepami czy też czasu oczekiwania na towar, lecz po-

dają jedynie ceny oficjalnie płacone, traktując je, jakby to były ceny swobodnego zakupu i według nich mierząc płacę realną.

Dla pełni obrazu trzeba powiedzieć, że stosunek ludności do wprowadzenia cen równowagi i uporządkowania w ten sposób rynku jest niejednorodny. Z jednej strony ludzie pragnęliby dokonywać zakupów w sposób cywilizowany i o rynku w krajach zachodnich lub w przedwojennej Polsce myślą jak o nieosiągalnym luksusie. Z drugiej strony buntują się przeciw podwyżkom cen, wykazując głęboką nieufność, uzasadnioną przez dziesięciolecie zawodów i rozczarowań, potwierdzoną po ostatniej, gigantycznej podwyżce cen: ceny podwyższają, a i tak na rynku nie będzie lepiej.

Przy wszystkich swoich ograniczeniach sytuacja na rynku żywnościowym może być uznana za doskonałą wobec tego, co się dzieje na rynku towarów przemysłowych: na nim bowiem nie ma prawie nic. Głód towarowy w tej dziedzinie był zawsze w Polsce bardzo duży, a i obecnie napór na towary przemysłowe jest bez porównania większy niż na żywność, co wynika z wyższej elastyczności popytu na nie. Jest to zarówno popyt pierwotny — przybywa ludności, tworzą się nowe gospodarstwa domowe, dzieci i młodzież dorastają — jak i popyt tzw. restytucyjny — przedmioty półtrwałego, a nawet trwałego użytku zużywają się, trzeba kupić nową bieliznę, buty, palto, żarówkę, lodówkę, odkurzac, meble itp., itd.

A tymczasem towarów nie ma. Jest to wprost zadziwiające, jak cały wielki przemysł PRL, budowany przez dziesiątki lat kosztem ogromnych wyrzeczeń ludności, a w latach siedemdziesiątych również kosztem wielomiliardowych (w dolarach!) pożyczek zagranicznych — po prostu usiadł. I to zarówno ten zaniedbywany przemysł lekki, zwłaszcza włókienniczy, jak i ten hołubiony przemysł elektromechaniczny. Próbuje się to wytłumaczyć, analizujemy poszczególne przyczyny tego spadku produkcji przemysłowej, ale makabryczny obraz półek sklepowych pustych lub też zapełnionych towarami pozornymi, zbędnymi, marginesowymi, subkulturą pamiątkarską, dziesięciordną tandetą nie przestaje dziwić i wprost przerażać.

W Polsce nie można kupić bielizny pościelowej, koszuli, kalesonów, majtek (od miesięcy prasa porusza problem gumek do majtek!), nie można kupić spodni, palta, trudno kupić buty dopasowane do nogi, a już nie ma mowy o żadnym obuwu sportowym. Nie można też kupić normalnie lodówki, pralki automatycznej, odkurzacza, magnetofonu, trudno o żarówki powyżej 60 Watt, gigantycznym problemem jest kupno mebli, nawet najprostszych — krzesła, stołu, tapczanu.

Oczywiście uzyskanie samochodu jest już od dawna, a uzyskanie mieszkania od zawsze poza sferą rynkową: na to można się tylko zapisać i czekać przydziału.

Wyliczyłem tu tylko najważniejsze towary, grupy asortymentowe, których brak na rynku, ale oprócz nich występuje ostry deficyt setek, a może nawet tysięcy asortymentów. Ostatecznie żyjemy w końcu XX wieku w Europie, potrzeby ludzkie zostały rozbudowane i ludzie potrzebują do normalnego życia wielu rzeczy, a tu ich nie ma.

Co na to władze? Ano nic lub prawie nic. Bezradność widać zarówno w produkcji jak i na rynku. Produkcja po prostu nie wzrasta. Wprawdzie okresowe sprawozdania GUS-u podają, że produkcja tego czy tamtego zwiększyła się obecnie o parę procent, ale po pierwsze jest to wzrost zbyt nikły, by można go było zauważyć, a po drugie jest on liczony w stosunku do pierwszej połowy 1982 roku, czyli do absolutnego dna. Jakie trudności napotyka wzrost produkcji przemysłowej, widać z wypowiedzi (zadziwiająco szczerzej) dyrektora fabryki samochodów osobowych na Żeraniu. Mówi on: „... Mamy wykonane w tym roku (1983) 85 tys. wozów, a w 1973 produkowaliśmy już na Żeraniu 82,8 tys. W najlepszym naszym roku, 1976, wykonaliśmy 123 tys. samochodów. Ale nasze tegoroczne zamierzenia już są o około 15 tys. wozów większe niż zdołaliśmy zrobić w 1982 roku. Drgnęło więc u nas wyraźnie i idzie nam nieźle, choć z ogromnymi kłopotami. W pierwszych 7 miesiącach br. fabryka nasza dostarczyła 45.402 samochody, tj. o 186 sztuk ponad plan.

Moglibyśmy oczywiście robić więcej, ale brakuje nam dosłownie wszystkiego: blach karoseryjnych, obręczy, kół, opon, akumulatorów. Nasza służba zaopatrzenia czyni różne cuda, by ściągnąć co potrzeba do produkcji, ale nie zawsze to się udaje. Gorzej, że zanoszą się na pogłębienie deficytu w dostawach kooperacyjnych, zapewne zmuszeni zostaniemy do wydania około miliona dolarów na łożyska toczne, a za pół miliona będziemy musieli importować nakrętki i podkładki” (*Życie Warszawy*, sierpień 1983).

Jak więc widzimy, wygląda to żałośnie: ten dyrektor największej w Polsce fabryki samochodów, który liczy nadwyżkową produkcję na sztuki i mówi, że idzie mu nieźle, choć zanoszą się na pogłębienie deficytu... I tak jest wszędzie: poprawa jest niewielka i doraźna, trudności z elementarnymi sprawami w procesie produkcji nie maleją, a tuż za rogiem zanoszą się na jeszcze większe trudności. W dalszych rozważaniach spróbujemy na nie wskazać.

Bierność władz na rynku wyraża się m.in. w tym, że nie podejmują one żadnego manewru cenowego, który by urealnił sytuację rynkową. Ceny większości towarów pozostają takie, jakie ustalono przy pierwszej dużej podwyżce cen w lutym 1982, co obecnie jest już zupełną fikcją. W nielicznych sklepach prywatnych i w handlu bazarowym ceny na te resztki towaru, jakie tam można nabyć są dwu-, a nawet trzykrotnie wyższe. Ceny równowagi na sprzęt gospodarstwa domowego również osiągają ten sam poziom, np. odkurzacz domowy o oficjalnej cenie 4.000 zł można dostać za 12.000 zł, co stanowi 4/5 średniej płacy miesięcznej. Słowa „można dostać” oznaczają czarny rynek, gdyż jest oczywiste, że rynek taki powstał. Polega on na różnych skomplikowanych układach w całym łańcuchu od producenta do konsumenta. Częścią tego rynku jest sprzedaż wewnątrzzakładowa i wymiana między zakładami. Chcąc zachęcić załogę do pracy, dyrektor fabryki np. lodówek przyznaje im (wszystkim lub niektórym) prawo do zakupu jednej lub kilku sztuk tego cennego urządzenia na kwartał, albo fabryka butów wymienia część swojej produkcji z fabryką pralek i w obu fabrykach sprzedaje się pracownikom „zakupione” w ten sposób towary. Oczywiście dzieje się to z pominięciem normalnego handlu, prowadzi do dalszego zubożenia rynku i jest tępione przez władze, ale istnieje. Czarny rynek istnieje również w innych, bardziej tradycyjnych formach.

Wykazując niechęć do rozwiązań cenowych, władze próbują wprowadzić również na rynek dóbr przemysłowych swoistą reglamentację. Pewną pulę towarów wydziela się więc na kredyty dla młodych małżeństw. Oczywiście na ogół nie są to te towary, których młode małżeństwa najbardziej potrzebują, więc i to kończy się często spekulacją. Od czasu do czasu wydziela się część atrakcyjnych towarów dla chłopów, którzy sprzedają zboże państwu, ale i tu zamiast gumowych butów, tak potrzebnych w pracy na roli, kieruje się do sprzedaży kolorowe telewizory. Ostatnią próbą wprowadzenia reglamentacji jest sprzedaż towarów przez zakłady pracy na listy imienne, według przyznanych norm przydziału: np. 5 pralek na 1.000 zatrudnionych. Widać z tego, że już blisko jesteśmy sytuacji opisywanej w sowieckim dowcipie, gdzie majtki mogą kupić tylko te kobiety, które pracują na drabinie.

Trudności są nawet tam, gdzie ilościowo produkcja i podaż wyrównuje, a nawet przewyższa popyt. Przykładem są buty. W latach 70-tych powstał pokaźny przemysł obuwniczy. Polska produkowała kilkadziesiąt milionów par obuwia, statystycznie ze dwie pary na osobę rocznie. Obecnie, po pewnym spadku w latach 1981 i 1982, produkcja zbliża się znów do szczytowego

poziomu lat 70-tych, a mimo to buty trudno kupić. Nie pasują kolorem, fasonem, a przede wszystkim numeracją do struktury potrzeb. Brak zwłaszcza butów wyższych numeracji. Tutaj właśnie na szkodę konsumenta działa reżim oszczędności surowców, gdyż buty — bez względu na rozmiar — mają jednakową cenę, a z danej ilości surowca można zrobić więcej mniejszych butów niż większych. Rezultat tej spaczonej racjonalności jest taki, że buty pozostają na półkach, a ludzie pozostają bez butów. Przy czym wszyscy o tym wiedzą, prasa o tym pisze, odbywają się konferencje dyrektorów fabryk, a sytuacja pozostaje bez zmian.

Oczywiście wszystkie próby reglamentacji towarów przemysłowych są chybione z ekonomicznego i organizacyjnego punktu widzenia, budzą protesty w zakładach pracy i u ludności, osłabiają i tak już wątłą siłę ekonomiczną polskiego złotego. Ale jak dotychczas istnieje taka niewiara w regulacyjne właściwości ceny i taka niezdolność do usunięcia ograniczeń produkcyjnych, koniecznego do tego, by właściwości te się ujawniły, że nikt nie podejmuje żadnych zmian w tej dziedzinie. Wydaje się, że władze usiłują kryzys przeczekać i dotrwać do czasu, w którym powolny i jakby samoczynny wzrost produkcji doprowadzi do tego, że podaż przy obecnych cenach wyrówna się z popytem. Są to złudzenia. Jaruzelski kiedyś powiedział, że socjalizmu nie da się przeczekać. Powinien sobie uświadomić, że kryzysu także nie da się przeczekać...

Nie zrównoważony stan rynku i utrzymywanie cen, po których nie można kupić towarów prowadzi do szczególnych zjawisk pieniężnych. W Polsce panuje inflacja. Oficjalne statystyki wykazują między rokiem 1981 i 1982 skok cen o przeszło 100 %. Ale wskaźnik ten nie odzwierciedla rzeczywistego poziomu inflacji, gdyż ceny, które rejestruje nie są cenami równowagi. W tym stanie rzeczy inflacja w Polsce ma tylko częściowo charakter pieniężny, a w pozostałej części wyraża się w rosnącej niedostępności towarów, w wydłużających się kolejkach, w coraz bardziej skomplikowanych układach, zapisach itp. umożliwiających uzyskanie towaru. Wskutek tego powstaje dziwne zjawisko: pieniądz czeka na towar, mimo że przez to czekanie traci na wartości. Oczekujący na towar pieniądz tworzy tzw. nawis inflacyjny. Nigdzie na świecie przy „normalnej” inflacji, nawet przy indeksie wzrostu cen rzędu kilkuset procent, jak np. w Ameryce Południowej, ludzie nie trzymają pieniędzy w żadnym nawisie. To byłby nonsens. A w Polsce jest nawis inflacyjny — według szacunków wynosi on 500 mld zł i ciągle rośnie. Posiadacze nawisu już stracili połowę jego siły nabywczej wskutek zeszłorocznej podwyżki cen. I mimo że siła nabywcza złotego spada nieledwie

z miesiąca na miesiąc, nawis ten czyha na rynku, gotów rzucić się na każdy towar trwałego użytku: dywany chińskie po 600 tys. zł znikają prawie natychmiast, gdyż normalną koleją rzeczy w czasie inflacji zaostrożonej ogólną niepewnością sytuacji ludzie uciekają od pieniądza.

Pewną częścią sytuacji rynkowej w Polsce są transakcje dolarowe. Czarnorynkowy kurs dolara wynosi obecnie (jesień 1983) 600 zł i jest przeszło sześciokrotnie wyższy od oficjalnego. Oczywiście trzeba pamiętać, że jest to kurs krańcowy i wyznacza go relacja podaży dolara i popytu nań, a popyt na dolary jest z kolei określony relacją dolarowych cen towarów w Pewexie i cen zło-tówkowych (wódka, samochody), potrzebami wyjeżdżających za granicę, nasileniem tezauryzacji itp. W każdym razie różnica kursu czarnorynkowego i oficjalnego, największa w dotychczasowej historii PRL i największa ze wszystkich krajów RWPG, świadczy o głębokim niedostosowaniu struktury gospodarki polskiej do potrzeb zarówno rynku wewnętrznego (stąd taki duży popyt na dolary) jak i rynku zagranicznego (stąd taka mała podaż dolarów).

Jaki program socjalny?

Ważną częścią polityki rządowej prowadzonej w okresie kryzysu jest polityka społeczna i realizowany w jej ramach program socjalny. Jest to znów pewna specyficzność polsko-socjalistycznego kryzysu. Mianowicie wraz z ujawnieniem się głębokiego kryzysu gospodarczego, załamaniem produkcji i przyspieszeniem inflacji władze podjęły bardzo szeroki program socjalny. Rozszerzono zakres rent i emerytur, których liczba wzrosła od 1978 roku o blisko 50 %, podczas gdy ludność w wieku produkcyjnym zwiększyła się tylko o 4 %. Wprowadzono kilkuletnie zasiłki wychowawcze dla niepracujących matek wychowujących dzieci, a w Polsce rodzi się rocznie 700 tys. dzieci, co znaczy, że jednocześnie korzysta z zasiłków blisko 1,5 mln kobiet. Specjalną formą polityki społecznej jest utrzymywanie olbrzymich dotacji przedmiotowych z budżetu, dopłacanych do cen wielu artykułów żywnościowych i usług, co pozwala utrzymać te ceny na niższym poziomie niżby to wynikało z kosztów produkcji. Państwo dopłaca do mięsa, mleka, tłuszczów, mąki, do komunikacji, do węgla (?), do czynszów mieszkaniowych itd. Podsumowując te wszystkie wydatki socjalne państwa, przewodniczący Komisji Planowania stwierdził, że w 1983 roku będą one stanowić aż 18 % dochodu narodowego do podziału.

Do tego trzeba dodać jeszcze dotacje podmiotowe dla przedsiębiorstw nierentownych, wypłacane po to, aby przedsiębiorstwa te nie zbankrutowały i nie spowodowały w ten sposób bezrobocia.

Oficjalna propaganda przedstawia ten olbrzymi program socjalny jako osiągnięcie państwa socjalistycznego, które nawet w kryzysie nie rezygnuje ze swej funkcji opiekuńczej, a przeciwnie, jeszcze ją rozszerza pod hasłem zabezpieczenia przed kryzysem grup ekonomicznie najsłabszych. W rzeczywistości ocena takiej polityki społecznej w takiej właśnie sytuacji gospodarczej musi być bardziej złożona. Trzeba bowiem zapytać, czy taki program socjalny prowadzi i pomaga w przezwyciężeniu kryzysu, czy nie. Jeżeli podstawowe założenia reformy gospodarczej są choćby w ogólny sposób słuszne, to należy odpowiedzieć, że rozbudowa wydatków socjalnych do wysokości 18 i więcej procent dochodu narodowego nie tylko nie pomaga gospodarce w jej walce z kryzysem, ale przeciwnie, obciąża ją i utrudnia wyjście z kryzysu. Gdyby bowiem środki te były przeznaczone na cele gospodarczo-produkcyjne, a więc na opłacenie wyższej wydajności pracy, na zwiększenie zatrudnienia w szczególnie użytecznej produkcji, na import surowców i części zamiennych lub na szybko rentujące się inwestycje, rozszerzające wąskie gardła, to wówczas spowodowałyby zwiększenie produkcji, a więc uruchomiłyby najważniejszy element w walce z kryzysem.

Zamiast tego jednak program socjalny odciąga pewną część funduszu konsumpcyjnego od zastosowań produkcyjnych, przez co pogłębia nierównowagę rynkową i przyczynia się do wzrostu inflacji. Ale na tym nie kończy się jego działanie prokryzysowe. Program ten, zapewniając pokrycie minimalnych kosztów utrzymania bez aktywności zawodowej, odciągnął od produkcji znaczną część siły roboczej. Oblicza się, że dzięki środkom polityki społecznej odeszło z produkcji około 700 tys. ludzi. Największym błędem polityki społeczno-gospodarczej władz w tym zakresie było zarządzenie o możliwości wcześniejszego odejścia na emeryturę, z czego skorzystało (niespodziewanie) ok. 400 tys. ludzi, najczęściej zdolnych jeszcze do pracy, dobrych fachowców. Płatne urlopy macierzyńskie i wcześniejsze emerytury położyły produkcję w wielu fabrykach w większym stopniu niż brak surowców.

Negatywne skutki gospodarcze mają również dotacje. Podwyżka cen w 1982 roku i w ogóle reforma gospodarcza miały na celu likwidację dotacji, które zamazują rachunek gospodarczy, zniekształcają realne procesy gospodarcze przez utrzymywanie nieuzasadnionej gospodarczo produkcji i konsumpcji i wreszcie

obciążają budżet poważnymi kwotami wydatków. Żeby im pomóc, budżet zmuszony jest do obłożenia produkcji drakońskimi podatkami (mówiliśmy już o tym), a ponieważ to nie wystarczyło, powstał deficyt budżetowy rzędu 10 %. Ten deficyt stanowi bezpośredni czynnik inflacyjny, gdyż pieniądze dla jego pokrycia pochodzą bezpośrednio z emisji i nie mają żadnego pokrycia w towarach i usługach. Są to tzw. puste złotówki.

Dotacje podmiotowe mają jeszcze ten negatywny wpływ na gospodarkę, iż nie dopuszczając do eliminacji nierentownych przedsiębiorstw lub kierunków produkcji, uniemożliwiają zmiany struktury produkcyjnej gospodarki i hamują konieczne w tym celu przesunięcia siły roboczej.

Dlaczego zatem taki program socjalny się realizuje? Czy z humanistycznych inspiracji socjalizmu? Bynajmniej. Są dwa motywy. Motyw pierwszy to lęk o władzę. Protest społeczny w sierpniu 1980, powstanie i działalność „Solidarności” unaczyniły grupie rządzącej, że główne bezpośrednie niebezpieczeństwo leży w gwałtownym zaostrzeniu się sytuacji w sferze socjalnej. Instynkt klasowy podpowiada rządzącym, iż bardziej zagrożiliby ich władzy masowe bezrobocie niż utrzymywanie produkcji na niskim poziomie. Do umiarkowanej biedy można się przyzwyczaić, do braku zabezpieczenia socjalnego — nie. A poza tym bezrobotni, mając dużo wolnego czasu, mogliby konspirować... Toteż obecny program socjalny jest programem politycznym, stanowi jeszcze jeden przykład prymatu polityki nad gospodarką, prymatu, któremu w ofierze zostają złożone zasady reformy gospodarczej i dążenie do szybkiego wyjścia z kryzysu.

Drugi motyw to po prostu niewiara, że można uzyskać poprawę sytuacji gospodarczej przez koncentrację środków i intensyfikację metod, niewiara w możliwość i skuteczność rozwiązań ekonomicznych proponowanych przez reformę. Przy takim poglądzie oczywiście środki wydane na cele socjalne mogą być uznane za bardziej efektywne niż angażowanie się w inicjatywy gospodarcze wynikające z reformy, a tak nie pasujące do systemu.

Jaka ocena polityki rządowej?

Przy ocenie polityki rządowej obecnej i prowadzonej od sierpnia 1980 roku trzeba zastosować jedno tylko kryterium: czy prowadzi do wyjścia z kryzysu, czy nie. Odpowiedź na to pytanie musi być negatywna. Polityka ta nie prowadzi do wyjścia z kryzysu. Wynika to zarówno z celów, jakie sobie stawia, jak i z ograniczeń, jakim podlega.

Głównym celem polityki rządowej jest utrzymanie systemu i utrzymanie władzy. Dlatego też wszelkie działania gospodarcze, które by mogły prowadzić do osłabienia władzy lub naruszenia systemu znajdują się poza jej zasięgiem. Tak się jednak składa, że właśnie tego typu działania mogą prowadzić do przezwyciężenia kryzysu. Kryzysu gospodarczego w PRL nie można wyizolować ze sfery politycznej i społecznej, z kryzysu nie można wyjść nie wychodząc jednocześnie z otoczki politycznej i doktrynalnej, która leży u jego podłoża. Dlatego też niektórzy tak to formułują: nie ma w Polsce problemu przezwyciężenia kryzysu, jest problem przezwyciężenia systemu.

Polityka przeciwkryzysowa władz podlega licznym ograniczeniom, które sprawiają, że jest niekonsekwentna, zmienna i w rezultacie nieskuteczna. Ograniczenia są różnego rodzaju: zewnętrzno- i wewnętrzniepolityczne, ale także ideologiczne a nawet intelektualne. Większość rozwiązań które proponuje reforma w swoich ostatecznych konsekwencjach nie mieści się w tych ograniczeniach. Podobnie nie mieszczą się w tych ograniczeniach pewne kierunki polityki gospodarczej, które same przez się nie zagrażają bynajmniej władzy i systemowi. Na przykład pewne otwarcie dla prywatnego rzemiosła i przemysłu drobnego, a także dla firm tzw. polonijnych, które było początkowo sygnalizowane jako jeden z czynników mogących poderwać gospodarkę do rozwoju, zwiększyć produkcję na rynek i na eksport, teraz już wyraźnie się kończy. Władze, nie chcąc formalnie cofnąć pewnych zezwoleń i koncesji, ale zaniepokojone dynamiką tego sektora gospodarki, sięgnęły do wypróbowanego narzędzia — śruby podatkowej, która jeśli będzie konsekwentnie stosowana, szybko sprowadzi sektor prywatny z powrotem do dawnego nikłego marginesu.

Podsumowując, możemy powiedzieć, że w tym ciężkim kryzysie, który dotknął gospodarkę, kraj i naród, władze komunistyczne PRL prowadzą taką politykę gospodarczą, w której przezwyciężenie kryzysu ma nastąpić jakby po drodze, mimochodem, bez żadnych koncesji i odstępstw systemowo-ustrojowych. W tej strategii „żadnych ustępstw systemu na rzecz przezwyciężenia kryzysu” istotną rolę odgrywa szansa czy nadzieja na pomoc zagraniczną. Jak pamiętamy, pomoc zagraniczna, czyli zasilanie zewnętrzne stanowi pierwsze wyjście z sytuacji, gdy gospodarka nie odtwarzająca nakładów produkcji ulega zwężeniu. Pomoc zagraniczna jest bowiem czynnikiem zewnętrznym i jeśli się go odpowiednio wyizoluje, to znaczy sprowadzi do skutków wyłącznie gospodarczych i technicznych, stanowi idealny czynnik antykryzysowy: pomoże, a nie wymaga kosztów (systemowych). Taką

właśnie funkcję pełniły w okresie rządów Gierka gigantyczne pożyczki zagraniczne: pieniędzmi kapitalistów miano rozwijać gospodarkę socjalistyczną i rozszerzać w niej „socjalistyczne stosunki” produkcji.

Teraz chciałoby się powtórzyć tę sztukę, ale na przeszkodzie stoją sankcje gospodarcze Zachodu, których inspiratorem jest prezydent Ameryki. Stąd takie wściekłe ataki na owe sankcje, na prezydenta Reagana, na wszystkich tych, którzy ośmielają się mieć w tej sprawie zdanie odmienne od stanowiska władz. Stąd również owe wprost nieprzytomne w swej beczelności okrzyki „najwyższych czynników”, że „Polska wystawi rachunek za te sankcje”, że zażądamy odszkodowań, że ponieśliśmy wskutek sankcji straty równające się naszym długom, a nawet że są one główną przyczyną przedłużającego się kryzysu itd., itp.

Jak jest naprawdę i jakie trzeba zająć stanowisko w tej sprawie? Najpierw trzeba rzecz sprowadzić do właściwych rozmiarów. Sankcje gospodarcze Zachodu, głównie zastosowane przez USA, obciążają naszą gospodarkę w stopniu minimalnym, wyrażającym się w nikłych promilach dochodu narodowego. Najpoważniejsze i najbardziej spektakularne z nich, obłożenie cłem naszego eksportu do USA (w 1982 roku eksport wartości ca 200 mln dolarów), zakaz połowu ryb na wodach terytorialnych USA i wstrzymanie kredytowego eksportu pasz stanowią marginalne zjawiska nawet w danych dziedzinach i gospodarka polska już je zrekompensowała. Ale oczywiście sankcje, nawet ocenione w ten sposób, stanowią dla gospodarki polskiej pewną dolegliwość, a tym samym godzą w pewnym stopniu w ludność, czego spektakularnym przykładem jest zniknięcie z naszego rynku drobiu jako produktu masowego. Dlatego byłoby błędem politycznym ze strony opozycji bezpośrednio wzywanie Zachodu do utrzymania sankcji i błąd taki, popełniony przez Wałęsę, propaganda rządowa już wykorzystwała. Trzeba sprawę odwrócić: tak, sankcje przynoszą szkodę naszej gospodarce, część tych szkód odczuwa ludność, czyli my wszyscy. Ale kto jest winien, że sankcje zostały nałożone i są utrzymywane? Oczywiście rząd polski, który najpierw sprowokował je wprowadzeniem stanu wojennego, a obecnie nie chce spełnić nawet drobnych warunków, których spełnienie mogłoby sankcje złagodzić lub w ogóle zlikwidować. A Zachód? Miał prawo ograniczyć swoją współpracę a właściwie pomoc dla PRL, jeśli uznał, że zagraża to jego interesom; PRL tak często powołuje się na swoją suwerenność w działaniach, więc trzeba uznać i suwerenne prawa państw zachodnich w ich działaniach. Jeśli zatem cierpimy z powodu sankcji, to nie Reagan, opozycja czy Wałęsa są temu winni, lecz rząd PRL z Jaruzelskim,

Rakowskim i rzecznikiem prasowym Urbanem, który swoimi oświadczeniami umyślnie dolewa oliwy do ognia. A więc jeśli prasa rozdziera szaty z powodu sankcji, to winnych trzeba szukać w Alejach Ujazdowskich w Warszawie, a nie gdzie indziej (jeżeli są naprawdę suwerenni, jak zapewnniają).

Jeśli jednak sankcje gospodarcze Zachodu mają tak niewielkie bezpośrednie znaczenie, to skąd ten cały krzyk? Tu właśnie leży pies pogrzebany. W rządowej propagandzie przeciw sankcjom nie chodzi prawie wcale o takie marginalne sprawy jak pasza dla kur, trochę ryb, które można złowić gdzie indziej czy kilkadziesiąt milionów dolarów cła. Te prawie symboliczne sankcje gospodarcze mają jednak kolosalne znaczenie polityczne. Polega ono na tym, że utrzymanie sankcji stanowi główną przeszkodę dla ponownego uruchomienia dużych, a potem jeszcze większych kredytów dla PRL, a zachodnie kredyty (czytaj: dotacje) w strategii władz naszego kraju stanowią właśnie główny czynnik przezwyciężenia kryzysu. Utrzymywanie sankcji nie pozwala bowiem politycznym debilom z zarządów banków zachodnich otworzyć znowu swoich worków z pieniędzmi, żeby zrobić „dobry interes” z komunistami i zdobyć zyskową lokatę dla swoich kapitałów, które przecież nie mogą leżeć bezczynnie na kontach i topnieć pod wpływem inflacji. Wspaniałe jest skądinąd to nieprzemyślane poszukiwanie przez kapitał zysku, ale jeśli nie jest skojarzone z elementarnym rozeznaniem politycznym, to prowadzi do samobójstwa. Doświadczenie wskazuje, że z takich lokat nie będzie ani procentów, ani kapitału, a może być co innego, gdyż właśnie o takich bankierach myślał Lenin, mówiąc: sprzedadzą nam sznur, na którym ich powiesimy.

Należy przy tym zauważyć, że w strategii władz PRL dotychczasowe długi nie odgrywają prawie żadnej roli, gdyż w zasadzie nie spłaca się ani rat, ani procentów. Kolejne porozumienia z bankami-wierzycielami o odłożenie płatności mają na celu tylko uratowanie bankowej fikcji, iż polskie długi ciągle stanowią ich aktywa.

Póki co jednak, utrzymanie sankcji nie pozwala na uruchomienie nowych kredytów i w tym najważniejszym sensie sankcje godzą w rząd PRL i w cały system. Nie w ludność. Choćby bowiem kredyty zachodnie pozwoliłyby stosunkowo szybko przywrócić w gospodarce PRL przedkryzysowy poziom produkcji (musiałyby to być kredyty doraźne rzędu 5 mld dolarów), to jednak nie byłaby to gospodarka odnowiona, zostałyby ożywione stare struktury i stare metody funkcjonowania, a propaganda ogłosiłaby, że oto system socjalistyczny wraz z centralnym planowaniem sprawiły, że PRL wyszła z kryzysu.

A jakie byłyby czysto polityczne znaczenie zniesienia sankcji? Wprowadzając sankcje, Zachód postawił pewne warunki. Żaden z tych warunków nie został spełniony. Jeśli mimo to sankcje byłyby zniesione, oznaczałoby to olbrzymie zwycięstwo polityczne a także i moralne komunistów, gdyż stanowiłoby dowód, że wystarczy siła i dostateczny upór, aby wygrać z Zachodem i przywrócić jego pomoc na swoich warunkach. Byłby to dowód, ale jednocześnie i zachęta, aby metody takie stosować w przyszłości. Dla Zachodu zniesienie sankcji bez usunięcia okoliczności, które spowodowały ich nałożenie oznaczałoby porażkę polityczną i w oczach społeczeństw pozostających pod rządami komunistów stanowiłoby utratę wiarygodności przez Zachód.

Jeśli zatem sankcje gospodarcze Zachodu:

- w niewielkim stopniu bezpośrednio szkodzą ludności;
- jeżeli przyczyną ich utrzymywania jest stanowisko rządu PRL;
- jeśli mają głównie znaczenie polityczne i w tym sensie są dotkliwe tylko dla rządu PRL;
- jeśli zniesienie ich stanowiłoby zwycięstwo komunistów, a porażkę dla sprawy wolności i demokracji —

to niech trwają.

Oceniając politykę przeciwkryzysową rządu, spójrzmy jeszcze na oficjalną naukę ekonomiczną. W sytuacji w jakiej znalazła się gospodarka kraju, należałoby oczekiwać z tej strony jakichś konkretnych projektów działań, prowadzących do przezwyciężenia kryzysu, a także jakichś prac teoretycznych, które w sposób twórczy uogólniłyby procesy gospodarcze w Polsce, których jesteśmy świadkami i podjęły próbę teoretycznego wytłumaczenia tej katastrofy gospodarczej, ulokowania tego zjawiska w kontekście historycznym i systemowym, zrewidowania tych twierdzeń teorii ekonomicznej (marksistowskiej?), które rewizji wymagają. Przecież stała się rzecz niezwykła i przez tę teorię nie przewidziana.

Niestety oficjalna polska nauka ekonomiczna takiego stanowiska nie zajęła. Część ekonomistów została w trybie administracyjnym włączona do partyjno-rządowej Komisji Reformy i do agend rządowych (np. Biuro Pełnomocnika d/s Reformy Gospodarczej) i ich aktywność została skanalizowana w formach biurokratycznych. Owszem, opracowując projekt reformy zrobili oni pożyteczną robotę, ale na tym też ich działalność się wyczerpała. Natomiast pozostali tłuką nadal swoje szablonoowo-dogmatyczne podręczniki o „ekonomii politycznej socjalizmu” i prowadzą swoje wykłady na uczelniach, tak jakby to był rok 1965, a najwyżej 1975. Niektórzy najambitniejsi próbowali dać teoretyczną interpretację kryzysu w pośpiesznie napisanych i szybko wydanych

brosturach (Pajestka, Górski), ale wyszły z tego propagandowe agitki, nastawione głównie na polemikę z opozycją i apologetykę systemu. Rzetelnych badań i zastosowania teorii naukowej brak.

Nic zatem dziwnego, że nauka ekonomii straciła w Polsce społeczny autorytet, a rekrutacja studentów na wydziały ekonomiczne napotyka na coraz większe trudności.

Jakie społeczeństwo?

Co na to wszystko ludność? Jak reaguje na kryzys społeczeństwo? Czy wykazuje aktywność czy pozostaje bierne, protestuje czy jest apatyczne? Bez prób odpowiedzi na te pytania obraz kryzysu w Polsce byłby niepełny.

Zacząć trzeba od stwierdzenia, że poziom życia ludności wskutek kryzysu obniżył się i spadek ten można by określić jako katastrofalny, choć ma on charakter złożony. Statystyki państwowe przyznają, że płace realne spadły w 1982 roku o 25 %, ale ogólny spadek stopy życiowej, a zwłaszcza pogorszenie się jakości życia trzeba wyrazić wyższym wskaźnikiem, od 33 % do 40 %. Spadek ten trwa nadal, choć komunikaty GUS-u bredzą coś ostatnio o lekkiej podwyżce płac realnych w ciągu 1983 roku (?).

Jednak bez względu na to, o ile spadliśmy w stosunku do stanu sprzed kryzysu, poziom życia jest bardzo niski. Spróbujmy go określić, stosując jakiś pomiar ilościowy. Otóż przeciętna płaca nominalna w Polsce na jesieni 1983 roku wynosiła 15.000 złotych. Oficjalny kurs dolara, który jest jednak zaniżony o jakieś 20 %, wynosi 95 zł. Przyjmijmy zatem dla ostrożności kurs 100 zł za 1 dolara jako relację odpowiadającą relacji siły nabywczej obu walut, polskiej w Polsce, dolara na Zachodzie. Według tego kursu Polak zarabia przeciętnie 150 dolarów miesięcznie, co odpowiada przeciętnemu zarobkowi w krajach Trzeciego Świata. Za tę płacę Polak może kupić albo 10 koszul (ale teoretycznie, gdyż ich nie ma), albo 10 par półbutów (to jest bardziej realne, choć trudne), albo dwa średniej jakości ubrania, albo trzy sukienki, albo jeden niezły odkurzacz, albo 1.000 jaj, albo 50 kg masła, albo 40 kg dobrego mięsa. Na lodówkę Polak musi pracować 3 miesiące, na automatyczną pralkę 4 miesiące, na kolorowy telewizor 10 miesięcy, na bardzo mały samochód 33 miesiące, na 1 litr benzyny godzinę, na 1 metr kwadratowy mieszkania 4 miesiące (to znaczy, że na całe mieszkanie wielkości 50 m² trzeba pracować 200 miesięcy, czyli 17 lat, i tyle prawie wynosi okres oczekiwania na mieszkanie w spółdzielni).

Trzeba również wziąć pod uwagę, że Polak od czasu do czasu musi skonfrontować swoje zarobki z czarnorynkowym kursem dolara: wtedy jego płaca miesięczna wystarcza tylko na 25 dolarów...

Jak ludzie zareagowali na to nagłe obniżenie ich poziomu życia? Najpierw odnosiło się wrażenie, że po prostu nie przyjęli kryzysu do wiadomości: nie zrozumieli go. Do tego przyczyniała się również propaganda rządowa, która zdobyła już oficjalną nazwę: propaganda sukcesu. Ludzie nie rozumieli, że już w latach 70-tych żyli ponad stan i że jednocześnie „przyspieszony rozwój” gospodarki polskiej i dość duży wzrost płac opierały się w dużym stopniu na pożyczkach zagranicznych. Uważali, że pracują tak samo jak przedtem, a więc dlaczego mieliby gorzej żyć? To nieprzyjmowanie kryzysu do wiadomości wyraziło się w nieelastyczności potrzeb, w podtrzymywaniu dotychczasowych przyzwyczajeń, w braku jakichś działań oszczędnościowych. Takie zachowanie wynikało również częściowo z poprzednio omówionego „oswajania kryzysu” przez politykę rządową. Pewne obszary chroniła ona przed skutkami kryzysu, np. czynsze mieszkaniowe, opłaty za energię, komunikację, co stwarzało wrażenie, że tutaj nic się nie zmieniło. Ta właśnie selektywność kryzysu, a także wstrząs spowodowany wprowadzeniem stanu wojennego i likwidacja „Solidarności” sprawiły, że ludzie nie zaprotestowali wobec gwałtownego spadku ich standardu życiowego. Jest to istotna okoliczność na tle poprzednich, historycznych już protestów w 1956, 1970, 1976 i 1980 roku, w sytuacji znacznie mniejszych załamań stopy życiowej.

Bierność ludności wyraża się nie tylko w braku masowych i spektakularnych aktów protestu, ale także w braku aktywności zmierzającej do adaptacji do kryzysu i w braku jakiejś przedsiębiorczości, która by stawiała czoła kryzysowi od strony gospodarczej. Odnosi się wrażenie, że najczęściej spotykana postawa wyraża się w oczekiwaniu, iż kryzys sam się skończy. „Róbmy to co dotychczas, a kryzys sam przejdzie, tak jak sam przyszedł”.

Oczywiście nie wszyscy zachowują taką nieracjonalną bierność. Pojawiają się pojedyncze jednostki i całe grupy zawodowe i społeczne, które usiłują stawić czoła kryzysowi w swej prywatno-osobistej czy rodzinnej skali, podejmując jakąś działalność przedsiębiorczą, czy to rzemiosło, czy jakąś pracę chałupniczą, czy jakąś aktywność ogrodniczą na działce, pracę sezonową czy wyjazdy za granicę (Węgry, Bułgaria), czy wreszcie próby złapania jakiejś pracy na Zachodzie (na ogół dramatyczne). Są więc ludzie, którzy się przekwalifikowali z urzędników czy robotników w zakła-

dach państwowych na samodzielnych producentów, tu i ówdzie słyszy się o jakimś elektroniku, który ma stragan z warzywami, tam doktor ekonomii (?) założył warsztat kowalstwa artystycznego itp. Oczywiście pociąga to za sobą pewne straty społeczne: ludzie ci nie pracują w zawodach wyuczonych, ponieważ jednak jednocześnie podejmują pracę społecznie użyteczną, która znajduje popyt, przyczyniają się tym samym konkretnie do poprawy sytuacji gospodarczej.

Innym obszarem przedsiębiorczej aktywności antykryzysowej są tzw. firmy polonijne, założone przez obcokrajowców, ale zatrudniające na warunkach jakby kapitalistycznych również miejscową ludność. Pewną zwiększoną aktywność wykazują również indywidualni rolnicy (budownictwo na wsi, intensyfikacja upraw, utrzymywanie i powiększanie gospodarstw rolnych, powrót chłopo-robotników na rolę).

Ta „odpowiedź na kryzys” ze strony aktywnej części ludności spowodowała, że socjalizm w gospodarce nieco się cofnął. Powstrzymano proces „uspołeczniania” rolnictwa, zwiększył się udział pracujących w gospodarce tzw. nieuspołecznionej zarówno na wsi jak i w mieście. Na tle ogromnej różnicy w zarobkach między sektorem państwowym a sektorem indywidualno-prywatnym obserwuje się u energiczniejszych jednostek niechęć do pracy „na państwowym”, a nawet ucieczkę z zakładów uspołecznionych. Natomiast ludzie pragnący w pracy odpocząć (?) przechodzą właśnie do tych zakładów. Następuje więc swoista selekcja pracowników, w której, tak jak zawsze było w tym współzawodnictwie, kapitalistyczny sektor wygrywa.

Ale wyliczone tu przykłady aktywności gospodarczej ludności na tle ogólnej bierności są tylko marginesem. Przyczyny tej bierności wobec kryzysu są złożone. Z jednej strony brak kapitału potrzebnego dla działalności gospodarczej, z drugiej strony można by sądzić, że w społeczeństwie wychowanym od 40 lat w systemie powszechnej prawie etatyzacji zaniknął duch przedsiębiorczości. Jednak najważniejszą przyczyną tej bierności jest brak zaufania, że władze pozwolą na dłuższą metę na działalność prywatnej inicjatywy. Ta nieufność wobec perspektyw drugiego już „polskiego NEP-u” jest ugruntowana dziesiątkami lat doświadczeń. Istnieje więc stała obawa przed wywłaszczeniem dokonanym przez niszczące podatki, jak również obawa przed zaciskającą się reglamentacją zaopatrzenia. W rezultacie ludzie czekają, aż władze same przezwyciężą kryzys. Jest to sprzeczne z apelami władz, które wzywają do aktywności w walce z kryzysem (aktywności według wskazań IX Zjazdu PZPR), ale prawdopodobnie zgodne z ich intencjami.

Ogólną bierność wobec sytuacji kryzysowych wykazuje również kierownictwo przedsiębiorstw państwowych (nie można tego w pełni powiedzieć o spółdzielniach, które zaczynają przejawiać pewną przedsiębiorczość). Dyrektorzy państwowych przedsiębiorstw wykorzystują tę niewielką samodzielność, jaką dzięki reformie uzyskali nie do jakichś inicjatyw produkcyjnych i organizacyjnych, ale do praktyk monopolistycznych. Przy braku konkurencji podnoszą ceny i uzyskują łatwe zyski.

Inną reakcją ludzi na kryzys jest obniżenie dyscypliny i ogólnego morale pracy. Ludzie wykorzystują każdą okazję, aby nie pracować, opuszczać miejsce pracy, zamknąć zakład pod byle pretekstem, zamknąć sklep z powodu remontu, remanentu, urlopu, uzyskać zwolnienie lekarskie, przedłużyć urlop. Niedawno przeprowadzone badania wykazały, że robotnicy w zakładzie zmechanizowanym, a więc takim, gdzie maszyna wyznacza rytm pracy, tylko 60 % swego czasu pracują. To jest przyczyną stałego braku pracowników, jaki odczuwają przedsiębiorstwa.

Spadek dyscypliny pracy wyraził się również w drastycznym obniżeniu jakości wyrobów. Zostało to również pogłębione dodatkowo przez zastąpienie części i komponentów dotychczas importowanych przez krajowe, nieodpowiednie lub bardziej zawodne. Powoduje to przyspieszenie zużycia wyrobów, co jeszcze bardziej pogłębia deficyt towarów na rynku, w eksporcie zaś powoduje trudności zbytu i konieczność obniżania cen, a więc i mniejszy uzysk dewizowy.

Spadek dyscypliny pracy, spadek wydajności i jakości obejmuje również usługi, począwszy od usług tzw. bytowych a skończywszy na administracji. Pogorszyła się jakość pracy służby zdrowia, spadła punktualność, dokładność i jakość na wielu stanowiskach pracy, informacja bywa przekreślona, niedokładna lub trudna do osiągnięcia. W nagłych sytuacjach trudno coś załatwić, dowiedzieć się, zamówić, a przyjęte zamówienia nie są wykonywane. Chwilami ma się wrażenie, że cała maszyneria społeczno-gospodarcza rozpada się — PRL przypomina wówczas biedne kraje Trzeciego Świata. Oto drastyczny przykład rozpadu elementarnych funkcji gospodarczych. Najważniejsze święto państwowe, 22 lipca, przypadło w tym roku w piątek. Ponieważ już od kilku lat soboty są w zasadzie wolne od pracy (co zresztą ciągle jest problemem dla gospodarki), powstały trzy dni wolne. Ale zaniedbana infrastruktura usług nie pozwala bez specjalnych przygotowań na trzydniowe święto. W rezultacie w kilku wielkich miastach, m.in. w Warszawie i Wrocławiu, część mieszkańców pozostała na okres świąteczny bez chleba, gdyż zaniedbany

od dziesięcioleci przemysł piekarniczy nie zdołał wypieć na zapas odpowiedniej ilości pieczywa. Powstał podwójny skandal: brak chleba i to podczas święta 39-lecia PRL (tak tak, to już tyle lat).

Kryzys gospodarczy i społeczny ujawnia się również w obrazie kraju, przede wszystkim w wyglądzie miast. Miasta, a w nich budynki, ulice, sklepy, publiczne środki komunikacji, dworce itd. są coraz bardziej zaniedbane, nieodnawiane, niesprzątane, co widoczne jest przede wszystkim w śródmieściach. Żałośnie wyglądają wielkie sklepy i domy towarowe, często budowane z socjalistyczną gigantomanią, sprzedające dziś jakieś marginesowe produkty przemysłu drobnego.

Kryzys objął również życie kulturalne i intelektualne. W wyniku kryzysu został przyspieszony proces względnej pauperyzacji inteligencji, a zwłaszcza intelektualistów. Nastąpiły przesunięcia w relacjach płac poszczególnych grup zawodowych, które zepchnęły płace inteligencji na poziom poniżej średniej. Władze dla celów doraźnych świadomie prowadzą politykę swoistego ouvrieryzmu płacowego: opłaca się w Polsce pracę bezpośrednio produkcyjną, a zwłaszcza pracę mięśni — górnik, hutnik, betoniarz, zbrojarz, traktorzysta — oto czołówka tabeli płac. Natomiast urzędnik, ale także lekarz, nauczyciel, sędzia (?) — ale nie funkcjonariusz SB! — a także pracownik naukowy znajdują się w tabeli płac poniżej średniej. Blacharz (robotnik) w prywatnym zakładzie samochodowym zarabia dziś cztery razy tyle co profesor wyższej uczelni. Niewykwalifikowany robotnik rolny wynajęty przez indywidualnego rolnika zarabia przez tydzień tyle, ile wynosi najwyższe honorarium za naukowy artykuł. Aktorzy, pisarze, śpiewacy (ale nie piosenkarze!), plastycy, muzycy — jeśli pracują na oficjalnych stawkach — stali się prawie żebrakami.

Ta sytuacja powoduje zmiany na skali społecznego prestiżu poszczególnych zawodów. Zawody intelektualne i artystyczne zaczynają być nisko szacowane. To powoduje, że już teraz zmniejsza się liczba kandydatów na wyższe uczelnie, a na dłuższą metę stwarza zagrożenie dla polskiej kultury i nauki.

Jakie znaczenie kryzysu?

Głęboki kryzys gospodarczy w PRL i jego następstwa społeczne, kulturalne i moralne mają ogromne znaczenie polityczne w skali światowej, zupełnie niedoceniane przez opinię publiczną na Zachodzie, jak również przez zawodowych sowietologów. A jest to przecież kryzys w kraju realnego socjalizmu, gdzie gospodarka jest zarządzana przez plan centralny, a większość

środków produkcji należy do państwa. Głęboki kryzys w PRL oznacza bankructwo zarówno socjalistycznego systemu jak i metod centralnego planowania. Bankructwo tym większe, że socjalistyczni ideologowie zawsze głosili, że kryzysy ekonomiczne są właściwością kapitalizmu i w socjalizmie wystąpić nie mogą.

Trzeba przy tym zrozumieć, że kryzys gospodarczy w Polsce jest szczególnie ostrą formą ogólnego kryzysu w krajach realnego socjalizmu. Wszystkie one odczuwają te same trudności i wszystkie przeżywają kryzys, chociaż na mniejszą skalę. Polska Rzeczpospolita Ludowa okazała się najsłabszym ogniwem w łańcuchu państw socjalistycznych i dlatego katastrofa gospodarcza nastąpiła tam najwcześniej.

Jakie perspektywy?

Jaki będzie dalszy rozwój sytuacji? Czy i kiedy kryzys się zakończy?

W oficjalnych planach przyrzeka się, że najwyższy przedkryzysowy poziom produkcji (1978 rok) zostanie osiągnięty w końcu lat 80-tych. Ale problem jest bardziej zawiły.

Chodzi mianowicie o to, że zjawiska kryzysowe, które obecnie występują jeszcze w formie jakby jednowarstwowej, w miarę trwania kryzysu będą się kumulować, nakładać jedno na drugie i w trybie negatywnej synergii kryzys będzie się pogłębiał, chociaż na pewnych odcinkach mogą wystąpić okresowe *wzrosty* produkcji.

Kumulacja kryzysu nastąpi na kilku obszarach. Gospodarka PRL ma zbyt duży trwały majątek produkcyjny, który powstał głównie w okresie szaleńczych inwestycji w latach 70-tych. Obok gotowych, już uruchomionych fabryk, urządzeń, magazynów, portów i dróg znajduje się jeszcze ogromny majątek zamrożony w inwestycjach niedokończonych. Aby je dokończyć, trzeba by zainwestować kwotę równą rocznemu dochodowi narodowemu (!). W tym wielkim majątku trwałym tkwi ogromna praca narodu, która w miarę przedłużania się kryzysu ulega stałej erozji. Inwestycje niedokończone coraz mniej mają szans na uzyskanie środków brakujących do ich uruchomienia. Natomiast majątek już uruchomiony nie jest w pełni wykorzystywany i w miarę upływu czasu coraz mniej ma szans na pełne wykorzystanie. Niedokończone inwestycje nie dają żadnego dochodu, a nie w pełni wykorzystany majątek daje dochód zmniejszony. W rezultacie dochód narodowy okazuje się nie tylko za mały na to, aby dokończyć to, co rozpoczęto, ale również za mały na amortyzację, a zwłaszcza

modernizację tego, co już ukończono, albowiem ze zmniejszonego dochodu narodowego nie można wydzielić środków koniecznych na inwestycje.

Ta sytuacja musi prowadzić do dekapitalizacji majątku trwałego. Jednocześnie trwać będzie proces tzw. moralnego zużycia się tego wielkiego majątku, co oznacza, że będzie się on starzał. Jako przykład można podać fabryki samochodów osobowych, wybudowane przed 15 czy 30 laty. Dziś zestarzałe urządzenia i maszyny w tych fabrykach nie mogą już produkować nowoczesnych wozów, które mogłyby być konkurencyjne na rynkach światowych. Proces ten będzie postępował i rozszerzał się na dalsze gałęzie przemysłu przetwórczego.

Obecnie zmniejszony wysiłek inwestycyjny koncentruje się na kończeniu inwestycji wytypowanych z niezmiernie wydłużonego frontu inwestycyjnego, jaki pozostawiły lata 70-te. Nowych inwestycji produkcyjnych rozpoczyna się niewiele. Ale w miarę przedłużania się kryzysu potrzeby w tej dziedzinie będą wzrastać. Wyniknie to zarówno z konieczności zmian strukturalnych w gospodarce narodowej jak i z konieczności rozszerzania powiązanych się wąskich gardeł w strukturze istniejącego aparatu produkcyjnego oraz z konieczności zaspokojenia potrzeb rosnącej ludności. Te nowe inwestycje przy ograniczonym dochodzie narodowym mogą być dokonywane jedynie kosztem zmniejszenia części dochodu przeznaczonego na konsumpcję. Wywoła to nowe napięcia społeczne.

W najbliższej przyszłości ujawnią się ograniczenia w przemyśle wydobywczym. Wydobycie węgla, miedzi czy siarki nie będzie mogło być zwiększone, a więc nie będzie mógł być zwiększony eksport tych surowców, co mogłoby kompensować brak wyrobów eksportowych z przemysłu przetwórczego. Ograniczenie eksportu spowoduje z kolei ograniczenie importu, co da w efekcie dalsze ograniczenie produkcji.

Ujawniają się już i będą się nasilać procesy dekapitalizacji infrastruktury transportowej, a zwłaszcza kolejnictwa. Powstrzymanie tych procesów i modernizacja kolei będzie wymagać ogromnych dodatkowych środków. Ponieważ środków tych kolej nie dostanie, trzeba się liczyć z tym, że transport stanie się wąskim gardłem i zagrozi drogę dalszemu rozwojowi gospodarki.

Coraz trudniejsza sytuacja wystąpi w środowisku naturalnym. Zanieczyszczenie powietrza, wody i gleby będzie wymagało przeciwdziałania, a to będzie możliwe tylko przez bardzo kapitałochłonne nowe inwestycje. Brak środków na te cele spowoduje w sprzężeniu zwrotnym, iż zatrute środowisko naturalne stanie się kolejną barierą w rozwoju.

I wreszcie przedłużający się kryzys spowoduje narastanie odłożonego popytu ludności na wszystkie dobra półtrwałego, trwałego i długotrwałego użytku, poczynając od bielizny a skończywszy na mieszkaniach. Zwiększający się nacisk tego narastającego odłożonego popytu będzie prowadził do napięć społecznych, które zagrażają dalszemu rozwojowi gospodarki.

Biorąc pod uwagę wszystkie powyższe ograniczenia, można przewidywać, że przy utrzymaniu dotychczasowego systemu gospodarowania i ustroju społeczno-politycznego najbardziej prawdopodobnym stanem gospodarki — o ile nie nastąpią jakieś zaburzenia, np. z powodu zapowiedzianej na styczeń 1984 podwyżki cen — będzie stagnacja na niskim poziomie. Może to być nawet pewien stan równowagi gospodarczej, ale nie będzie to równowaga społeczna. Tę stagnacyjną równowagę na niskim poziomie będzie można uznać za normalny stan gospodarki polskiej i w tym sensie można będzie z uzasadnieniem mówić o „normalizacji”.

Ale w konfrontacji ze światem zewnętrznym taka normalizacja będzie prowadzić do narastającej luki rozwojowej pomiędzy Polską a Europą, Ameryką i strefą Pacyfiku.



Otwarty i głęboki kryzys gospodarczy, który trwa w Polsce od 1980 roku stanowi historyczną klęskę narodową. W pokojowym, ale jakże trudnym współzawodnictwie gospodarczym na świecie obsunęliśmy się o wiele stopni w dół. Gorycz, uczucie straconej szansy i uciekającego świata — oto nasz stan ducha na dziś. A Polacy przecież tak straszliwie potrzebują sukcesu dla potwierdzenia swego miejsca w Europie, na świecie i w historii. Wydawało się, że może to być sukces gospodarczy, że odbudujemy i rozbudujemy naszą ojczyznę, że dościgniemy i prześcigniemy. W dążeniu do tego sukcesu Polacy gotowi byłiby pracować nie gorzej niż Niemcy czy Japończycy. Gdyby mieli choć minimum zaufania do rządu, którzy rządzą w Warszawie i wynikającą z tego zaufania nadzieję, że ich praca nie pójdzie na marne... Niestety, nie mają, nie mogą mieć...

Żal mi mojego narodu. Najbardziej żal mi tych młodych ludzi, którzy przed dwoma laty tworzyli szeregi „Solidarności”, a dziś opuszczają ojczyznę w pragnieniu dostatniejszego życia i dla zarobku muszą się mierzyć z ogromniejącym, niezrozumiałym i obcym światem...

Zdzisław BARTNICKI

Hamburg, 17-25 września 1983

Święto i dzień powszedni polskiej walki o niepodległość

Przeżywamy okres triumfu i odradzających się, dość automatycznych nadziei w związku z przyznaniem Lechowi Wałęsie nagrody Pokoju Nobla. To chyba jednak jeden z ostatnich spektakli tego okresu dziejów narodu. Minął okres wielkich i częstych demonstracji. Pewnej neutralizacji ulega funkcja Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej. Prasa światowa polowała ostatnio głównie na wypowiedzi liderów związkowych, a te stawały się coraz bardziej zagmatwane, informacyjnie mało nośne. Przez czas jakiś utrzyma się pewne zainteresowanie następstwami uhonorowania Wałęsy nagrodą o światowym rozgłosie, po czym znowu nie będzie czego sprzedawać w środkach przekazu i zainteresowanie Polską ponownie opadnie. Naturalnemu procesowi znużenia opinii publicznej w świecie nie zapobiega taktyka informacyjna zagranicznych ośrodków „Solidarności”, które eksponują głównie wielkie wydarzenia, zgodnie zresztą z wymogami zachodniego rynku, ale ze szkodą dla procesu pojmowania tego, co się w Polsce dzieje.

Z drugiej strony rzesze związkowców w kraju, karmione efektywnym stylem kolejnych oświadczeń TKK długo pozostawały w przekonaniu, że „to wszystko” nie potrwa długo, a taktyka częstych zwarć rozjaśni generałowi w głowie i wszystko będzie dobrze. Zimny prysznic z listopada 1982 i następujące później osłabienie fali demonstracji, wraz z obserwacją niezmienniej żywotności junty, zmieniły zapatrywania wielu na rychły sukces, ale nie sprzyjały wytworzeniu powszechnie realizowanej alternatywy. Przyjęcie od początku przez TKK nazbyt optymistycznej oceny własnych możliwości i nierealnych celów, przy braku fachowo koordynowanych mechanizmów odbudowy struktury Związku owocuje sporą frustracją i ogranicza powszechność hasła o społeczeństwie podziemnym.

Tymczasem ani rozpowszechniające się na Zachodzie przekonanie, że w Polsce nic się nie dzieje, ani frustracje tych rodaków, którzy dostrzegają głównie porażkę nie są uzasadnione polską rzeczywistością drugiego roku wojny. Z dużymi trudnościami, ale budowane nieustannie siłami licznych ugrupowań, powstają zręby społeczeństwa nie tylko nieujarzmionego, ale w pewnym sensie niezależnego. System roboczych więzi społecznych obejmuje wiele zakresów, omówimy tu w dużym skrócie trzy o charakterze najbardziej uniwersalnym: podziemie związkowe, działania w ramach obowiązującego prawa oraz społeczne funkcje Kościoła.

Podziemie związkowe

Podziemie polskie to dziś ogromna liczba inicjatyw. Wydawnictwa periodyczne i książkowe, samokształcenie, samopomoc, akcje specjalne — ich pobieżna nawet analiza wymagałaby odrębnego studium. Jest TKK, której dyrektywny sposób działania — realizowany w przekonaniu, że w okresie wojny społeczeństwo potrzebuje nie demokracji, lecz instrukcji — oraz pozbawiona historycznej wizji polityka wypełniły pierwszy okres jej działania, po którym przyjdzie pewno następny. Jest Wałęsa, symbolizujący narodową jedność wokół podstawowego imperatywu wolności. Nie to jest jednak przedmiotem naszych rozważań. Skupić się pragniemy na pewnym konkretnym organizacyjnym podziemiu, jakim są struktury międzyzakładowe.

Organizacyjne realia podziemia związkowego — szkic oparty o parę przykładów

Centralne inicjatywy związkowe okresu wojny były początkowo ośrodkami oporu, grupującymi się wokół strajkujących wielkich zakładów pracy. W ciągu pierwszych miesięcy stanu wojennego wykształciły się cztery Regionalne Komisje: Gdańska, Mazowska, Małopolski i Dolnego Śląska. Pierwszą próbą porozumienia centralnego był w marcu 1982 Ogólnopolski Komitet Oporu. W czerwcu 1982 wykształciła się Tymczasowa Komisja Koordynacyjna w składzie Z. Bujak, W. Frasyniuk, W. Haredek, B. Lis. Członkowie TKK stali na czele odpowiednich Komisji Regionalnych. Główny ciężar pracy owych Komisji związany był z zabezpieczeniem łączności centralnej i zagranicznej oraz zapewnieniem transmisji ustaleń TKK „w dół”. Z racji swej roli reprezentacyjnej i symbolicznej, a także wobec wyjątkowych wymogów bezpieczeństwa, członkowie TKK funkcjonowali raczej w trybie dyrektywnym, realnej zaś koordynacji oczekiwać należało od tworzących się „od dołu” układów powiązań międzyzakładowych. W miarę upływu czasu słabła także nośność programowa TKK. Wszystko to podnosiło rangę struktur podstawowych Związku. Treścią naszych rozważań nie jest zatem działalność TKK i jej regionalnych agend — RKW, lecz śledzenie losów koncepcji struktur międzyzakładowych. Nie tylko nie dysponujemy nimi w odniesieniu do omawianych regionów, ale omijamy nadto dwa wielkie regiony o wyraźnej specyfice — Gdański i Mazowska. Pełna monografia tematu czeka na opracowanie.

Wielkopolska

Region został dość gruntownie spacyfikowany. W pierwszych miesiącach wojny zaczął się pojawiać niedatowany *Obserwator*

Wielkopolski, zawierający, obok informacji z kilku zakładów, głównie z HCP, doniesienia z regionu Dolnego Śląska (w tym także dokumenty RKS Dolny Śląsk) oraz z Mazowsza. Po paru miesiącach zaczęto drukować apele związane z wojennymi manifestacjami, podpisane „Solidarność” Poznania. W sierpniu 1982 pojawiła się instrukcja dotycząca pracy informacyjnej, podpisana przez J. Pałubickiego w imieniu Tymczasowego Zarządu Regionu. Po krótkim czasie, gdy Pałubicki wpadł, wydano oświadczenie, w którym czytamy m.in. „...nie istnieje realne zagrożenie naszej pracy w wyniku aresztowania kolegi Pałubickiego (...)”. W piśmie brak wyraźnej koncepcji organizacyjno-programowej, informacje pochodzą z kilku zakładów, głównie z HCP, dalej POMET, szkoły wyższe, licea, TELETRA, SPP, IOP, dochodzą czasami informacje z regionu: Puszczykowo, Rawicz, Śrem.

W regionie naliczyliśmy ponad 20 tytułów, co nie oznacza oczywiście, że znamy wszystkie. Przed 1 maja 1982 doszło do porozumienia szeregu grup: ulotkę podpisały Regionalny Komitet Oporu, NOW-a Lechia, NZS, Akademicki Ruch Oporu, pisma *Solidarni*, *Biuletyn Wojenny*, *Mały Wojenny*, *Orzeł*, *Veto*, *Prawda Wolnych Polaków*. Wychodzi dość nieregularnie *Biuletyn Wielkopolski*. W pewnym stopniu załącznikiem struktury jest miesięcznik NSZZ „S” Wyższych Szkół Poznania *Biuletyn Wojenny*. Ciekawą inicjatywą wydawniczą jest pismo *System* o profilu czysto koncepcyjnym, mającym na celu pogłębioną analizę krytyczną systemu komunistycznego. Ogólnie jednak można powiedzieć, że w Poznańskim brak jest zamysłu struktury międzyzakładowej. Sytuację charakteryzuje ciążenie środowiska do inicjatyw zakładów Cegielskiego — HCP.

Wrocław

Od początku wojny działa Regionalny Komitet Strajkowy, początkowo podpisujący swoje oświadczenia imiennie (Frasyniuk, Bednorz, Pinior) po ich kolejnych wypadkach, od 17 czerwca 1983 dokumenty RKS firmuje Witold. Prezydium RKS ukonstytuowało się imiennie w pierwszym dniu wojny, poza wymienionymi powyżej nazwiskami w jego skład wchodził Jan Wilnik. Dużą rolę w pracach Komitetu odgrywał Kornel Morawiecki. Organem RKS, wydawanym metodą dystrybucji matryc do szeregu drukarni stał się biuletyn *Z Dnia na Dzień*, przekraczający niekiedy nakładem trzydzieści tysięcy egzemplarzy. Różnice poglądów w sprawach programowych i organizacyjnych doprowadziły do powstania pisma *Solidarność Walcząca*, którego pierwszy numer wyszedł w lipcu 1982 i stał się bazą odrębnej grupy o tej samej nazwie, koordynowanej przez Kornela Morawieckiego. *Solidarność Walcząca* głosi program jawnie polityczny: „(...) pozbawienie PZPR władzy, albo pozostawienie tej partii takiej części władzy, jaka przypadnie jej w udziale po przeprowadzeniu de-

mokratycznych wyborów do Sejmu (...)” (wywiad z K. Morawieckim w numerze 21/51 SW z 29 maja 1983). *Solidarność Walcząca* przekazała swoje kontakty zakładowe RKS-owi, stając się grupą programowo-informacyjną, nie stawiającą sobie za zadanie konkurencji z centralą związkową: „(...) SW nie uzurpuje sobie żadnej władzy związkowej. Nie stawia się w opozycji do RKS-ów (...). Nie o dwuwładzy można by tu mówić, ale o dwu-służbie (...)” (*idem*). SW drukuje oświadczenia RKS, ale koordynacja zakładów pozostaje w rękach Komitetu Strajkowego.

Koordinacja ta jest dość luźna, osłabiona serią wpadek. Jak się zdaje, brak regularnych, hierarchicznych spotkań, istnieje system spotkań doraźnych oraz publikacji w biuletynach. Brak systematycznej praktyki konsultacyjnej. W sprawie samorządów np. *Z Dnia na Dzień* publikował kilka głosów dyskusyjnych. Rozważania dotyczące taktyki sprowadzają się do informacji i oświadczeń RKS: tak było np. z doświadczeniem tygodnia protestu w FADROMIE. W kwestiach strategicznych nie zanotowano sprzeczności z linią TKK. Tematyka informacyjna w biuletynie *Z Dnia na Dzień* jest rozległa i świadczy o szerokich więziach. Przytoczmy przykładowe tematy z 1983 roku: dyskusja o samorządach, świadczenia statutowe, paszporty naukowe, represje. Tematy programowe i interwencyjne: ustawa o związkach zawodowych a konwencja MOP, występowanie z wnioskami o ulżenie losu więzionych, NIE dla podwyżek cen, ocena tzw. zniesienia stanu wojennego.

Dokumenty oficjalne, podpisywane przez „Witolda”, mają ostatnio charakter dość ogólnikowy i znamionujący, jak się wydaje, brak pewności organizacyjnej i programowej. Odwołania programowe mają charakter głównie moralny: „(...) Ludzie często pytają: co robić? (...) Odpowiadamy: należy bronić i nie bać się publicznie głosić ideałów ‘Solidarności’ i zgodnie z nimi postępować (...). Musimy uparcie i wytrwale iść naprzód — do zwycięstwa (...)” (*ZDnD*, nr 25/284 z 7 lipca 1983).

Innym pismem centralnym jest *Solidarność Dolnośląska*, pismo informacyjne o starannej redakcji tekstów. Kontakt z innymi ośrodkami utrzymuje głównie poprzez druk (nr 24/94 z dn. 3 sierpnia 1983 — „...zwracamy się do kolegów z innych pism S, a zwłaszcza do redakcji *ZDnD* i *SW* oraz pism zakładowych o układanie kwiatnych krzyży w regionie Dolnego Śląska w sierpniu 1983”).

Przy braku strukturalnych układów w regionie istnieje bardzo ożywiona działalność w licznych zakładach Dolnego Śląska, co sprzyjać powinno wytworzeniu się struktury. Naliczyliśmy ponad pięćdziesiąt tytułów prasy zakładowej, studenckiej i rozproszonej. Tytułem przykładu przytoczmy tematykę poruszaną w wydawanym od stycznia 1983 biuletynie *Solidarność ELWRO*: zasiłki statutowe, zapomogi świąteczne i losowe, pomoc dla Świdnika, pogrzeb Kazimierza Michalczyka, zwrot grzywnien za udział w demonstracjach, pomoc dla internowanych i usuniętych z pracy, analiza kryzysu gospodarczego, bojkot zapowiedzianych na rok

1984 wyborów do Sejmu i rad narodowych, represje, sondaż (drogą apelu redakcyjnego) na temat dalszych form walki.

Próby tworzenia struktur mają jednak miejsce na Dolnym Śląsku. Od połowy ubiegłego roku wychodzi pismo *Iskierka* — organ MKS i TKZ ZNTK... Od sierpnia 1983 pojawia się *Victoria* — biuletyn MKK „S” Grabiszynek. Pewną strukturą jest oczywiście *Solidarność Walcząca* z szeregiem pism (*SW*, *BIS*, *Wolni i Solidarni*) — jak już jednak wyjaśniliśmy, nie pretenduje ona do tworzenia więzi związkowych poprzez zakłady, tworzy jednak układ sięgający daleko poza granice regionu.

Małopolska

Ciągłość władzy związkowej zapewnił Regionalny Komitet Strajkowy zlokalizowany w strajkującej Hucie im. Lenina. Po rozbiciu strajku pojawiać się zaczęły centralne biuletyny *Aktualności* i *Biuletyn Małopolski*, później także *Serwis Informacyjny*. Oświadczenia centrali podpisywano najpierw „Solidarność-Małopolska”, od 8 lutego 1982 — Regionalna Komisja Wykonawcza, od marca 1982 podpisywana przez W. Hardka, St. Handzlika, później jeszcze przez J. Paculę i J. Ciesielskiego. Powiązania międzyzakładowe wytwarzać się zaczęły w ramach Działu Kontaktów z Zakładami RKW, z własnym organem *Kroniką Małopolską* i odmienną wizją programową i organizacyjną. Różnice te doprowadziły do powołania 29 grudnia 1982 Międzyzakładowego Komitetu Solidarności Podgórze, Śródmieście, Krowodrza i Grzegórzek, który zresztą zadeklarował „współpracę z RKW”. W marcu 1983 dołączył MKS Małopolski Wschodniej — i wraz z odrębnym MKS Nowa Huta tworzą powyższe struktury układ powiązań międzyzakładowych regionu.

Międzyzakładowy Komitet Strajkowy Nowa Huta powstał na wezwanie strajkowe TKK i RKW dnia 12 października 1982 i od tej pory funkcjonuje równolegle obok RKW. Jego organem jest *Obserwator Wojenny*. Podaje on informacje z zakładów nowohuckich, lecz także ze Skawiny oraz niektórych zakładów „starego” Krakowa i regionu. Widoczna jest refleksja nad akcjami demonstracyjnymi, z uczciwą oceną przegranych. OW drukuje niekiedy głosy czytelników, np. w dziale „Co dalej” w styczniu 1983. W tym samym miesiącu pojawił się kilkupunktowy program dla komisji zakładowych, kładący nacisk na działalność czysto związkową: świadczenia statutowe, pożyczki i zapomogi, wczasy, wycieczki, imprezy kulturalne, walka o godziwą pracę i płacę, biblioteki wolnego słowa. OW głosi zdecydowany bojkot samorządu pracowniczego. W kwietniu 1983 podaje jednak prawne uwarunkowanie Społecznej Inspekcji Pracy, przyjmując zasadność tej instytucji pod warunkiem wyboru inspektorów przez całą załogę. Instruuje, jak należy egzekwować prawa pracownika wynikające z istnienia funduszu socjalnego i mieszkaniowego. Refleksja nad realiami w zakładach pracy prowadzona jest w

konwencji publicystycznej. MKS Nowa Huta publikuje oświadczenia związane z demonstracjami. Od lipca 1983 pojawiają się oświadczenia Tajnej Komisji Robotniczej Hutników, także dotyczące demonstracji.

Wielką rolę odgrywa wychodzący od kwietnia 1982 w nakładzie 6 tysięcy egzemplarzy *Hutnik*, o szerokiej sieci informatorów, dobrym druku i języku zdecydowanie niechętnym panującej władzy. Znaczącym biuletynem jest także pismo MONTIN-u *Montinowiec*.

Obserwator Wojenny, *Hutnik* i *Montinowiec* są pismami zakładowymi, obsługującymi społeczność Nowej Huty, której cechą charakterystyczną jest ogromna dominanta największego w Polsce zakładu pracy — Huty im. Lenina.

Organem struktury zakładowej „starego” Krakowa, czyli MKS-u Kraków jest *Kronika Małopolska*, powstała w lutym 1982 jako pismo robocze Działu Kontaktów z Zakładami RKW Małopolska. Linia pisma od początku obca była wizjom kategoriycznych bojkotów, z wyjątkiem imprez o charakterze jawnie kolaboranckim, jak wronie związki. Już w numerze 4 z 15 marca 1982 w atmosferze rozważań — brać, czy nie brać udziału w tzw. dyskusji nad „rządowym projektem odrodzenia ruchu związkowego” sformułowano tezę — uczestniczyć i dawać świadectwo prawdzie. Wcześniej pojawiają się sondaże nastrojów w zakładach. W piątym numerze czytamy streszczenie dyskusji w kręgu pracowników Huty „Po trzech miesiącach wojny”. W kwietniu 1982 opublikowano wyniki ankiety przeprowadzonej wśród około 200 pracowników krakowskich zakładów pracy. Ankieta zawierała pytania: 1) Na jakie kompromisy Związek powinien pójść, 2) Jakimi środkami należy Związek bronić, 3) Jaki wpływ ma stan wojenny na produkcję i stosunki w zakładzie. Rozpoczęto publikację *Raportów Wojennych*, przedstawiających bardziej wyczerpująco sytuację w fabrykach i instytucjach. W maju, czerwcu i lipcu 1982 prowadzona była szeroka ankieta na temat samorządów; w jej wyniku sformułowano szereg warunków, przy spełnieniu których reaktywowanie samorządów byłoby zasadne. W każdym razie wnioski dalekie są od kategoriycznego bojkotu, sformułowanego równolegle przez RKW. Żądanie bojkotu zamyka jednak dyskusję w zakładach; wróci do niej dopiero formalnie MKS Kraków w marcu 1983, jak się zdaje o rok za późno w stosunku do czasu, w którym możliwe było wykorzystanie samorządu jako formy walki i obywatelskiej edukacji. W lipcu 1982 przeprowadzono ankietę nt. strategii Związku. Potwierdzono w szczególności nieprzygotowanie zakładów pracy do strajku generalnego i podstawową konieczność wzmocnienia struktur zakładowych i międzyzakładowych powiązań. Decyzje TTK i RKW w tym okresie były zbieżne z odczuciami załóg. W kilka miesięcy później sytuacja rozwinie się inaczej: przed listopadem 1982 sondaż wykazał brak możliwości przeprowadzenia strajku, co nie przeszkodziło TTK i RKW w proklamowaniu 8-godzinnego strajku generalnego, który w zupełności się nie udał. W numerze

14 z połowy sierpnia 1982 ukazuje się zarys programu „sformułowany przez kilku członków RKW”, jak głosi podtytuł. Tezę podstawową jest przekonanie o braku szans na rychłą reaktywację Związku i konieczności zatem nastawienia się na długofalową optykę budowania struktury raczej, z zarzuceniem taktyki częstych demonstracji, a zwłaszcza strajków. Rozbrat z „oficjalną” linią programową RKW się powiększa, dochodzi do tego naturalne w istniejących warunkach zróżnicowanie stylu pracy. RKW nastawione jest na przetrwanie, niejako „przechowanie” ściganych symbolicznych osób. Struktura zakładowa żyje pragmatyką regularnych spotkań i zebrań na wszystkich szczeblach. RKW formułuje instrukcje, głównie dotyczące demonstracji. Struktura przeprowadza stałe sondaże. RKW głosi radykalne programy zwrotu zagrabionych wolności. Struktura analizuje organizacyjne i prawne możliwości współżycia z istniejącymi realiami. 19 października 1982 w odpowiedzi na apel TTK i RKW o strajku powstaje Międzydzielnicowy Komitet Strajkowy, w dwa miesiące później przekształca się on w Międzydzielnicowy Komitet Solidarności, z własną identycznością organizacyjną, co zresztą odpowiada realiom regionu. W pracach MKS Kraków i Małopolski Wschodniej biorą udział przedstawiciele kilkudziesięciu większych zakładów regionu i kilkudziesięciu mniejszych, zorganizowanych w pewnej hierarchicznej strukturze. Podstawę stanowi pragmatyka regularnych zebrań oraz sieć kilkunastu pism zakładowych. Informacje z zakładów prowadzą do zarysowania problemu, który gdy dojrzeje do decyzji, sygnalizowany jest poprzez tzw. Uwagi Sekretariatu MKS. Jest to oznaką dla przedstawicieli załóg, że wkrótce odbędzie się zebranie MKS, na które trzeba mieć przygotowane stanowisko. MKS podejmował decyzje w sprawach sposobów akcji protestacyjnych i rocznicowych, zasiłków statutowych, obniżki zasiłków chorobowych, grabieży majątku związkowego, bezprawnych aresztowań działaczy, samorządów pracowniczych, akcji pomocy w związku z represjami, w sprawach organizacyjnych. W Kronice stale prowadzona jest obserwacja bojkotu wronich związków, stanu represji, akcji samorządów, pracy ogniw związkowych poprzez analizę prasy zakładowej. Dużą rolę przypisuje się w publikacjach „Kroniki” możliwościom wykorzystania istniejącego prawa dla potrzeb niezależnych inicjatyw.

Pozostaje pytanie, jak struktura ustosunkowuje się do TTK i RKW. Sytuacja tutaj określana była wielokrotnie jasno w dyskusji programowej, trwającej do numeru 28, wznowionej w nr. 34. TTK stała się symbolem ruchu oporu i jako symbol i reprezentant na zewnątrz ma jeszcze wielką rolę do odegrania. Ustalanie jednak i wykonanie zakresu prac bieżących, nieefektywnych ale o podstawowym znaczeniu dla przyszłości społeczeństwa polskiego spoczywać winno w rękach licznej rzeszy pracowników, zorganizowanych poprzez strukturalny układ utajnionych, ale nie ukrywających się przedstawicieli.

Powyższy zarys strukturalnej organizacji regionu jest nie-

kompletny. Wspomnieć należy o Komisji Koordynacyjnej Szkół Wyższych wydającej dwa pisma — *Dzień* — *Kurier Akademicki* oraz *Wolna Myśl*, czy o Komisji Oświaty grupującej nauczycieli szkolnictwa podstawowego i średniego z biuletynem *Promieniści*, pracowników służby zdrowia wydających *Biuletyn* czy wreszcie parę porozumień studenckich z kilkoma tytułami. Oprócz pism różnych struktur wychodzi kilkanaście informacyjnych, publicystycznych a nawet satyrycznych (*Wronie Zwiercadło*). Prężność środowiska jest duża, warta odrębnego opisu — to, nad czym chcieliśmy zatrzymać się przez moment, to rozwijająca się myśl organizacyjna, która obejmując swoimi więziami liczne grupy osób o podobnej tożsamości społecznej czy zawodowej gwarantuje przetrwanie i rozwój załazków społeczeństwa niezależnego, świadomego długotrwałej perspektywy walki i jej wielorakich celów.

W ramach istniejącego prawa

W regularnych pracach podziemia z konieczności brać będzie udział stale stosunkowo niewielka liczba obywateli. Wielkie znaczenie ma zatem rozpoznanie pola prac na wpół niezależnych, dających możliwość powiększenia zakresu wolności w ramach istniejącego prawa. Polityka struktur zakładowych idzie zresztą w kierunku umiejętnej łączącej pracę podziemnej z oficjalną tak, by rozwojem społeczeństwa czynnie zainteresowany był ogół Polaków. Pod tym kątem przyjrzyjmy się znaczeniu nowych ustaw PRL, bez nadmiernych wszelako złudzeń. Próby zagospodarowania obowiązującego prawa do realizacji wolnych inicjatyw mogą mieć głównie sens edukacyjny, szkolenie obywateli w niezależnej postawie, natomiast wymierny efekt końcowy niełatwo sobie wyobrazić. Totalizm polski ma jednak sporo luk i pomysłowość ludzka w powiązaniu z celną pomocą ekspertów od prawa i ekonomii może w przypadkach szczególnych zdziałać bardzo wiele. Tytułem przykładu podajmy hipotetyczną możliwość opanowania jakiegoś zakładu przez sprawny samorząd, czy wręcz stworzenia kontrolowanej jednostki ekonomicznej, np. w kategorii przedsiębiorstw polonijnych. W sumie jednak sprawa jest bardzo trudna, a dla oceny całej złożoności sytuacji spróbujemy prześledzić wieloaspektowe znaczenie ustaw, które przecież w państwie komunistycznym nie kończy się na literalnym brzmieniu prawa.

Można się domyślić istnienia czterech niejako adresatów posunięć legislacyjnych władz kraju. Są nimi: podręczniki historii, w których nazwiska wojskowych mają się w przyszłości godnie prezentować, obok Piłsudskiego, Kościuszki, Kazimierza Wielkiego i innych prekursorów przodującego systemu; dalej Zachód, na który musi wszak istnieć sposób, by potrząsnął kiesą; Moskwa zdająca się tracić cierpliwość — i nareszcie własne społeczeństwo.

czeństwo. Tradycyjny sposób na tak określonych adwersarzy to magia.

Magia

Magiczne znaczenie nowych formuł prawnych związane jest właśnie z okolicznościami, w jakich wypełniają się dziejowe misje, z brakiem pieniędzy, zanikającym zaufaniem Moskwy oraz nagłą potrzebą odwrócenia gwałtownej ewolucji ideologicznej, która w pogrudniowym społeczeństwie polskim poszła w fatalnym dla partii kierunku. Powszechne stało się przekonanie, że minęła już epoka ideologii i oto stoimy w obliczu nagiej siły, która nie utrzymuje już, że rządzi bo ma ideową rację, lecz która rządzi, bo jest po prostu siłą. Stwórzmy zatem układ paragrafów, w który zaklęty będzie „ład i porządek”, a adresaci naszego posłania uwierzą na nowo w integralność formuły ludowładztwa. Dla zdeklarowanych niedowiarów, dysponujących jednak pewnym rozsądkiem (w końcu ta siła...) — mamy do dyspozycji *retorykę* doskonale oderwanego od rzeczywistości, ale zamkniętego, całkowitego w obrębie własnych formuł prawodawstwa.

Retoryka

Nasuwa się bowiem uzasadnione podejrzenie, że żadna z powyższych stron w magię już nie uwierzy. W dzisiejszych czasach jednak zanik wiary nie pociąga za sobą automatycznego uwiązania mechanizmów, jakie ongiś mogła ona być poruszać. W naszym przypadku magia bez wiary to właśnie retoryka. Przy najmniej gdy chodzi o miejsce w podręcznikach historii, załóżmy kredyty oraz prolongatę moskiewskiego debitu.

W stosunku do własnego społeczeństwa niekonieczne jest właściwie ani jego poddanie się magii, ani zgoda na retorykę. System praw nie musi być zbieżny z rzeczywistością, jego celem jest, by *przygniatał*, dowodząc tym sposobem konieczności posłuszeństwa.

Te wymogi spełnia wydany przez władze w lipcu 1983 stos dokumentów.

Brzemie

Nie są to ustawy liberalne. Ściśle mówiąc, to zamordyzm najczystszej wody. Ale oto czytając ustawy nie sposób oprzeć się niejasnemu przekonaniu, że zamordyzm ten nosi wyraźne piętno porażki, własnego niespełnienia. Całości gąszczu prawnego nie można obecnie objąć rozumem. W kwestiach szczególnych zainteresowane środowiska rychło odnajdą granice obec-

nie zakreślonych im ram wolności oraz wytworzą sposoby ich rozszerzenia. I chyba tę jedną uwagę natury ogólnej da się sformułować — że jakkolwiek nie lubimy tych ustaw, paradoksalnie stanowią one mogą rodzaj oparcia, punktu wyjścia — do poszerzenia sfer wolności, tym bardziej, że nowe prawa czynią bardziej estetyczne wrażenie od praw podanych na początku wojny. Może się to odbywać dwiema klasycznymi już w Polsce metodami: rozszerzania wolności poprzez adaptację istniejącego prawa (np. w sprawach paszportowych czy autonomii szkół wyższych) — albo działania pozaprawnego poprzez niezależne struktury i inicjatywy (tak w całej problematyce przedsiębiorstw „o szczególnym znaczeniu dla gospodarki narodowej”), czy wreszcie w wyniku łączenia obu tych sposobów, co będzie miało miejsce np. w przypadku ustawy o cenzurze.

Rozdział ustawy o *szczególnej regulacji dotyczący przedsiębiorstw z punktu widzenia pracownika zakładu* jest w zasadzie bezapelacyjnym wezwaniem do braku odpowiedzialności, zwłaszcza dla paru milionów tych, którzy w systemie półniewolniczym pracują w „zakładach o szczególnym znaczeniu dla gospodarki narodowej”. Zakres możliwości czynnej, a jeszcze nie łamiącej prawa postawy jest jednak dość rozległy w początkowym okresie obowiązywania ustawy. Można próbować bronić praw robotnika oraz egzekwować sens procesu produkcyjnego w samorządach po to także, by tworzyć atmosferę solidarnych i świadomych wystąpień — aż po granicę niemożliwości, kiedy to samorząd powinien się z hukiem rozwiązać. W dalszym ciągu istnieje podstawa prawna walki o pluralizm związkowy. Za odmowę przystąpienia do wronich związków jeszcze nie strzelają, a domagać się precyzyjnego wykonania uprawnień Rady Państwa w przedmiocie ZZ — można na wszystkich szczeblach, od indywidualnych wystąpień np. w przypadku konfliktu BHP, po uchwały samorządu. Ten ostatni nie może w rzeczywistości pełnić swoich funkcji podopory gospodarki bez towarzystwa związku zawodowego, a co to za towarzystwo, wronie związki.

Bardzo jednak marna szansa w ramach oficjalnych układów nie daje wielkiego wyboru. Odnaleźć się można w ramach niezależnych struktur zakładowych.

Odnosi się wrażenie, że prawodawca pastwił się szczególnie nad *autonomią szkół wyższych*. I niewykluczone, że właśnie na tym polu odniesie godną swej zawziętości porażkę. Ustawa o szczególnej regulacji prawnej nie atomizuje szkoły, ale określa szeroki zakres drastycznych działań represyjnych. Minister czy premier mogą wszystkich, kogo trzeba, zawiesić, pozbawić, wyrugować — wydając tym samym szkole wojnę. Ale zakres prac samorządowych był w szkołach wyższych tak rozległy, krzepnięcie środowiska tak zaawansowane, że dopóki nie nastąpi otwarta wojna, zarówno tryb konsultowania jak i sposób podejmowania decyzji przez ciała kolegialne i władze jednoosobowe dają szansę godnego pełnienia swych funkcji przez uczelnie — zwiększa-

jąc w ten sposób zwartość środowiska w przewidywaniu pierwszych uderzeń.

Przychylnie przyjęty został częściowy powrót do starej *ustawy paszportowej*. Również i dlatego, że daje on podstawy do sądów natury ogólnej — że oto istnieje sytuacja, w której komuniści skłonni są rozmawiać o interesach. Indywidualne wyjazdy na Zachód to poważne źródło dewiz na rynku wewnętrznym, z czego korzysta i obywatel i reżim. Wprawdzie na krótką metę, ale czy warto rozwijać perspektywę poza rok 1984?

Złowrogo pobrzmiewa retoryka *ustawy o amnestii*. Motywem łaski wypuszcza się z więzień ludzi, których zamknięto za to, że wypełniali swoje obowiązki moralne i społeczne. Stosując prawo zemsty, pozostawia się za kratami najwybitniejszych, w charakterze zakładników. Sens całej operacji nie tkwi w tym, że polityczni wyszli z więzienia w wyniku amnestii. Oni przebywali w zamknięciu w dużym stopniu po to właśnie, by mogła powstać ustawa amnestyjna.

Ustawa o cenzurze stanowi ciekawy dokument semiotyki komunizmu okresu nagiej siły. Słowa są tu precyzyjniejsze, intencje niezawołowane. Nie będziemy karani za zaśmianie Starówki, posiedzimy za wywieszanie afiszów o niedozwolonej treści. Pięć lat otrzymamy za ujawnianie światu prawdy o systemie, trzy lata jeśli zlokalizujemy informacje do kręgu pewnej liczby krajan, gotowych do zamieszek. Jak się zdaje, będzie to jedna z szybciej ignorowanych ustaw. Niezależni twórcy jakby jej w ogóle nie zauważyli, coraz częściej publikują pod własnym nazwiskiem. Czy zbliża się nawrót epoki późnego Gierka, spotęgowanej rozmiarami? Zależy to właśnie od liczebności i zasięgu inicjatyw określanych jako publiczne głoszenie prawdy. Jak na razie nic nie wskazuje na to, by hamujący wpływ miała tu retoryka ustawy.

Znaczenie nowych ustaw da się z grubsza zawrzeć we wniosku, jaki się nasuwa z lektury zmian w konstytucji PRL. Sformułowano tam pozory unormowania sytuacji społeczno-politycznej w postaci tzw. zniesienia stanu wojennego oraz nadano najwyższą retoryczną sankcję pustej strukturze PRON. Z zapisu tych zmian wywieść można formułę realnej postawy wobec bluffu. PRON jest nadal bojkotowany przez społeczeństwo, a w przedmiocie zniesienia stanu wojennego, jak słusznie zauważył publicysta krajowy, nie Jaruzelski wydał wojnę Polakom i nie on ją zakończy. Wojnę tę wydano w roku 1944, a zakończy ją — naród.

Kolejne kroki w tym kierunku będzie on czynił w obliczu aktów politycznych, jakimi są ustawy — przystosowując je do własnych potrzeb, lub ignorując je.

Zauważmy, że w świetle litery nowych ustaw, tylko przez pierwszy miesiąc ich działania i tylko w Gdańsku należałoby zamknąć z grubsza parę tysięcy osób.

A przez ostatnie lata w całej Polsce ze trzydzieści parę milionów.

Społeczne postanie Kościoła

Jesienią 1982 w pewnej wsi podhalańskiej odbyło się kolejne zebranie górali, przedstawicieli ruchu struktur parafialnych. Przebieg zebrania nagrano na taśmę i zaprezentowano w krakowskim środowisku inteligencji katolickiej oraz w Kurii. Taśma robiła na ogół duże wrażenie. Ton wypowiedzi da się przedstawić głosem góralki ze Stasikówki, która powiedziała mniej więcej tak: Kościół wznosi budowle z kamienia, ale są to świątynie bez ducha. Jeśli Kościół nie zwróci się w kierunku narodu, to naród może się odeń odwrócić.

Radykalizm cytatu razi jednostronnością, jeśli nie uzupełnić go dalszym kontekstem, który głosił pełną gotowość „narodu” do uczestnictwa w życiu Kościoła, zaufanie i wiarę, jakich ostoją Kościół w Polsce pozostaje dla udręczonego społeczeństwa. Uwypukla on jednak problem odbioru kondycji społecznej Kościoła w chwili obecnej. Wiele zjawisk prowadzi do przekonania, że znalazł się on na zakręcie.

Posłanie społeczne Kościoła wpisane jest w Ewangelię i tradycję chrześcijaństwa. W ostatnich latach notowaliśmy napawające nadzieją doświadczenie, jakim był krakowski synod biskupi, przeprowadzony pod kierownictwem kardynała Wojtyły w latach 1970-1978. Wyniki synodu ujęto w trzymtomową publikację, w której cały trzeci tom poświęcony jest obowiązkom społecznym Kościoła. Przy Kurii krakowskiej utworzono zespoły synodalne, mające na celu realizację zaleceń synodu.

W cztery lata po zakończeniu synodu jego publikacje nie są na ogół znane proboszczom, zespoły synodalne istnieją wyłącznie na papierze. Proboszczowie niektórych parafii traktowali nieufnie, bądź nawet niechętnie postsynodalne inicjatywy parafian, które pojawiać się zaczęły w lecie 1982, a wybór tekstów III tomu wspomnianych dokumentów synodalnych, który prezentowano im na dowód „prawomyślności” poczynić, budził niekiedy podejrzenia o „bibułowy” rodowód.

Obawy proboszczów szły w dwojakim kierunku. Z jednej strony nieufność budził jawnie „solidarnościowy” skład grup inicjatywnych, co rodziło domniemanie o próbie planowego upolitycznienia religijnej posługi parafii — z drugiej zaś źródłem sceptycyzmu było wstępne pojmowanie ruchu jako próby reaktywacji rad parafialnych w ich funkcji strażnika finansów parafii, co w warunkach państwa totalitarnego nie byłoby koncepcją najtrafniejszą.

Sam kardynał Macharski z początkiem roku 1983 okazał ostrożne poparcie idei struktur parafialnych, podkreślając jednak niebezpieczeństwo, jakie niesie on ze sobą. Każda struktura podatna być może na infiltrację i zawiera w sobie piętno formalnego automatyzmu. Misja Kościoła spełnia się w odniesieniu do

pojedynczej osoby ludzkiej, sferą jego obecności winien być duch raczej niż instytucja.

Opisany powyżej sceptycyzm hierarchii uzmysławia część trudności, z jakimi boryka się ruch struktur parafialnych, trudności oczywiście drugorzędnych w stosunku do inwigilacji władz, ale tym niemniej mających konkretny wpływ hamujący ich rozwój. Inicjatywa zaczyna się na ogół w kręgach parafian, ale po krótkim czasie potrzebne jest bardziej czynne poparcie proboszczów. Tymczasem księża, przeciążeni pracą, nieprzyzwyczajeni do układów partnerskich z wiernymi, obawiający się politycznych implikacji faktu grupowania się wiernych, oczekujący bezskutecznie na zachętę ze strony Kurii — często pozostają bierni i inicjatywa po paru zebraniach niekiedy zamiera.

Kuria zaś, zautomatyzowana w swoich funkcjach i hierarchicznych układach paternalistycznego Kościoła polskiego, mało przystępna „nowinkom”, skłonna ograniczyć funkcje struktur do zakresu akcji charytatywnych — pozostaje jak dotąd kluczowym poziomem odwołań, nadziei i oczekiwań ogromnego obszaru potencjalnych inicjatyw społecznych.

Rozwój i przystosowanie społecznego postania Kościoła do sytuacji lat osiemdziesiątych wymaga ogólnonarodowej refleksji. Tymczasem katolickie środki przekazu nie poddane władzy reżimu znajdują się w sytuacji wyjątkowo trudnej. Wiadomo, że cenzura nie puści żadnego znaczniejszego tekstu o tematyce społecznej w *TP*, *Znaku*, *Więzi* czy *W Drodze*. Bez trudności natomiast pomieścić można takie materiały w dyspozycyjnym wobec władzy *Ładzie* Zabłockiego.

Sprawa ma w ogóle o wiele szerszy zakres. Czas na ocenę krytyczną dzieła kardynała Wyszyńskiego, który pozostawił Kościół zwarty i potężny, okopany przeciw inwazji państwa totalitarnego, ale przy tym znieruchomiał w swojej wewnętrznej strukturze i ze swoim wszechogarniającym paternalizmem utrudniający czynny udział laikatu w kształtowaniu jego postaci. Paternalizm Kościoła jest naturalną pożywką dla infantylizmu wiernych i rodzi głębokie obustronne frustracje. Pozbawieni czynnego uczestnictwa w życiu Kościoła wierni oczekują od niego zbyt wiele i nie tam akurat, gdzie jego funkcje mogą na spełnienie nadziei pozwalać. Setki tysięcy dłoni ze znakiem V to objaw nadmiernych oczekiwań dotyczących politycznych wolności, których Kościół społeczeństwu polskiemu zapewnić przecież nie może. Posługa jego służy wzmocnieniu moralnemu, by o te wolności walczyć gdzie indziej. Natomiast kielkujące pole społecznych więzi w obrębie wspólnoty Kościoła jest mało jak dotąd wykorzystaną szansą wzbogacenia życia duchowego narodu, co w konsekwencji do owych wolności jedynie przybliżyć by mogło.

Dużą szansą owych społecznych więzi są właśnie struktury parafialne. Rozwijające się w Polsce południowej, głównie w Krakowie i na Podhalu, rozszerzają swój zasięg na inne dzielnice Polski. Zakres prowadzonych prac jest bardzo rozległy, lub przy aktualnym stanie zorganizowania lepiej powiedzieć — rozstrze-

lony. Eschatologia i formy liturgiczne, analiza Pisma św., refleksja religijna, śpiewy. Samokształcenie — historia, życie społeczne, problemy rodziny, dyskusje i wykłady. Działalność artystyczna — zespoły chóralskie i sztuka regionalna, recytacje i inscenizacje. Sprawy wspólnoty: inicjatywy gospodarcze, szkolenie rolnicze, porządkowanie otoczenia parafii. Akcje charytatywne, samopomoc w odniesieniu do ludzi starszych, rodzin wielodzietnych, rozdział paczek z Zachodu. Wreszcie kontakt i współpraca z innymi parafiami i środowiskami, udział w organizowaniu uroczystości, świąt, zjazdów i pielgrzymek.

Potrzeba tworzenia bardziej sformalizowanych więzi parafialnych nabrała dodatkowej rangi w związku z zachodnią inicjatywą pomocy finansowej na rzecz rolnictwa, w którym to przedmiocie Kościół czyni bardzo poważne wysiłki.



Polski wysiłek na rzecz wolności, to nie tylko oświadczenia liderów, to codzienna rzeczywistość społeczeństwa. Mimo znuzenia, odpływów nadziei, wahań i porażek nieustannie dowodzą oni podstawowej prawdy: Gułag zatrzymał się u granic kraju. Przegrał jako instytucja, poniósł klęskę jako model współżycia społecznego. Niezależne inicjatywy łączą dziś w codziennej pracy trudną do oceny, ale wielką liczbę ludzi. To lepszy etap wyjściowy niż szczupła baza społeczna korowskich inicjatorów późnych lat Gierka.

MATEUSZ

Sprawa KSS "KOR"

Stało się: amnestia nie objęła sprawy KPN, Komisji Krajowej SOLIDARNOŚCI i KSS „KOR”.

Oskarżenie członków KSS „KOR” idzie w kierunku czynienia przygotowań zmierzających do obalenia przemocą ustroju PRL (art. 128 kk). Istotnym elementem przestępstwa z tego artykułu jest przemoc — nie popełnia przestępstwa, kto zmierza do zmiany ustroju środkami pokojowymi.

Jeśli dojdzie do wniesienia aktu oskarżenia, to proces ten będzie figurował wśród szeregu sfingowanych procesów, które odbywały się na różnych etapach historii PRL i stanowią jedną z najciemniejszych kart tej historii. Uderzające jest, że propaganda oskarżeń zupełnie przypomina propagandę poprzedzającą

procesy WiN i WRN w latach 1945/1947, procesy przeciwko generałom i oficerom WP oraz przeciwko akowcom i działaczom Państwa Podziemnego z okresu okupacji — procesy, które odbywały się w latach terroru stalinowskiego, a nawet — procesy studenckie i literackie z lat 1965/1972. Wszystkie one odbywały się jakby według tego samego schematu, według powtarzającej się koncepcji; u podłoża tkwił zawsze spis imperialistyczny — czasem amerykański, czasem polskiego rządu w Londynie z okresu okupacji, czasem — syjonistów, jak w roku 1968.

Oskarżeni byli rzekomo uczestnikami kolejnych „spisków”. Używano w stosunku do nich różnych epitetów: „AK — zaplute karły reakcji”; „PPS — pacholki kapitalizmu”; uczestnicy ruchu studenckiego w 1968 roku — „syjoniści”; robotnicy, którzy brali udział w kolejnych zrywach w latach 1956, 1970 i 1976 — „warchoły”, „chuligani”, „elementy przestępcze”.

Fantazyjne akty oskarżenia przypisywały im czyny nigdy nie popełnione i zupełnie nie udowodnione, jednakże na wszystkich tych etapach w sądach wojskowych i powszechnych znajdowali się zawsze pod ręką dyspozycyjni sędziowie, którzy wydawali wyroki zgodne z dyrektywami, jakie otrzymywali od władz państwowych czy partyjnych.

Wymiar sprawiedliwości okrył się wówczas hańbą. Niepodobna zrobić bilansu poniesionych strat — wymagałoby to zbadań akt wszystkich sądów na terenie PRL. Nieznane są anonimowe ofiary — wiadomo o wykonaniu wyroków śmierci w stosunku do 17 oficerów w procesach o szpiegostwo, prowadzonych w Wojskowym Sądzie Najwyższym w latach 1951/1942 w Warszawie, o straceniu z wyroku gen. Fildorfa — „Nila”, szefa dywersji AK i organizatora zamachu na Kutscherę w 1943 roku; Kontryma — „Zmudzina”, pułkownika AK: Bronisława Chajęckiego, zastępcy prezydenta Starzyńskiego w obronie Warszawy we wrześniu 1939 roku; o śmierci w więzieniu w Rawiczu przewodniczącego CKW PPS i Rady Jedności Narodowej w czasie okupacji — Kazimierza Pużaka; o zamordowaniu w śledztwie prof. Grzybowskiego — działacza niepodległościowego, profesora UW.

Wznowione w 1957 roku procesy odsłoniły kulisy śledztwa i tajnych postępowań sądowych. Trzeba było potem wszystko odwoływać: uchylać wyroki, rehabilitować skazanych, a nawet — rozdawać order i stawiać pomniki.

Sprawy polityczne po 1956 roku nie miały już tego tragicznego wymiaru, jaki charakteryzował je w okresie stalinowskim, jednakże nosiły również to samo piętno procesów fabrykowanych dla doraźnych celów politycznych.

Takiemu doraźnemu celowi ma również służyć proces przeciwko korowcom. Jak widać — nauka poszła w las: w propagandzie antykorowskiej pojawiają się epitety z tej samej serii — „elementy antysocjalistyczne”, „ekstrema”, „agenci CIA”. Obdarcza się nimi oskarżonych korowców. Propaganda szczuje opinię przeciwko nim, produkując w radiu, telewizji i prasie sfałszowane wywiady i wyrwane z całości, zmontowane wypowiedzi. Na przykład we wrześniu 1982 roku — z okazji okupowania ambasad polskiej w Bernie — bezmyślnie, bez najmniejszej próby wyjaśnienia, oskarżono SOLIDARNOŚĆ i nagle w TV odezwał się głos Kuronia, wygłaszającego jakieś nic nie znaczące zdanie. Trzeba było dopiero, żeby szwajcarski minister sprawiedliwości — nie bez lekkiej ironii — oświadczył, że ani SOLIDARNOŚĆ, ani żadne czynniki opozycyjne nie miały z tą aferą nic wspólnego: dopiero wtedy propaganda ta przycichła, nie odwołano jednak poprzednich insynuacji.

Samo istnienie KOR — od jego powstania we wrześniu 1976 roku — uważane było przez władze za niedopuszczalne, ustrój totalitarny nie dopuszcza bowiem istnienia ugrupowań niezależnych, niekontrolowanych przez władze partyjne czy rządowe. Niedopuszczalna jest wszelka inicjatywa, powstała niezależnie od władz: społeczeństwo powinno być posłuszne i bezwolne, a wszelka działalność publiczna organizowana z góry przez władze i przez nie kontrolowana, jak Front Jedności Narodu, OKON czy PRON.

Od początku próbowano różnych sposobów represjonowania korowców, bardzo trudno jednak było przypisać im jakiekolwiek przestępstwo. W maju 1977 roku — po śmierci Stanisława Pyjasa — próbowano oskarżyć korowców o „rozpowszechnianie fałszywych wiadomości, mogących spowodować szkodę dla interesów PRL”, proces taki okazał się jednak wtedy niemożliwy, wywołałby bowiem zbyt wielkie oburzenie wśród robotników, którzy doznali pomocy ze strony KOR. Władze po prostu wykreśliły się, stwarzając możliwość umorzenia śledztwa w drodze amnestii dnia 21 lipca 1977 roku.

Jednakże jeszcze w tym samym 1977 roku wszczęto nowe śledztwo — bardzo dziwne — nie przedstawiono bowiem nikomu zarzutu, przeprowadzono natomiast kilkaset przeszukań, powołując się na sprawę o sygnaturze DS-115/77, do której w następnym roku dodano sprawę o sygnaturze DS-275/78. Zarzut nie został wtedy nikomu przedstawiony, podejrzani nie byli wymienieni.

Wielokrotnie przeszukiwano mieszkania prawie wszystkich członków i współpracowników KSS „KOR”; zabrano mnóstwo

książek i dokumentów oraz liczne maszyny do pisania. Powoływano się w postanowieniach na postępowanie karne o wyżej wymienionych sygnaturach.

W ten sposób śledztwo trwało przez blisko 4 lata — wbrew przepisom KPK, który przewiduje, że śledztwo powinno być ukończone w ciągu 3 miesięcy, a przedłużyć je może tylko prokurator wojewódzki na czas określony. Śledztwo trwające 4 lata jest w ramach praworządności nie do pomyślenia, jest natomiast wygodne dla władz policyjnych, gdyż daje możliwość wykonywania różnych czynności śledczych oraz uwięzienia podejrzanych w dowolnym czasie.

Toteż w ramach tego śledztwa w grudniu 1979 roku, w rocznicę masakry robotniczej na Wybrzeżu, prokuratura postanawia aresztować 7 członków KSS „KOR” (Borusewicz, Chojecki, Kęcik, Lityński, Macierewicz, Naimski, Wujec) i postawić im wreszcie jakiś zarzut. I rzeczywiście — zarzut ten jest dziwaczny, chodzi bowiem o „przynależność do związku mającego na celu przestępstwo” — a przestępstwem tym ma być... rozpowszechnianie „literatury bezdebitowej”. Do procesu nie doszło i areszt uchylono, gdyż widać władze zdały sobie sprawę z tego, że proces w tym przedmiocie zakrawałby na groteskę, bowiem „związek przestępczy” mający na celu rozpowszechnianie utworów Żeromskiego, Miłosza, Gombrowicza i innych pisarzy znanych i uznanych okryłby śmiesznością sąd.

Do zarzutów tych powrócono znowu w sierpniu 1980 roku, gdy 25 sierpnia aresztowano 8 członków KSS „KOR” (Blumszajn, Chojecki, Kęcik, Kuroń, Lityński, Michnik, Romaszewski, Wujec) — dodając Kuroniowi i Michnikowi zarzut o „łżenie i wyszydzanie ustroju i władz PRL”.

Robotnicy Wybrzeża Gdańskiego postawili jako jeden z warunków zawarcia ugody z rządem i przystąpienia do pracy uwolnienie wszystkich więźniów politycznych, co zostało uwidocznione w podpisanym 31 sierpnia 1980 roku Porozumieniu Gdańskim. Aresztowanych członków KSS „KOR”, jak i innych więźniów politycznych, zwolniono — ale śledztwa nie umorzono.

W listopadzie 1980 roku plan represji przeciwko KSS „KOR” został zdemaskowany, gdy tajne pismo okólne Prokuratury Generalnej z dnia 30 października 1980 roku dostało się w ręce SOLIDARNOŚCI Regionu Mazowsze.

W piśmie tym Prokuratura Generalna przyznaje, że nie jest w stanie wytoczyć obecnie działaczom demokratycznym procesu o przestępstwo polityczne, zaleca się więc zbieranie materiałów, które by podbudowały oskarżenie o czynienie przygotowań do

obalenia przemocą ustroju PRL, tymczasowo zaś zaleca się stosowanie wobec nich szykan i nękania. Tę metodę zalecało wówczas pismo okólne — dopóki nie uda się sfabrykować możliwego do rozpoznania aktu oskarżenia.

Po wprowadzeniu stanu wojennego śledztwo o sygnaturach DS-115/77 i DS-275/78 jakoś się rozplynęło i więcej o nim nie było mowy. Podejrzani zostali osadzeni w ośrodkach odosobnienia dla internowanych i pozostawali tam jako „osoby niebezpieczne dla porządku stanu wojennego”, którym jednak nie stawiano żadnych konkretnych zarzutów. (Art. 42 p. 1 Dekretu z dnia 12 grudnia 1981 roku mówi: „obywatele polscy mający ukończone 17 lat, w stosunku do których ze względu na dotychczasowe zachowanie się zachodzi uzasadnione podejrzenie, że pozostając na wolności nie będą przestrzegać porządku prawnego albo prowadzić będą działalność zagrażającą interesom bezpieczeństwa lub obronności państwa, mogą być internowani na czas obowiązywania stanu wojennego...”).

Z postanowienia Prokuratury Wojskowej o przeszukaniu mieszkania Anieli Steinsbergowej w dniu 6 maja 1982 roku dowiedzieć się można było, że w Prokuraturze Wojskowej toczy się śledztwo o sygnaturze C1/82 „przeciwko J. Kuroniowi i innym”. Zarzut nie był wymieniony, podejrzani nic na ten temat nie wiedzieli. Długo — jak widać — nie można się było zdecydować na postawienie im konkretnego zarzutu, bo dopiero w dziesiątym miesiącu stanu wojennego zdecydowano się przedstawić im zarzut z art. 128 kk i zmienić stan internowania na areszt.

4 września 1982 roku ukazał się komunikat PAP donoszący, że zostali oni wszyscy aresztowani „w ostatnich dniach” pod zarzutem popełnienia przestępstwa z art. 128 kk.

Aresztowanych przewieziono z Białołęki do Aresztu Śledczego przy ul. Rakowieckiej w Warszawie (Kuronia, Lityńskiego, Michnika i Wujca), zaś przeciwko nieobecny w kraju Chojekiemu i Lipskiemu wszczęto postępowanie zaoczne. W późniejszym czasie dołączono do sprawy Zbigniewa Romaszewskiego pod tym samym zarzutem.

W ten sposób zrealizowano dawne plany, które nie mogły przybrać formy konkretnych oskarżeń, gdyż w działalności KSS „KOR” po prostu nie można dopatrzeć się czynów przestępczych.

Działalność KOR od chwili jego powstania była jawna. Wszelkie dokumenty były publikowane i doskonale znane władzom bezpieczeństwa. KSS „KOR” trzymał się konsekwentnie przez cały czas swego istnienia zasady potępiania przemocy jako metody walki politycznej. W artykułach i wywiadach Kuronia i Michnika widoczna była stale obawa przed jakimś niekontrolowa-

wanym wybuchem, który mógłby prowadzić do konfrontacji z władzą i do czynów gwałtownych.

O postawie Kuronia świadczy jego działalność w ciągu 16 miesięcy istnienia SOLIDARNOSCI, w której pełnił rolę doradcy. W latach 1980/1981 ingeruje on w rozmaitych sytuacjach strajkowych, wpływając na robotników, aby zaprzestali samorzutnych strajków. Kiedy w listopadzie 1980 roku stanęły Zakłady Mechaniczne „Ursus” i Huta Warszawa, to właśnie po Kuronia posłano, ażeby doprowadził do zaprzestania strajku w Hucie Warszawa. Zbudzono go o świcie, po nieprzespanej nocy, spędzonej na burzliwym zebraniu, twierdząc, że tylko on jeden może doprowadzić do uspokojenia. I rzeczywiście — po jego przemówieniu robotnicy Huty powrócili do pracy. Podobnie sytuacja wyglądała w czasie strajku drukarzy jesienią 1981 roku w Olsztynie.

Przypomnieć także należy obronę zagrożonego życia funkcjonariuszy Komisariatu Kolejowego MO w Otwocku, zaatakowanych w maju 1981 roku przez rozwścieczony tłum, gdy Michnik i Romaszewski swoim wystąpieniem przyczynili się walcnie do zaprowadzenia spokoju, za co otrzymali podziękowanie oficera MO.

Przykłady te świadczą o postawie Kuronia, Michnika i Romaszewskiego — a podobnych faktów było więcej — tak w stosunku do nich, jak i pozostałych oskarżonych.

Jan Lityński dał się poznać głównie jako redaktor pisma *Robotnik* — pisma kontynuującego dobre tradycje prasy robotniczej. W całym komplecie numerów *Robotnika* nie można znaleźć jednego zdania, które nawoływałoby do przemocy lub ją pochwalało.

Henryk Wujec był działaczem oświatowym, organizującym kursy i wykłady Wszechnicy Robotniczej.

Wreszcie Jan Józef Lipski — pisarz, intelektualista. Jego przekonania znajdują wyraz w dziełach, był bowiem zawsze obrońcą wszelkich wartości humanistycznych. Jego esej pt. „Dwie ojczyzny”, w którym zwalcza szowinizm i ksenofobię, w szczególności antyrosyjskość, jest bardziej przekonujący niż wszelka oficjalna propaganda. Morale — tak widoczne w jego życiorysie — nie dopuszcza podejrzenia o pochwalanie przemocy.

Dziełem Romaszewskiego w KOR było Biuro Interwencyjne, które świadczyło pomoc już nie tylko robotnikom z Radomia i Ursusa, ale wszystkim zgłaszającym się represjonowanym i pokrzywdzonym. Świadczeniu tej społecznej pomocy poświęcał Romaszewski cały wolny czas poza pracą naukową.

W tym dziwnym postępowaniu karnym przeciwko członkom

KSS „KOR” nie tylko brak dowodów winy, ale istnieje dowód niewinności w postaci dokumentu, podpisanego przez kilkaset osób, między którymi znajdują się wszyscy „podejrzani”, objęci śledztwem o podjęcie przygotowań do obalenia przemocą ustroju PRL. Dokumentem tym jest „Deklaracja Założycielska Klubów Rzeczypospolitej Samorządnej”.

Jest to program, obejmujący całokształt przygotowań do przekształcenia PRL w państwo o ustroju demokratycznym. Podkreśla się w nim ze szczególną mocą, że środki działania, prowadzące do tego celu, mają być godziwe i oparte na etyce chrześcijańskiej, co już samo przez się wyłącza stosowanie przemocy.

„Deklaracja” nawiązuje do tradycji PPS, WRN i SL jako do rodowodu Klubów — a więc do tradycji lewicowych, socjalistycznych i ludowych.

Program ten nie dopuszcza przygotowań do jakiegokolwiek przemocy — stanowi dowód na to, że oskarżenie członków KSS „KOR” o przygotowanie do konfrontacji jest absurdem.

Program świadczy także o absurdalności epitetu „antysocjalistyczny”: nikomu z KSS „KOR” nie marzyło się przywrócenie w Polsce kapitalizmu, nikomu nie przychodziło do głowy, że można przekazać kopalnie, stocznie i banki prywatnym przedsiębiorstwom lub koncernom.

Ale nie o to w tym procesie chodzi — korowcy są więzieni jako zakładnicy we własnym kraju.

Wobec trudności skomponowania jako tako poważnego aktu oskarżenia Ustawa Amnestyjna zawiera furtkę w postaci możliwości umorzenia procesu, jeśli szczególne okoliczności będą tego wymagały. A te „szczególne okoliczności” to — według wypowiedzi rządców — zamarcie wszelkiego ruchu oporu, okazanie przez społeczeństwo pełnej uległości: wówczas zakładnicy będą mogli odzyskać wolność.

Wszystko to razem świadczy o tym, że nie idzie w tym procesie o sądzenie przestępców, lecz o zakładników. Świadczy też o tym propozycja wyjazdu na Zachód, przedłożona przez władze bezpieczeństwa Kuroniowi i Michnikowi.

Nie jest to zatem sprawa o popełnienie przestępstwa, które należy ukarać w myśl przepisów prawa.

Aniela STEINSBERGOWA

Świadectwa w sprawie Adama Michnika

Adamowi Michnikowi udało się przemycić z więzienia krótkie listy do sekretarza włoskiej partii socjalistycznej (PSI) i obecnego premiera rządu włoskiego, Bettino Craxi oraz do Zbigniewa Brzezińskiego:

Szanowny Panie Premierze Bettino Craxi,

Piszę do Pana z więzienia, gdzie oczekuję na proces. Oskarżony jestem o dążenie do obalenia siłą ustroju, osłabienia mocy obronnej i inne analogiczne zbrodnie. Wśród obfitego materiału dowodowego znajduje się również zeznanie jakiegoś świadka, który zapewnia, że mój pobyt we Włoszech finansowany był przez jakieś — bliżej mi nieznane — ośrodki amerykańskiego wywiadu. Prawda jest wszakże taka, że wiosną 1977 roku przebywałem w Rzymie — towarzysząc prof. Leszkowi Kołakowskiemu — na zaproszenie Partii Socjalistycznej Włoch. Miałem wtedy okazję rozmawiać z Panem osobiście. Informację o naszych spotkaniach zamieścił dziennik PSI *Avanti*. Proszę, by dzisiaj potwierdził Pan publicznie prawdziwość tych faktów.

Adam MICHNIK

List Michnika ukazał się organie PSI *Avanti* z 1 października 1983 wraz z treścią odpowiedzi premiera, skierowanej do ambasadora PRL w Rzymie.

Premier Craxi przekazał Kulturze fotokopię swego listu z 30 września 1983 do ambasadora PRL w Rzymie, Emila Wojtaszka, i zezwolił na jego ogłoszenie w przekładzie polskim:

„Łaskawy Ambasadorze,

Piszę do Pana, aby prosić o zwrócenie uwagi władz Pana Kraju na moje oświadczenie dotyczące wizyty we Włoszech wiosną 1977 roku obywatela polskiego Adama Michnika, który przebywa obecnie w więzieniu w Warszawie. Podejmuję ten krok, gdyż dowiedziałem się o zamiarze przypisania podróży Michnika do Włoch celu odmiennego od rzeczywistego, celu pozostającego w absolutnej sprzeczności z prawdą faktów. Muszę Panu w samej rzeczy donieść, że Michnik przyjechał w tym okresie do Włoch na zaproszenie Włoskiej Partii Socjalistycznej, której był gościem przez cały czas swego pobytu, aby wraz z innymi intelektualistami z różnych krajów europejskich uczestniczyć w sympozjone naukowym. Miał kontakty z przywódcami Włoskiej Partii Socjalistycznej i z przedstawicielami prasy, szczególnie

z redaktorami miesięcznika *Mondo Operaio*. Ja sam miałem sposobność odbyć z nim rozmowę. Pragnę więc potwierdzić formalnie ścisłość faktów przytoczonych przez Adama Michnika i poświadczyć prawdziwość podanej przez niego wersji, która znajduje się już w posiadaniu władz polskich, jego podróży do Włoch. Ten bolesny epizod zmusza mnie do otwartego wyrażenia uczuć silnego niepokoju i reakcji włoskiej opinii publicznej w obliczu represji, jakim w Polsce poddawani są przedstawiciele ruchu dysydenckiego, znani i cenieni we Włoszech. Z najlepszymi pozdrowieniami.

Bettino CRAXI

List do Zbigniewa Brzezińskiego i jego odpowiedź:

Warszawa, 1983 r.

Szanowny Pan Profesor Zbigniew Brzeziński,

Piszę do Pana z więzienia, gdzie oczekuję na proces. Oskarżony jestem, wspólnie z przyjaciółmi o dążenie do obalenia prze-mocą ustroju, osłabienie mocy obronnej państwa i inne równie interesujące przewinienia. Do akt sprawy załączony został również artykuł z hiszpańskiego tygodnika *Tiempo* (Nr 39 z dnia 7-14.02.1983 r.). Artykuł ten omawia przypisywany Panu dokument na temat amerykańskiego planu destabilizacji sytuacji politycznej w Polsce. Służyć to ma zapewne zbudowaniu tezy o agenturalnym charakterze KOR-u i jego powiązaniach z ośrodkami wywiadowczymi Stanów Zjednoczonych. Zwracam się do Pana, jednego z architektów amerykańskiej polityki praw człowieka, o publiczne stwierdzenie, że KOR — instytucja społeczna broniąca prześladowanych robotników i wspierająca niezależne inicjatywy obywatelskie — nie pozostawał w żadnym związku z amerykańskimi ośrodkami wywiadowczymi. Proszę, by zechciał Pan dać publicznie świadectwo prawdzie.

Adam MICHNIK

Doszło do mojej wiadomości, iż do aktu oskarżenia przeciwko działaczom KOR-u dołączony został artykuł hiszpańskiego tygodnika *Tiempo* z marca br. Przytacza on tekst rzekomego memorandum ode mnie do prezydenta Cartera rozwijającego jakoby strategię penetracji Europy Wschodniej.

W związku z tym pragnę stwierdzić kategorycznie: 1) że to memorandum jest całkowitym fałszerstwem, przygotowanym przez sowieckie KGB; 2) że to fałszerstwo zostało już dawno temu potępione publicznie przez niezależną prasę światową; 3) że nie było żadnych powiązań między KOR-em a rządem USA; 4) że dla Polski jest poniżającym a dla władz PRL-u ośmieszającym faktem, że akt oskarżenia oparty jest na fałszerstwach, opracowanych przez mocodawców PRL-u w Moskwie.

Zbigniew BRZEZIŃSKI

Sprawy i troski

Jeszcze o Bibliotece Polskiej w Londynie

W numerze 7/8 *Kultury* ukazał się obszerny artykuł o Bibliotece Polskiej (POSK) w Londynie pióra p. Hanny Świdorskiej, której wiele spraw bibliotecznych nie jest obcych. Zasiadała w Komisji Bibliotecznej i w tym okresie walnie przyczyniła się do opracowania profilu zbiorów bibliotecznych. Niestety pomimo prób zrezygnowała z członkostwa Komisji ze względów osobistych.

Niektóre fragmenty jej artykułu, przynajmniej te w których stawia znaki zapytania lub wzbudza wątpliwości, wymagają odpowiedzi. Nie zamierzam polemizować ze szczegółami, z których sporo jest nieaktualnych (jak np. na str. 115: „...a w nadchodzących latach będzie się wykańczał teatr i Biblioteka znów będzie na szarym końcu”) i nie mających potwierdzenia w faktach — lub wytykaniem braków, które nieraz są słuszne, ale bez przypisywanych intencji. Natomiast chciałbym odpowiedzieć na ogólny tenor artykułu, zakładając, że niejednokrotnie ostrzejsze sformułowania autorki płyną z jej prawdziwej troski o jak najlepsze warunki dla działalności Biblioteki. I dlatego wydaje mi się, że pomimo pewnych różnic w spojrzeniu i ocenie, jesteśmy na tym samym torze zabiegów i trosk o los Biblioteki Polskiej (POSK) w Londynie.



Statut biblioteczny, który ustala między innymi profil zbiorów, był potrzebny dla prawidłowej selekcji zarówno w zakresie zakupów książek, kwalifikowania darów na półki biblioteczne jak i gospodarki ilością miejsca, jakim obecnie Biblioteka dysponuje. Zmierzaaliśmy do tego celowo, by Biblioteka nie stała się składem książek, którego funkcjonalność mogłaby stanąć pod znakiem zapytania. W tych trudnych warunkach Komisja Bi-

biłoteczna, w pracach której brała wówczas udział p. H. Świdzka, uważała opracowanie statutu za rzecz pilną.



Całkowita powierzchnia Biblioteki w siedzibie przy 9 Princes Gardens wynosiła 2.391 stóp kwadratowych. Na tej powierzchni jeden pokój był całkowicie oddany dla cennego i prestiżowego depozytu Fundacji Lanckorońskich.

Obecnie powierzchnia Biblioteki wynosi na dwóch kondygnacjach 6.799 stóp kwadratowych, czyli jest prawie trzykrotnie większa. Na tej powierzchni są wydzielone pomieszczenia: dla Kierownika Biblioteki, pokój dla sekretariatu (który doskonale może być używany na pokój śniadaniowy dla personelu, jak pragnie tego p. H. Świdzka), sala dla Międzynarodowego Towarzystwa Conradystów, która w połowie zaspokaja potrzeby Biblioteki. To zwiększenie powierzchni (a nie zredukowanie, jak pisał p. H. Świdzka) pozwoliło na zainstalowanie nowo zakupionych półek o łącznej długości 2.798 bieżących metrów (prawie trzy kilometry) — oczywiście dzięki ofiarności społeczeństwa, które hojnie odpowiedziało na apel zbiórkowy na ten konkretny cel.

Czy lokal może być powiększony? — Oczywiście tak. To jest zaplanowane. Ale z uwagi na trudną sytuację finansową POSK-u, wynikającą z zadłużenia bankowego (ale już nie grożąca katastrofą) sporą część powierzchni POSK-u oddano w dzierżawę na zasadach komercyjnych. Polityka finansowa władz poskowskich musi w pierwszym rzędzie zagwarantować byt instytucji, oczywiście łącznie z Biblioteką, która jest integralną częścią Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego. Spadek zadłużenia bankowego urealni możliwość zwolnienia tych powierzchni stosownie do potrzeb Biblioteki.

Warto tu jeszcze przypomnieć, żeby położyć kres nieistotnym obawom, że księgozbiór biblioteczny wraz z innymi zbiorami jest prawnie wyjęty z odpowiedzialności finansowej POSK-u w zakresie zadłużenia bankowego. Również rzeczą do sprawdzenia jest fakt, że w żadnym wypadku żadne ofiary nie zostały użyte na inne cele niż te, które zastrzegał sobie ofiarodawca. W równej mierze odnosiło się to i odnosi do Biblioteki jak i do Teatru.



Zakup książek nie jest dokonywany w skali bezwzględnych potrzeb. Dotyczy to również oprawy i konserwacji. Ale dotychczas była podobna sytuacja i fakt ten nie może być właśnie teraz powodem oskarżenia.

Nie wyczerpał się w ciągu ostatnich trzech lat kwot ofiarowanych na ten cel przez Fundację Lanckorońskich. Zatem są inne powody, dla których akcja ta nie może przebiegać błyskawicznie (z wielu względów, które bibliotekarzom są doskonale znane).

Księgarnia SPK i Orbis wspomagają Bibliotekę w tym zakresie przez zgłaszanie odpowiednich wydawnictw w języku polskim i obcych dla zakupu. Sprawa wykończenia Teatru w żadnym stopniu nie mogła zaważyć na finansach bibliotecznych. Na Teatr uzyskano dotację od władz miejskich w tej samej wysokości, ile społeczeństwo polskie zebrało specjalnie na fundusz teatralny.

„Credo” przewodniczącego Komisji Bibliotecznej, że „biblioteka i tylko biblioteka jest spokojną przystanią dla książki”. Książka dla biblioteki nie jest za droga. „Po prostu musi być w bibliotece” nie wymaga na końcu znaku zapytania. Na przeszkoni ostatnich dwóch lat każda książka zgłoszona do zakupu przez Kierownika Biblioteki została zakupiona.



Koszt lokalu bibliotecznego w żadnym wypadku nie obciąża Funduszu Bibliotecznego. Jest to obciążenie, które całkowicie ponosi POSK w skali około £ 45.000 rocznie w ramach gospodarki gmachem POSK-u. Żadna arytmetyka z opublikowanych cyfr, jeśli prawidłowo odczytuje się zapisy zestawień finansowych, nie może uzasadnić tej sugestii p. H. Świdzkiej. Sprawozdania finansowe są przyjmowane przez przysięgłych księgowych, których oko szczególnie wyczulone jest na gospodarkę finansową instytucji charytatywnych, a taką jest POSK. Sprawozdania te są dostępne do wglądu dla wszystkich członków POSK-u.

Przy okazji warto przypomnieć np., że do roku 1977 POSK zapłacił samych procentów £ 80.272 od pożyczki bankowej w wysokości £ 251.000, która została wydatkowana na budowę tej części gmachu, w której mieszczą się Biblioteka Polska i Centrala Bibliotek Ruchomych.



Gdy POSK przejął Bibliotekę Polską, personel biblioteczny był już niedopłacany. Nie jest to zjawisko dnia dzisiejszego. W tej sytuacji znajduje się więcej polskich instytucji społecznych i kulturalnych na emigracji, których podstawą gospodarczą stanowi ofiarności społeczeństwa. Bolejemy nad tym i staramy się w miarę możliwości sytuację poprawić. Ale wedle stawu grobla.

Jest natomiast wielkim nieporozumieniem, jeśli chcemy porównywać standard wynagrodzeń, zakupów, konserwacji, urządzeń itp. instytucji emigracyjnej, jaką jest Biblioteka Polska (POSK) w Londynie z zapleczem gospodarczym i standardem potrzeb i możliwości na przykład British Library lub Biblioteki Narodowej w Warszawie. Trzeba szukać rozwiązań naszych potrzeb na miarę naszych możliwości. Inaczej będziemy zawsze niezadowoleni.

Do świadczeń emerytalnych, przyjętych w systemie państwowym w Wielkiej Brytanii, personel biblioteczny jest włączony i

POSK płaci przewidziane prawem świadczenia za każdego pracownika.

Fundacja Lanckorońskich jest instytucją, która na zawsze zapisała się głęboko we wdzięczności Biblioteki Polskiej w Londynie, a co za tym idzie i Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego. Obdarzała stale pomocą Bibliotekę, a ostatnia hojna dotacja £30.000 umożliwiła na przestrzeni trzech lat zakup nowych książek, oprawę czasopism i książek oraz podwyższenie znacznie wynagrodzeń personelu bibliotecznego.

Oto najlepszy przykład dobrej woli służenia kulturze polskiej, jeśli jest naprawdę dobra wola. Zadłużenie POSK-u nie stanowiło żadnej przeszkody dla tej decyzji, podobnie jak uchybienia, które zawsze mogą się zdarzyć w tak skomplikowanym gospodarstwie jakim jest POSK.

Fundacja Lanckorońskich określiła ściśle cele, dla których przyznała hojny dar, a POSK ze swej strony wysyła okresowe sprawozdania z użytkowania tych sum. Czy w następnym roku Fundacja powróci do poprzedniej kwoty w skali rocznej — jest nam trudno odpowiedzieć. Pragniemy tego, ale decyzja nie do nas należy. Zdajemy sobie sprawę z wielkiego wachlarza świadczeń Fundacji Lanckorońskich na polskie cele kulturalne i ona tylko może ustalać skalę i wysokość oraz adres swoich świadczeń.

Pytanie, dlaczego cenny i prestiżowy depozyt Fundacji został wycofany z Biblioteki, powinno być skierowane nie pod adresem Biblioteki, a do właścicieli depozytu, którzy o jego losie decydują. Żałujemy tego bardzo, ale zdajemy sobie sprawę, że zakup dwóch wielkich posesji na Earls Court w Londynie dla siedziby Fundacji stworzył nowe możliwości lokalowe i dla depozytu. Plan taki musiał istnieć wcześniej i prawdopodobnie stanowił podstawę dla takiej decyzji.

Podobnie wygląda sprawa z przekazaniem księgozbioru stanowiącego własność p. Marii Danilewicz Zielińskiej oraz archiwum Tymona Terleckiego. Dowiedzieliśmy się o tych decyzjach z prasy, *post factum*, choć mieliśmy nadzieję, że znajdą się one na półkach bibliotecznych. I tutaj ostatecznie decyduje wyłącznie wola właściciela.

Archiwum *Wiadomości*. Jeszcze za życia śp. J. Sakowskiego POSK ofiarowywał obszerniejsze i tańsze pomieszczenia dla redakcji i administracji *Wiadomości*. Z niewyjaśnionych bliżej przyczyn oferta poskowa nie została przyjęta. Z tych samych powodów archiwum *Wiadomości* znalazło się poza Biblioteką. Myślę, że w tej sprawie p. Stefania Kossowska może dać bardziej wyczerpującą odpowiedź.

W 1979 roku, a więc przed czterema laty, Rada Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii rozwiązała Radę Biblioteczną, która została w swoim czasie powołana z inicjatywy Zjednoczenia.

Przez parę kadencji jej istnienia skład Rady był raczej przypadkowy, przy małej ilości osób rzeczywiście interesujących się problemami Biblioteki. Utrudniało to bardzo skuteczne i efektywne działanie Rady. Wielu członków Rady Bibliotecznej po prostu uważało fakt swego członkostwa za kulturalną nobilitację i ze względów snobistycznych zabiegało o wybór.

Władze POSK-u uważały, że na to miejsce musi być powołane jakieś ciało kolegialne, które przejęłoby różne agendy dawnej Rady. Pierwsza Komisja Biblioteczna została powołana do życia w pełnym porozumieniu ze Zjednoczeniem Polskim. Obecność w każdej Komisji trzech delegatów Zjednoczenia Polskiego jest wyrazem zaufania do Komisji ze strony zorganizowanego społeczeństwa polskiego.

Nie ma sytuacji idealnych, zwłaszcza gdy chodzi o zespoły ludzkie. W skład obecnej Komisji Bibliotecznej wchodzi: trzech przedstawicieli Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii, dwóch bibliotekarzy, dwóch księgarzy, jeden drukarz-wydawca, jeden numizmatyk i antykwariusz, jeden dziennikarz (specjalista od polonistów), jeden łącznik z Międzynarodowym Towarzystwem Conradystów i jedna osoba zaproszona *ad personam*.

Czy skład Komisji jest właściwy? Może mógłby być lepszy, ale najpierw kandydat musi wyrazić swą zgodę na udział w pracach Komisji, a nie zawsze jest to osiągalne. I tak z własnej woli odeszła z Komisji p. Hanna Świdarska, a p. Zbigniew Mieczkowski parokrotnie odpowiedział odmownie na zaproszenie.

„Czego w tych warunkach można życzyć Bibliotece na następne czterdziestolecie, co miałyby szanse realizacji?” — zapytuje na końcu p. H. Świdarska.

Próbuję odpowiedzieć. Więcej fachowej pomocy doświadczonych bibliotekarzy. Więcej ciepła w krytyce. Więcej praktycznych wskazań dla słuszych rozwiązań, a mniej retoryki i niewczesnych żalów. Mniej znaków zapytania, które nasuwają wątpliwości...

Tu zawahałem się. Nie, bez wątpliwości trudno się obejść, zwłaszcza gdy nie zna się całej maszyny działania i spłotu problemów na zapleczu każdego zbiorowego działania. Tak, wątpliwości należy wyjaśniać. Nie wiem, czy to mi się udało.

Ja też miałem wątpliwości, czy wszystko, co napisała p. H. Świdarska — zwłaszcza w świetle komentarzy, które do mnie dotarły — jest pożyteczne dla Biblioteki, a to niewątpliwie było jej intencją. I co się okazało? W rezultacie jej artykuł spowodował prawie natychmiastową szczęśliwą reakcję w postaci dwóch ofert z pomocą na fundusz wydawniczy Biblioteki, zwłaszcza jeśli chodzi o wydanie tomu IV „Bibliography of Books in

Polish or relating to Poland published outside Poland since September 1st 1939" — jak również wznowienie poprzednich, od dłuższego czasu wyczerpanych tomów. Jest to zapowiedziana olbrzymia pomoc, idąca w tysiące funtów. Gdy dary zmaterializują się, nie omieszkamy podziękować publicznie Dobrodziejom za tak natychmiastowy i pozytywny oddźwięk na artykuł p. H. Świderskiej, której już teraz dziękujemy za wywołanie tego wspianego echa jej dobrych intencji.



Zalecenie p. H. Świderskiej, aby POSK traktował Bibliotekę „jako coś wartościowego, a nie uprzykrzony balast” (str. 111) nawet w świetle wypowiedzi autorki nie znajduje uzasadnienia. W publikacjach poskowych, w świadczeniach materialnych trudno znaleźć potwierdzenie, że Biblioteka jest traktowana jako „uprzykrzony balast”. Naprawdę, chyba tylko nieporozumienie. Biblioteka i jej przyszłość jest największą troską POSK-u.

Mandat ten wykonuje POSK w imieniu tej części społeczeństwa, które swoją ofiarnością wykazuje pełne zrozumienie potrzeb na skalę Wielkiej Emigracji i pełne zaufanie dla władz POSK-u. Swoją mandat POSK wykonuje dla całej społeczności polskiej, nawet dla tej jej części, która nadal ma tylko słowa krytyki dla POSK-u i nie chce widzieć ogólnonarodowych korzyści z faktu istnienia i działalności Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego, zbudowanego w lwiej części wysiłkiem szarego bezimiennego emigranta politycznego.

Ryszard ZAKRZEWSKI

JACEK KACZMARSKI

Dwie kasety (z których każda trwa 70 minut), z nagraniami piosenek Jacka KACZMARSKIEGO w wykonaniu autora, wydane przez Stowarzyszenie „Nasza Wiosna”, są w sprzedaży podczas wszystkich spektakli organizowanych przez Stowarzyszenie.

Cena jednej kasety — F. 55,00.

Zamówienia prosimy kierować do:

„Nasza Wiosna”
56/58, rue St-Sabin, 75011 Paris

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Nikt nie wątpił, że zestrzelony przez sowieckiego pilota południowokoreański samolot zostanie szybko zapomniany. Okazuje się jednak, że proces zapominania wydał się temu i owemu na Zachodzie nie dość szybki. „Przedwcześnie było twierdzić, że wszystko jest stracone tylko dlatego, że zestrzelono samolot” — pisał eufemistycznie *Washington Post* z 1-2 października br. 4 października Pierre Elliot Trudeau przemawiając w parlamencie kanadyjskim wezwał kraje zachodnie do wznowienia dialogu ze Związkiem Sowieckim, ponieważ atak na samolot był „tragicznym wypadkiem”. Londyński *Economist* perswaduje Andropowowi: „Cóż Pana kosztuje powiedzieć 'przepraszam'?”. *New York Times* (artykuł Jamesa Restona z 6 października) kadzi Andropowowi: „Pan Andropow to nie marionetka. Stara się zmienić system sowiecki, zwiększyć wydajność rolnictwa i fabryk, kontrolować nieefektywność, bumelanctwo i pijaństwo”. Równocześnie strofuje się Reagana: „Nie należy patrzeć na ludzi sowieckich jak na krwawych morderców” (Trudeau); „Nie należy uważać, że było to zabójstwo z premedytacją” (*International Herald Tribune* z 7 października). Podobny ton dominuje w gazetach francuskich i niemieckich.

Wreszcie eksperci amerykańscy podjęli decyzję: samolot został zestrzelony przez pomyłkę, sowiecka naziemna służba radarowa i myśliwce były przekonane, że strzelają do amerykańskiego samolotu szpiegowskiego (*International Herald Tribune* z 8-9 października). Czyli zaszło nieporozumienie. Nic nie stoi na przeszkodzie wznowieniu przyjaźni z Moskwą.

Najbardziej szokujący w tym wszystkim jest fakt, że Moskwa nie przestaje z uporem i dumą twierdzić, iż doskonale wiedziała, że samolot był pasażerski, zestrzeliła go jednak, bo „naruszył święte granice ojczyzny” i zajmował się „działalnością szpiegowską”. Marszałek lotnictwa Kirsanow sporządził kolejną — być może już definitywną — wersję lotu Boeinga 747, nazywając go „dużą operacją zwiadowczą”, w której uczestniczył jeden sputnik,

dziesiątki samolotów, okrętów itd. Wynika z tego, kończy marszałek lotnictwa, że to Amerykanie zestrzelili samolot, bowiem to oni posłali go na śmierć (*Prawda* z 20 września).

Pełne obelg, cynizmu i patosu artykuły prasowe i wystąpienia przywódców (od czasów Trumana nie obrzucano takimi wyzkami amerykańskiego prezydenta) znalazły skoncentrowany wyraz w wierszu Jewgienija Niefiedowa, ogłoszonym w *Komsołmskiej Prawdzie* z 7 października. *Opus* ten nazywam wierszem, bo tak nazywa go gazeta, a także dlatego, że został wydrukowany w słupku; o autorze nigdy nie słyszałem — nazwisko jego nie figuruje nawet w suplemencie do „Krótkiej encyklopedii literatury”, do którego włączono wszystkich sowieckich wierszokletów ostatniego poboru. Wiersz (nazwijmy go tak) nosi tytuł „Cienie przeszłości”. „*To już jakby było...*” — zaczyna autor. Było mianowicie w czasach hitleryzmu, kiedy nazisci gnali dzieci na pola minowe. I oto się powtórzyło: „*Celem niskim opętani, w środkach nie przebieżeli! Nic to, że w fotelach ludzie, pilot swoje ma zadanie... Pasażerowie, śpijcie spokojnie. O świcie się nie przebudzicie. Kto do królestwa niebieskiego was posłał, rwie się do władztwa nad ziemią*”. Przysnać należy, że ostatni wiersz można interpretować różnie: kto mianowicie „posłał do królestwa niebieskiego” nieszczęśliwych pasażerów? Ten, „kto rwie się do władztwa nad ziemią”. A kto się rwie? Ale wątpliwości co do sensu tekstu może mieć tylko czytelnik uprzedzony. Dla autora jest jasne, że „jesteśmy silni”, „planeta ma i obrońców, i wiarę”. Ostatnia linijka wiersza wyjaśnia wszystko: „Sprawa pokoku jest dla nas święta jak granice kraju ojczystego”. Wniosek z tego jeden: w walce o pokój nikogo nie będziemy oszczędzać!

W ostatnich tygodniach toczyły się równolegle dwa procesy: z jednej strony narastała ustępliwość Zachodu (nie wpłynął na nią „incydent” z południowokoreańskim samolotem, a jeśli, to ją jedynie przyspieszył), a z drugiej strony nieustępliwość Moskwy, gdzie ton wystąpień skrybów gazetowych i przywódców stawał się coraz twardszy, coraz ostrzejszy, coraz bardziej grubiański. W szczególnie ostrej formie wyłożył zamiary sowieckie Andropow. W razie instalacji rakiet amerykańskich w Europie nie tylko groził sankcjami, ale i obelżywie wymyślał na „amerykańskich imperialistów”, „skrajne awanturnictwo USA” itd. Znaczenie tej deklaracji polega na tym, że zakomunikowano ją światu jako „oświadczenie generalnego sekretarza KC, przewodniczącego Prezydium Najwyższego Sowietu ZSSR J. W. Andropowa”. Cytując oświadczenie prasa sowiecka podkreśla, że wyraża ono pogląd „przywódcy sowieckiego”, jakby to był ostatni stopień przed kategorią „wodza”.

J. Andropow szybko chwycił w ręce cugle władzy. Nie ma w prasie sowieckiej artykułu, w którym imię jego nie byłoby wspomniane co najmniej trzy-cztery razy. Rada Ministrów powołuje się w komunikacie o planie pracy na najbliższe lata na decyzje zjazdu partii, plenów KC i „wskazówki J. W. Andropowa” (*Prawda* z 20 września). Wymownym świadectwem początku

nowej ery jest kolejne wydanie „Słownika politycznego”: wszystkie cytaty z Breżniewa zostały w nim zastąpione cytatami z Andropowa.

Nowe wydanie „Słownika politycznego” ważne jest i z innych powodów. „Krótki słownik polityczny” jest trąbką do boju dla gigantycznej armii działaczy frontu politycznego, głoszących Słowo, wyjaśniających strategię i taktykę partii. Słownik składa się z około tysiąca haseł, wskazujących, co i jak powinien myśleć człowiek sowiecki, kogo winien kochać a kogo nienawidzić, z kim się — dziś! — przyjaźnić, a z kim walczyć.

André Gide napisał po podróży do ZSSR, niemal pół wieku temu, że sowiecki obywatel dowiaduje się rano z *Prawdy*, co ma danego dnia myśleć. Francuski pisarz zrozumiał tylko część prawdy. Druga jej część polega na tym, że dowiedziawszy się, co ma myśleć, obywatel sowiecki winien zapomnieć, co z rozkazu *Prawdy* myślał dnia poprzedniego. Nowe wydanie „Słownika politycznego” wprowadza w tajniki zmian, jakie zaszły po dojściu Andropowa do władzy — ale tylko pod warunkiem, że porówna się je z poprzednim.

Andropowowski „Słownik” — trzecie z kolei wydanie — opracowany został przez L. Olikowa i W. Szyszłina. Pierwsze wydanie ukazało się w roku 1978 w nakładzie 300 tys. Pracowało nad nim 30 autorów. W pracach nad drugim wydaniem (1980) uczestniczyło 39 ideologów. Dla trzeciego wydania (nakład 500 tys.) wezwano do pomocy 90 specjalistów.

Podobnie jak poprzednie, andropowowski „Słownik” przedstawia świat jako pole walki: toczy się wojna aż do zwycięstwa, przeciwko nam — wrogowie, razem z nami — przyjaciele i sojusznicy. Wrogom poświęcono wiele haseł: „Walka ideologiczna”, „Walka klasowa”, „Wojna psychologiczna”, „Dysydenci” itd. Hasła te znajdowały się także w poprzednich wydaniach, obecne je tylko uzupełnia i zaostrza. Nowym tematem jest „Kontrpropaganda” — jeden z wynalazków Andropowa. W artykule pt. „Propaganda” wskazuje się na „istnienie dwóch przeciwstawnych typów propagandy”: propaganda burżuazyjna „służy interesom klasy rządzącej”, propaganda komunistyczna natomiast to „opracowany przez partię komunistyczne system działalności duchowej mającej na celu szerzenie idei marksistowsko-leninowskich...”. Nie wystarcza jednak propagandy, należy wprowadzić pojęcie i system kontrpropagandy, której główne zadanie polega na „codziennej propagandzie sukcesów i osiągnięć socjalizmu, jego przewagi nad kapitalizmem”. Artykuł dorzuca: „Środki masowej informacji, literatura i sztuka propagują wszelkimi dostępnymi im środkami sowiecki model życia”. Zainteresowany pojęciem „wszelkich dostępnych środków” czytelnik zwrócić się może do hasła „Dezinformacja” lub do nieobecnego w poprzednich wydaniach hasła „Antysowietyzm”.

„Antysowietyzm” to pojęcie nadzwyczaj pojemne, w którym mieszczą się wszyscy ci, którzy starają się „powstrzymać bieg rozwoju historycznego”, czyli nie zgadzają się z Andropowem,

k którzy np. „spekulują na rzekomych lub rzeczywistych trudnościach, na pewnych nie rozwiązanych problemach gospodarki ZSSR”. „Antysowietyzm” a także „antykomunizm” to pojęcia ogólne, synonimy wroga jako takiego. Konkretni wrogowie zmieniają się z wydania na wydanie. W ostatnim wydaniu np. Chiny jako wróg zniknęły. Zniknęło hasło „Maoizm”, zniknęły wzmianki o „rozbiłkackiej polityce kierownictwa chińskiego” w innych hasłach.

Naczelny wróg, główny sługa Szatana — jak lubi wyrażać się Chomejni — to, jak każdy rozumie, Stany Zjednoczone. Nie ma bodaj hasła, w którym nie wymyślano by amerykańskim imperialistom. Dorzucono nowe antyamerykańskie hasła, w starych wprowadzono „poprawki”. Drugi sługa Szatana — to syjonizm. Za drugiego można go jednak uznać tylko wtedy, jeśli za mierznik przyjmie się ilość poświęconych mu haseł. W rzeczywistości w ostatnich latach syjonizm stał się wrogiem numer jeden w tym sensie, że o ile ustanowienie normalnych stosunków ze Stanami Zjednoczonymi i powrót do „odprężenia” są nie tylko prawdopodobne, ale i zupełnie możliwe, o tyle normalne stosunki między sowieckim systemem a „syjonizmem” są wykluczone, bowiem nienawiść do „syjonizmu” nabrała charakteru rasowego. W poprzednich wydaniach „Krótkiego słownika politycznego” istniało hasło „Syjonizm”. W wydaniu andropowskim zastąpiło je hasło „Międzynarodowy syjonizm”, którego autor dowodzi, iż należy koniecznie walczyć z niebezpieczeństwem, zagrażającym całemu światu ze strony „systemu międzynarodowego syjonizmu”, u którego podstaw leży „jedna z centralnych doktryn judaizmu”. Nowe wydanie „Słownika politycznego” sankcjonuje zmianę „antysyjonizmu” w rasistowski antysemityzm. Ten nowy etap sowieckiego antysemityzmu zupełnie otwarcie przedstawiony został w książce L. A. Korniejewa pt. „Klasowy rdzeń syjonizmu” (Kijów, Wydawnictwo Literatury Politycznej Ukrainy, 1982), zapowiadającej walkę przeciw „żydostwu światowemu — przeciw *Judentum*”. Użycie niemieckiego słowa nie jest przypadkowe: L. Korniejew obficie czerpie z „Protokołów Mędrców Syjonu” autorstwa przedrewolucyjnych rosyjskich antysemitów i z T. Walichnowskiego, podpierając całość licznymi cytataми z Lenina.

Przyjaciołom „Słownik” poświęca znacznie mniej miejsca niż wrogom — być może dlatego, że nie ma ich wielu, a może dlatego, że owszem jest ich wielu, ale lepiej ich nie ujawniać. Co nieco można się o przyjaciółach dowiedzieć z artykułu „Światowy system socjalistyczny” (miło brzmi zwłaszcza informacja, że „dokonuje się stopniowe wyrównywanie poziomu rozwoju krajów socjalistycznych”, choć artykuł nie mówi, czy jest to równanie w dół, czy w górę). O przyjaciółach mowa jest też w artykule „Socjalistyczna integracja ekonomiczna” (w porównaniu z wydaniami poprzednimi uściślono terminy: w latach 1980-1990 prowadzona będzie „intensywna kooperacja przemysłowa i naukowo-techniczna krajów socjalistycznych”).

Najważniejsze, najlepiej charakteryzujące nowy reżym zmiany wprowadzono w hasłach dotyczących moralności. Jest ich w „Słowniku” spory wianuszek. Przede wszystkim samo hasło „moralność”, o której dowiadujemy się, że ma charakter klasowy. Artykuł ten, dowodzący, że „najwyższym szczeblem moralności ludzkości jest moralność komunistyczna” prowadzi nas ku następemu — „Moralność komunistyczna”. Także tu autorzy „Słownika” przeprowadzili nadzwyczaj udaną operację: zamienili mianowicie jeden cytat z Lenina na drugi. W poprzednich wydaniach czytaliśmy: „U podstaw moralności socjalistycznej leży walka o umocnienie i urzeczywistnienie komunizmu”. Brzmi to dobrze, ale dla nowej epoki okazało się nie dość jasne. Obecne wydanie „Słownika” cytuje zatem słynne słowa Lenina, stawiające kropkę nad i: „Z punktu widzenia moralności komunistycznej moralne jest tylko to, co sprzyja unicestwieniu starego świata, eksploatacji i nędzy, a umacnia nowy, socjalistyczny ustrój”.

Formułę bohatera Dostojewskiego „Jeśli nie ma Boga, wszystko jest dozwolone” Lenin strawestował następująco: „przy budowie komunizmu wszystko jest dozwolone”. Śmiech mówić o zabójstwie 269 pasażerów południowokoreańskiego samolotu, jeśli naruszona została granica. Nie można nawet twierdzić, że pasażerów tych zabito z taką łatwością dlatego, że byli cudzoziemcami. Niedawno dowiedzieliśmy się, że 60 km od Suchumi ukryto się w jakiejś pieczarze. Nadleciał helikopter, spuścił na wejście do pieczary beczkę z napalmem i podpalił ją wystrzałem. Wybuch unicestwił wszystkich ukrytych w pieczarze wrogów komunizmu. Prawu moralności komunistycznej stało się zadość.

Zmiany formułek zawsze idą w tym samym kierunku. W poprzednich wydaniach pod hasłem „Moralny kodeks budowniczego komunizmu” wymagano od budowniczych komunizmu w szczególności „oporu wobec nienawiści narodowej lub rasowej”; dziś miejsce jego zajął „opór wobec wrogów komunizmu”. Niedługo „moralność komunistyczna” kształtowała się „w toku wychowania komunistycznego”, dziś „wdrażają ją partia komunistyczna i państwo sowieckie”. Pod hasłem „Dyscyplina” kluczowym słowem ery Andropowa jest, na równi z dyscypliną „państwową, pracy, planową i partyjną” — dyscyplina „moralna”.

Naruszenie dyscypliny, w tym i „moralnej” (jak np. przejawy „humanizmu burżuazyjnego”) grozi poważnymi nieprzyjemnościami.

„Krótki słownik polityczny” wytycza główny kierunek wychowania człowieka sowieckiego — strach i nienawiść. Kultura sowiecka natychmiast podjęła rozkaz: zawsze gotowa! Gotowość kultury sowieckiej do wypełniania rozkazów partii nie jest niczym nowym. W 1984 roku minie pół wieku od utworzenia Związku Pisarzy Sowieckich, który na swym pierwszym zjeździe złożył „żelazną przysięgę”, że będzie kochał władzę sowiecką. Obecne dyrektywy też nie są niczym nowym: strach i nienawiść zawsze były chlebem powszednim sowieckich działaczy kul-

tury. W ostatnim roku kazano im tylko intensywniej wyrażać te uczucia.

W literaturze i filmie najwidoczniejsze miejsce zajął „genre polityczny” — powieść polityczna, kino polityczne, same — jak mówią w Moskwie — ofensywne gatunki sztuki. Sowiecki bohater literacki, niegdyś rzadko wyjeżdżający za granicę, teraz bez przerwy tłucze się po świecie. Jeździ z jednego kontynentu na drugi, demaskując wszechświatowy spisek CIA-syjonisto-nazistów. O ile dawniej pisanie powieści politycznych powierzano niewielkiej grupce autorów, o tyle teraz powieść polityczną może napisać każdy. Ze swobody tej skorzystał już Anatol Krym, płodząc — pod imponującym tytułem „Granica deszczu” — powieść o Radio „Swoboda”. Wśród licznych łajdaków, którzy zaludniają tę książkę, wśród uczestników wszechświatowego spisku działa garstka bohaterów pozytywnych, w ich liczbie kapitan Czechowicz. Za przykład prawdziwej wolności twórczej może również służyć książka Leonida Mlecina „Plan 'Walhalla'” (też ładny tytuł!) o „neohitlerowcach pod ochroną CIA”. W swoich peregrinacjach po świecie bohaterowie sowieccy coraz częściej zatrzymują się w Ameryce Łacińskiej, gdzie wspomagają walczyć o wolność narody. Nie ukrywają przy tym, że — jak się wyraził bohater powieści „Przyszły wiek” pióra przewodniczącego Związku pisarzy sowieckich G. Markowa — „odpowiedzialność za świat i za wszystko na świecie wzięli na siebie ludzie sowieccy”. Ciż sami ludzie sowieccy działają w filmach, przy czym o dziwo akcja wielu filmów znowu rozgrywa się w Ameryce Łacińskiej. Jeden z ostatnich filmów sowieckich nosi niezwykle wymowny tytuł: „Według praw czasu wojennego”.

Niewykluczone, że sowiecki minister kultury Demiczew uwierzył pisarzom i filmowcom sowieckim, że zaczęła się już otwarta wojna i dlatego wysłał do opery w Bolonii telegram, informujący, że ministerstwo kultury Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich „uważa za niecelowe wystawianie opery 'Tristan i Izolda'”. Sowiecki minister nie miał specjalnych zastrzeżeń do słynnej pary kochanków, o których istnieniu dowiedział się zapewne dopiero podpisując telegram. Zastrzeżenia miał do reżysera Jurija Lubimowa, który wystawił tę operę w Bolonii w nadziei, że we Włoszech uda mu się ująć oczom sowieckiego ministerstwa kultury. Jurij Andropow chętnie żartował, że „KGB ma długie ręce”. Demiczew uznał, że ręce zarządców sowieckiej kultury nie są krótsze. O ile wiem, opera bolońska nie podporządkowała się Demiczewowi, czym niewątpliwie go bardzo dotknęła.

Kultura sowiecka stoi przed ogromnymi i bardzo trudnymi zadaniami. Wynikają one z nowej, andropowowskiej interpretacji pojęcia „stopy życiowej”. Jeśli wrócimy znowu do „Krótkiego słownika politycznego” i otworzymy przedostatnie i ostatnie jego wydania na haśle „Socjalistyczny sposób życia”, odkryjemy, że w przedostatnim wydaniu partia przewidywała m.in. „podniesienie stopy życiowej narodu”, a w ostatnim wydaniu

zdania tego nie ma. Zamiast niego widnieje wskazówka, że „ludzie sowieccy umacniają przyjaźń ze wszystkimi narodami światowej wspólnoty socjalistycznej, okazują bratnią pomoc narodom krajów wyzwalających się, które wkroczyły na drogę orientacji socjalistycznej, popierają postępową walkę ludu pracującego krajów kapitalistycznych przeciw imperializmowi”.

Trzeba wybierać: albo podwyższa się stopę życiową, albo pomaga narodom świata w budowie socjalizmu. J. Andropow bez wahania wybrał to drugie. W związku z tym wymyślił nową formułę dla starego pojęcia. „Często używa się u nas formuły 'podwyższenie stopy życiowej'” — objaśnił generalny sekretarz w czerwcu 1983 roku. — „Traktuje się ją jednak (tj. formułę — A.K.) w sposób uproszczony, biorąc pod uwagę jedynie wzrost dochodów ludności i produkcję artykułów konsumpcyjnych. Jest to z gruntu fałszywe — oświadczył generalny sekretarz. — Główna rzecz to rozwój duchowy, wzrost kultury (oto pole do popisu dla ministra Demiczewa), w tym także „kultury rozumnej konsumpcji”.

J. Andropow nie ukrywa, że przystąpił do zasadniczej rewizji marksizmu. W swoim czasie Bertold Brecht określił zwięźle istotę marksizmu: „*Erst kommt das Fressen, dann kommt die Moral*”*. Jurij Andropow żąda, aby najpierw była moralność, a potem dopiero (być może) żarcie.

Adam KRUCZEK

10 października 1983

* Najpierw żarcie, potem moralność.

Kronika niemiecka

Nakładem najpoważniejszego wydawnictwa katolickiego kręgu języka niemieckiego Herder Verlag (Freiburg-Basel-Wien) ukazał się we wrześniu bież. roku pamiętnik Władysława Bartoszewskiego pt. *Herbst der Hoffnungen. Es lohnt sich anständig zu sein (Jesień nadziei. Oplaca się być porządnym)*. Pamiętnik dotyka całego szeregu kluczowych wydarzeń historycznych, których autor był świadkiem i uczestnikiem (m.in. obłężenie Warszawy w 1939 roku, Oświęcim, akcję pomocy Żydom w okupowanej Warszawie, Powstanie Warszawskie, powojenną wędrowkę po aresztach UB i więzieniach PRL, wreszcie obóz internowanych po grudniu 1981). Książka przedrukowywana jest w odcinkach przez popularny katolicki tygodnik ilustrowany *Weltbild*. Pamiętnik opatrzył posłowiem Reinhold Lehmann, były sekretarz generalny PAX Christi w RFN, brat biskupa Karla Lehmana. ■ Tadeusz Nowakowski opublikował na łamach *Frankfurter Allgemeine Zeitung* obszerną recenzję książki *Freie Tribüne (Rotbuch Verlag, Berlin 1983)*. Jest to pierwsza powieść Krystyna Skrzypczaka, Polaka, urodzonego na Górnym Śląsku. ■ Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toru-

niu wydał pracę Janusza Janiszewskiego pt. *System wyborczy RFN* (powie-
 łącz, str. 414, nakład 300 egzemplarzy). ■ Podczas tegorocznych Między-
 narodowych Spotkań Teatralnych w Warszawie gościł znakomity zespół
Schaubühne Petera Steina z Berlina Zachodniego. W gmachu *Teatru*
Wielkiego niemieccy aktorzy zaprezentowali dziewięciogodzinne widowisko
 Steina według *Oresteji* Ajschylosa. ■ Zachodniemiecka TV wyświetli-
 ła polsko-austriacki film pt. *Der Entsatz von Wien* (Na odsiecz Wiedni-
 u). W rolach głównych wystąpili — Jerzy Bińczycki i Anna Dymna; fa-
 bularyzowany dokument reżyserowali Lucyna Smolińska i Mieczysław Sroka.
 ■ Ok. 20 Polaków okleiło hasłami i znakami *Solidarności* dwa wagony
 pociągu pociągów, udającego się z Frankfurtu nad Menem do Warsza-
 wy. Brutalnie interweniująca policja zatrzymała 7 osób. Następnie wszyst-
 kich zwolniono. Prawdopodobnie cała akcja znajdzie swój epilog przed
 sądem. Według doniesień prasy niemieckiej pociąg z lekko zatartymi napi-
 sami dotarł do Polski. ■ Sprawnie kierowany przez Andrzeja Wirgę
Hilfskomitee Solidarność zorganizował z okazji III-ej rocznicy podpisania
Porozumienia Gdańskiego okazały punkt informacyjny w centrum Frank-
 furthu. Rozprowadzano ulotki, materiały informacyjne, plakaty, znaczki itp.
 Po raz pierwszy w akcję tę włączyli się b. internowani, mieszkający w Hesji.
 ■ Natomiast praktycznie biorąc rozpadło się *Biuro Koordynacyjno-Infor-*
macyjne NSZZ Solidarność w Bremie. Centrala Niemieckich Związków
Zawodowych (DCB) wymogła na *Biurze* opuszczenie zajmowanych pomiesz-
 czeń i wstrzymała pomoc finansową. W niejasno zredagowanym biuletynie
 rzekomo „zreorganizowanego” *Biura* w Bremie (kierownikiem ma być Ka-
 zimierz Kunikowski) czytamy m.in.: „Ze składu *Biura* wykluczono Hen-
 ryka Jagielskiego i Marka Mikołajczuka, którzy, jak kontrola finansowa
 wykazała, dopuścili się poważnych uchybień finansowych”... Budynek po
 dotychczasowym *Biurze* ma być przekazany polskiej grupie, próbującej za-
 łożyć klub będący przeciwwagą dla istniejącego w Bremie *Towarzystwa Nie-*
miecko-Polskiego (organizacja prokomunistyczna, na czele której stoi Man-
 fred von Scheven, b. oficer SS). Trudno w tej chwili powiedzieć coś więcej
 na temat powstającego klubu. Może stanie się on odpowiednikiem bremeń-
 skim *Polskiego Klubu Informacyjnego*, działającego w Hannowerze? ■
 Tegoroczną Nagrodę im. *Nurmiego* przyznano Polsce za osiągnięcia w róż-
 nych dziedzinach sportu. Wykonaną z brązu statuettę biegacza przyjął
 z rąk burmistrza Bremy Hansa Koschnicka Irena Kirszenstein-Szawińska.
 ■ W Łodzi rozpoczęto realizację filmu Jerzego Hoffmanna pt. *Musisz żyć*;
 film ten, kręcony w koprodukcji z wytwórnią zachodniobermberską, przed-
 stawia dzieje żydowskiego dziecka ocalałego od zagłady. W filmie wystę-
 pują aktorzy polscy i niemieccy. ■ Nakładem Federalnego Instytutu d/s
Badań Problemów Wschodnich i Stosunków Międzynarodowych w Kolonii
 ukazała się praca Wolfa Oschliesa pt. *Verlorene Generation. Polens Jugend*
im Kriegszustand 1981-1983 (Stracona generacja. Młodzież polska w okre-
 sie stanu wojennego 1981-1983). ■ Henryk Pytel, polski hokeista został
 zakupiony (tzw. transfer) przez klub hokejowy (EV) z Landshutu (Ba-
 waria) za 25 par butów i 30 par rękawic. Za przedłużenie kontraktu
 Andrzeja Słowakiewicza przysłano z RFN 20 par rękawic. Informacja za-
 czerpnięta z *Trybuny Ludu*. ■ Komitet Obrony *Solidarności (KOS)*
 w Berlinie Zachodnim ogłosił w miejscowym dzienniku *Die Tageszeitung*
 listę różnego rodzaju sprzętu i innych materiałów „poszukiwanych pilnie
 przez polskie podziemie”. ■ W Berlinie Zachodnim ukazały się trzy
 pierwsze numery polskiego miesięcznika kulturalno-politycznego *Archipelag*.
 Ambitnie wydawane pismo redagują: Włodzimierz Nechamkis, Jerzy Sta-
 churski, Andrzej Szulezyński i Andrzej Więckowski (redaktor naczelny).
 Współpracę z pismem podjął Witold Wirpsza. Adres redakcji: Andrzej
 Więckowski, Wilhelmsruher Damm 139, D-1000 Berlin 26. ■ Marian

Podkowiński na łamach miesięcznika *Nowe Książki*: „Nasza literatura
 niemcoznawcza wykazuje wyraźny przechył w stronę relacjonowania proble-
 mów zachodniemieckich. (...) A przecież na pewno mniej wiemy o NRD
 — mimo że jesteśmy sąsiadami, a może i dlatego — niż mieszkańcy NRD
 wiedzą o nas”. ■ Z miejscowości Przylep k. Zielonej Góry uprowadzony
 został dwupłatowy samolot sportowy typu AN-2. Pilot sportowy — Jan
 Żytka i osiem dalszych osób wylądowało bezpiecznie na amerykańskim
 lotnisku wojskowym Berlin-Tempelhof. ■ Pierwszy sekretarz ambasady
 PRL w Kolonii — Waldemar Rzędkowski wraz z żoną Ireną, która jest
 pochodzenia niemieckiego, poprosił w RFN o azyl. Rzędkowski zajmował
 się zagadnieniami prawnymi i był akredytowany od sierpnia 1979 roku.
 Rzędkowsy otrzymali od władz niemieckich pozwolenie na pozostanie w
 RFN. Bońska *Die Welt* twierdzi, że Rzędkowski należał do najlepiej poin-
 formowanych dyplomatów i miał dostęp do najwyższych szczebli aparatu par-
 tyjnego i rządowego. ■ Socjaldemokratyczna Fundacja im. *Friedricha*
Eberta z siedzibą w Bonn zawarła ostatnio umowę z *Polskim Instytutem*
Spraw Międzynarodowych i *Agencją Interpress* w sprawie wymiany naukow-
 ców i dziennikarzy. Zawierając umowę strona niemiecka wpadła w pułapkę
 i tym samym wyrzuciła niedźwiedzia przysługując polskim naukowcom (mniej-
 sza o dziennikarzy, którzy w większości są na usługach reżymu). Odtąd
 naukowcy z kraju, ubiegający się o stypendia *Fundacji im. Friedricha Eber-*
ta, będą musieli uzyskać aprobatę PISM-u, natomiast dziennikarze zgodę
Agencji Interpress. Przedtem sprawy stypendialne były załatwiane bezpo-
 średnio z kandydatami przez *Fundację* w Bonn lub przez ambasadę RFN
 w Warszawie. ■ W ciągu ostatnich 21 lat rząd Republiki Federalnej wy-
 kupił ok. 20 tys. więźniów politycznych z NRD. ■ W Polsce pracuje
 obecnie 32 lektorów z NRD nauczających języka niemieckiego. ■ W zbior-
 owej pracy pt. *Sozialismus zwischen Restauration und Erneuerung* (So-
 cjalizm między odbudową i odnową) wydanej przez J. G. Herder-Institut
 (Marburg 1983) na uwagę zasługuje analiza Alexandra Uschakowa —
Die Rechtsstellung der Gewerkschaft „Solidarność” (Pozycja prawna Związ-
 ku Zawodowego „Solidarność”). ■ Pomysłowo urządzone przez Ben Abra-
 hama stoisko *Solidarności* na wielkiej wystawie *Swiat Rodziny (Welt der*
Familie) w Saarbrücken odwiedziło kilkadziesiąt tysięcy osób. Na temat
 zadań i celów organizatorów ekspozycji *Solidarności* obszernie pisała miejsco-
 wa *Saarbrücken Zeitung*. ■ *Akademia Ewangelicka* w Mülheim/Ruhr
 urządziła trzydniowe sympozjum, poświęcone stosunkom polsko-zachodnio-
 niemieckim w latach 80-tych. Z PRL zaproszono jako prelegentów dwóch
 dziennikarzy z *Polityki* — Michała Jaranowskiego i Jerzego Kleera oraz
 prof. Andrzeja Wojtowicza, kierownika Wydziału Zagranicznego Rady Eku-
 menicznej. ■ W ub. roku przeciętnie w ciągu miesiąca wyjeżdżało z
 Polski ok. 2.530 Niemców; obecnie liczba ich spadła do 1.300 osób. ■ We-
 dług obliczeń *Niemieckiego Czerwonego Krzyża* prywatna pomoc płynąca
 z RFN do Polski osiągnęła w bież. roku wartość rzędu 56 mln marek. ■
Komisja Katolików w Kolonii wysłała do Krakowa już 81-y konwój cięża-
 rówkę z żywnością, lekarstwami i odzieżą. ■ *Chór Akademicki KUL-u* pod
 dyrykcją Kazimierza Górskiego w drodze powrotnej z Francji zatrzymał się
 w Berlinie Zachodnim. Koncertował w kościołach: *Sw. Wilhelma*, *Sw. Mak-*
symiliana Kolbego, bazylice *Sw. Jana*. Wystąpił również w *Deutschlandhalle*
 podczas Mszy św. celebrowanej przez biskupa Berlina kardynała Joachima
 Meissnera. ■ Od końca czerwca br. przebywało w NRD na wakacjach
 ponad 65 tys. dzieci i młodzieży szkolnej oraz studentów z Polski. Zorga-
 nizowana wymiana młodych Polaków z NRD prawdopodobnie nie osiągnęła
 zaplanowanego poziomu 100 tysięcy osób. Polacy przebywali w ponad 1.400
 letnich obozach pionierskich, około 730 zakładowych ośrodkach wypoczyn-
 kowych oraz 150 placówkach oświatowo-wychowawczych. ■ Teresa Rząd-

kowska-Jętkiewicz z Warszawy jest laureatką Nagrody Fundacji im. Roberta Boscha w dziedzinie tłumaczeń z języka niemieckiego, w tym wypadku książek Heinricha Bölla. Kandydatura została wysunięta przez *Deutsches Polen-Institut* w Darmstadtzie. ■ Zachodnioniemiecki PEN-Club, Związek Wolnych Pisarzy Niemieckich oraz pisarze stowarzyszeni przy Związku Zawodowym IG Druck und Papier wyrazili w telegramie protestacyjnym wystosowanym na ręce gen. Jaruzelskiego swe oburzenie w związku z rozwiązaniem ZLP. Nawet komunizujący pisarz niemiecki, Berndt Engelmann, ostro zaprotestował przeciwko „prześladowaniu polskich pisarzy przez reżym wojskowy”. ■ Delegacja fellowtravelerskiego Towarzystwa Niemiecko-Polskiego przebywała z wizytą w Polsce. Przewodniczący Towarzystwa prof. Helmut Ridder oświadczył w wywiadzie udzielonym *Trybunie Ludu*, że delegacja miała „możliwość bliższego poznania wszystkich realiów zapobiegających powrotowi do czasów sprzed 13 grudnia 1981 roku”. ■ Delegacja KC Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności (SED) przeprowadziła rozmowy w Wydziale Kultury KC PZPR. Kierownik wydziału Witold Nawrocki „poinformował o sytuacji w polskich środowiskach twórczych”. Wschodnioniemieccy funkcjonariusze partyjni przeprowadzili również rozmowy z ministrem Kultury i Sztuki Kazimierzem Żygulskim: „Podzielono się doświadczeniami w zakresie form i metod pracy partyjnej w środowiskach twórczych”. ■ Protokół handlowy PRL-NRD o wzajemnych dostawach towarów i usług na 1983 w zakresie importu wypełniony został „konkretnymi transakcjami w 101 %, zaś polskiego eksportu do NDR w 99 %”. Powyższa informacja została podana w prasie krajowej już 15 września br. Jednocześnie powiadomiono opinię publiczną, że PRL sprowadzi z NRD w 1984 roku 20 tys. konwii do mleka i 60 tys. lokówek. ■ Na zaproszenie rządowej organizacji *Inter Nationes* przebywała w RFN z wizytą grupa 8 dziennikarzy z PRL. Oto niektóre nazwiska: Jadwiga Naorniakowska (*Perspektywy*), Zygmunt Broniarek (*Trybuna Ludu*), Andrzej Czechowicz (*Głos Pomorza*) i Józef Wójcik (*Słowo Powszechne*). Mamy nadzieję, że w następnej delegacji nie zabraknie Albina Siwaka. ■ Kolońska organizacja *Pomoc Polsce — Od Człowieka do Człowieka* od kilku lat udziela szerokiej pomocy Osiedlu Niewidomych w Laskach. ■ 21 września br. w zachodniobерлінskim teatrze *Freie Volksbühne*, w którym *Teatr Współczesny* z Wrocławia prezentował spektakl *Dżumy* według Camusa, miało miejsce następujące zdarzenie. Poproszono księgarnię *Stodiecks Buchhandlung* o zorganizowanie na terenie teatru stoiska z wydawnictwami polskimi. Wśród przedstawionych książek znalazła się najnowsza pozycja Jana Józefa Lipskiego — *KOR*, uważana przez księgarzy firmy *Stodiecks Buchhandlung* za szczególnie ważną. Wkrótce po przygotowaniu stoiska zjawił się przedstawiciel *Berlińskiego Festiwalu*, który zażądał usunięcia wszystkich rzeczy kojarzących się z *Solidarnością*, np. płyt, znaczków, naklejek. Następnie zakazał wystawienia *KOR-u* J. J. Lipskiego oraz albumu z rysunkami Andrzeja Krauze. Cenzorski zabieg tłumaczył ewentualnymi trudnościami ze strony *Misji Wojskowej PRL*. Księgarnia *Stodiecks* wystosowała ostry protest w tej sprawie, który opublikowała prasa zachodniobерлінська. ■ Podczas *Berlińskiego Festiwalu* *Stary Teatr* z Krakowa przedstawił *Życie jest snem* Calderona w reżyserii J. Jarockiego. Natomiast po drugiej stronie muru, w Berlinie Wschodnim, *Stary Teatr* prezentował *Carbusa* Mrożka, również w reżyserii J. Jarockiego. ■ Alois Merles, podsekretarz Stanu w bońskim *Auswärtiges Amt*, Władysław Bartoszewski (wykłada obecnie na uniwersytecie w Monachium) i kilku dziennikarzy dyskutowało w I programie zachodnioniemieckiej TV na temat znaczenia przyznania Lechowi Wałęsie *Pokojowej Nagrody Nobla*. Bartoszewski: „Sprawa polska nie jest zapomniana i stracona”.

Andrzej J. CHILECKI

Kronika kulturalna

Z naprzeciwwka

WYSTAWA POLSKA W CENTRE POMPIDOU

Szedłem na polską wystawę bez entuzjazmu. Zdawało mi się, że zobaczę to, co dobrze znam lub obiekty, na które nigdy uważnie nie patrzyłem, bo zdawały mi się poza sztuką.

Malarstwo Witkacego? Przecież znałem jego liczne portrety jak również jego obrazy abstrakcyjne, naturalistyczne lub malowane pod większym lub mniejszym działaniem narkotyków. I szczerze powiem, że te obrazy przeważnie wydawały mi się kiczami, w których była tylko jedna cecha zadziwiająca — uderzające, wnikiwe podobieństwo prawie każdego portretu.

Rysunki Bruno Schulza znałem najpowszechniej, chyba kilka tylko rysunków i ilustracji, co do których wartości artystycznej nie miałem wątpliwości. Więc dlaczego nie zainteresowałem się nim więcej?

Jeśli zaś chodzi o konstruktywizm w jego różnych bogatych rozgałęzieniach, wymykało mi się to zupełnie z terenu, który uważałem za malarstwo i wskutek tego minimalnie się nim interesowałem. Więc skąd dzisiaj mogłem doznać tylu żywych niespodzianek?

Kiedy o tym myślę, odpowiedź jest dla mnie łatwa. Należałem do grupy kapistów, która odegrała pewną rolę w rozwoju malarstwa polskiego. Naszym odkryciem młodości był na początku van Gogh, potem dopiero postimpresjonizm i coraz silniej i coraz głębiej Cézanne. Naszym wrogiem były w Polsce obrazy pomatejkowskie, gdzie na niezliczonych płótnach spotykaliśmy tematy nad wyraz wzniosłe, w których element czystego malarstwa w ogóle nie istniał. Istniało opowiadanie na płótnie malowanym nie kolorem, ale malowanymi, przeważnie bez jakiegokolwiek wiedzy malarzkiej, za to w najlepszych intencjach, tematami. Piszę to w największym skrócie i karykaturalnie — nie tak jak to widzę teraz, ale jak to wraz z moimi kolegami wów-

czas widziałem. Wskutek tego temat jako taki już sam przez się wydawał nam się niebezpieczeństwem. Gdy dziś przypominam sobie moje młodzieńcze przeżycia, widzę wielkie płótno Vlastimila Hoffmanna, gdzie piękna kobieta w bieli trzymając ogromny kawał węgla klęka na śniegu przed kobietą jeszcze piękniejszą, również w bieli i ze skrzydłami. Znaczyć to miało: „Śląsk górniczy, który ofiaruje skrzydlatej Polsce węgiel”. Dziś myślę, że jest wprost bezczelnością uważać za typowy ten obraz, który Hoffmann namalował na zamówienie jakichś dyrektorów kopalni, a który widziałem w sklepie z obrazami na Sławkowskiej w Krakowie. Hoffmann namalował i inne obrazy, nieskończenie lepsze. Jeżeli dziś go wspominam, to żeby wytłumaczyć, że ogromny procent malarstwa wzniosłe tematycznego mógł zamącić imaginację młodych malarzy, którzy odkrywali kolor mówiący i budujący płótno, niezależnie od tego czy przedstawiało obraz mistyczny czy patriotyczny, albo najprościej martwą naturę, która naturalnie była wówczas uważana za sztukę drugo- czy trzeciorzędą. Jeżeli sięgam tak daleko wstecz moich wspomnień, to dlatego że się zastanawiam, jak nasze malarskie spojrzenie było jednostronne, a nawet krzywdzące. Przecież wówczas jednym z profesorów naszej krakowskiej Akademii był wielki malarz Malczewski. Tu już przejdę na swoje osobiste podwórko. Właściwie poza paru obrazami nie uważałem go za wielkiego malarza, bo jego tematyka była tak uderzająco silna, że patrząc, człowiek zapominał o malarstwie. Jeżeli ktoś był prekursorem surrealizmu, to chyba właśnie on, o wiele bardziej niż Boecklin. Poza tym jego wstrząsający obraz „Wigilia na wygnaniu” był tak silny w ekspresji, że nawet do głowy mi nie przychodziło oceniać jego zalety malarskie. Wszystko to było w porządku. Poza szeregiem wyjątków cała masa wystaw malarskich była zapełniona mętnymi kiczami, naturalistycznymi czy symbolistycznymi. Otóż, na tym tle wyrosła walka kapistów i ich sprzymierzeńców, walka o to, co nazwaliśmy czystym malarstwem, którego działanie było nie tylko malarskie, ale w pierwszym rzędzie malarskie. Cień naszych walk padał nawet na dzieła sztuki, w których przeważały zbyt silnie inne czynniki niż malarstwo, które my nazwaliśmy czystym.

Niespodzianką, która dotknęła mnie najsilniej w dzisiejszej wystawie w Centre Pompidou były rysunki Brunona Schulza. Jak na tle tamtych czasów wyglądały rysunki Schulza? Bo Schulz zaczął wypływać chyba grubo później niż te moje pierwsze odkrycia wielkiego malarstwa w latach dwudziestych. Ale i na niego padł cień mojej obojętności. Wystawa polska chyba po raz pierwszy pokazała taką ilość rysunków i grafik Schulza. Znałem go jako autora powieści — bliskiego Kafce. Nie zdążyłem nawet przyjrzeć się jego rysunkom, które tak organicznie były związane z jego prozą. Dziś, w Beaubourg, jakże późno jestem olśniony, dosłownie olśniony klasą tego rysunku, która właśnie łączyła wyrazistość tematyczną z najwyższą klasą rysunku. Tematyka, nieustannie obecna, jest właściwie rozdzierająco

smutna i wąska. Dyktuje ona całkowicie „czysty” rysunek. Chodzi tu o kult kobiety, prędzej o kult jej nóg — jej nogi? — którą pokazuje bezczelnie nieszczęsnemu masochście, który co raz to ma twarz samego Schulza. Spośród tych rysunków chciałbym zwrócić uwagę na wielki rysunek — ilustrację do „książki bałwochwalców”. I tutaj starałem się narzucić sobie samemu widzenie związane z innymi malarzami czy rysownikami, których podziwiam. Genialny Degas?, Daumier? — wspaniały rysownik i mistrzowski karykaturzysta. Żadnego z nich nie umiem powiązać z Schulzem. Nasuwa mi się jeden jedyny, i to z największych — Goya! Nie mogę sobie darować, że to porównanie dopiero dziś tak silnie odczuwam. Na czym polega ta bliskość? Nie tylko na niechybnym rysunku, ale na zupełnym złaniu się, stopieniu groźnej tematyki z rysunkiem. Ten tłum pożądlivych starców i różnych pokrak w ekstazie przed dwiema nóżkami kobiety. Ależ to może być porównane tylko z niektórymi orgiami czarownic na płótnach Goyi!

Sprawą całkiem inną jest spotkanie ze sztuką Witkacego. Umówmy się, w tych kilkudziesięciu pastelowych portretach wystawionych w Beaubourg mamy zadziwiającą mieszaninę nie tylko portretów skrajnie ekspresyjnych, kreślonych z zadziwiającą werwą, ale także wiele portretów, które są wprost kiczami. Ale nie zapominajmy o tym, że Witkacy kochał mieszanie stylów, lubował się w kiczach, bo po jakimś nienawidził tak zwanego dobrego gustu, nienawidził już uznanego wysokiego smaku i kochał gorszyć. Te kicze były robione świadomie i nie jest łatwo odróżnić, gdzie Witkacy jest poważny, a gdzie jest okrutnym kawalarzem. Ale jeżeli się widzi w jednej masie te portrety ludzi mojej epoki, z których dobrą czwartą część znałem osobiście, uderza mnie, jakimż to jest wyrazem polskiej *comédie humaine*. I jeżeli obok tego patrzymy na jego obrazy tzw. abstrakcyjne, na których stylizowane zmyry zapełniają płótna od góry do dołu, i kiedy przypomnimy sobie dwie jego powieści, „Pożegnanie jesieni” i „Nienasycenie” — nie mówię o jego kilkudziesięciu sztukach teatralnych, bo ich prawie nie znam i szczerze mówiąc ich nie znosiłem — uderza jedność wizji, drastycznej, katastroficznej wizji tego genialnego człowieka. I nie mogę oddzielić tego co widziałem od jego samobójczej śmierci w chwili, gdy Rosja bolszewicka wkraczała do Polski, tej śmierci, którą dopiero parę miesięcy temu w szczegółach odczytałem i przeżyłem w artykule: „Samobójstwo Witkacego” Jana Stanisława Witkiewicza (*Kultura* nr 11/1982).

Przecież ten człowiek żył wciąż na granicy głębokiego tragizmu, świadomości kończących się cywilizacji i kultury i drapieżnego śmiechu *de la dérision*. Postać Witkiewicza z latami jakby wciąż rośnie na świecie i dzisiaj nikogo nie zdziwi ocena jego wyznawcy i wydawcy — Dymitrijewicza z l'Age d'Homme — że była to jedna z największych postaci swojej epoki w Europie.

Trzecim odkryciem muszę się zająć dłużej. Chodzi mi o Strzeмиńskiego. Znałem go przelotnie, ale wspomnienie o nim mam żywe i nawet serdeczne. Było to w 1931 roku. Po 7-letnim pobycie w Paryżu wróciłem do kraju. Byłem chyba ostatnim kapią, który wówczas wrócił.

Karol Stryjeński, o którym trzeba by książkę napisać, bo on, jak może nikt inny, umiał zapalić ludzi do pracy, ogarnąć ich pasją, że musimy w Polsce stworzyć kulturę na wszystkich odcinkach plastyki i nauki, gdy tylko wróciłem do Warszawy namówił mnie, żebym wstąpił — jako jeden z członków Zarządu — do Instytutu Propagandy Sztuki. Był to rok, kiedy powstał gmach tego Instytutu, który miał stanowić przeciwwagę zmurszałej Zachęty. Moją pierwszą funkcją było zorganizowanie w IPS-ie serii odczytów o plastyce. Pierwszym człowiekiem, którego zaprosiłem jako prelegenta był Strzeмиński, teoretyk konstruktywizmu w Polsce i ostatecznie unizmu. Przyjechał z Rosji, był przyjacieleм i wyznawcą Malewicza. Z wyrazem nienawiści mówił mi, że rewolucja rosyjska zniszczyła ruch abstrakcyjny jakby żelaznymi czołgami. Dla mnie cały ten ruch, który propagowało w Polsce kilka pism i wielu artystów, to była dosłownie *terra incognita*. Nigdy stosunku do tej sztuki nie miałem i nie zamierzam i teraz o niej pisać, a przecież był to ruch, któremu oddało się wiele wybitnych talentów, wielu ludzi którzy wierzyli, że tylko ta sztuka przetrwa, że tylko ta jest sztuką przyszłości, reszta się już nie liczy. Peiper, jeden z papieży abstrakcjonizmu, zamówił u Waliszewskiego maszynistyczną okładkę pisma. Zyga Waliszewski najchętniej mu tę okładkę zrobił i powiedział wesoło: „Wiesz, Peiper, nigdy w życiu nie widział żadnej maszyny poza rowerem”. Ale wracam do Strzeмиńskiego. Przyjechał na odczyt, który wygłosił naturalnie o sztuce abstrakcyjnej, wykład był na pewno trudny (były w nim nawet formułki matematyczne) i trwał około półtorej godziny. Pod koniec spośród mocno znużonej publiczności niektórzy zaczęli pomalutku wyciekać z sali. Po odczycie powiedziałem Strzeмиńskiemu: „Uważajcie, kolego, nie można tak przeciągać odczytów wygłaszanych przed wypadkową publicznością. Godzina — a najwyżej godzina i piętnaście minut — to maksimum”. Strzeмиński odpowiedział mi najspokojniej: „Miałem w Łodzi podobny odczyt, trwał dwie i pół godziny”. I po chwili milczenia dodał: „z sali przed końcem wyszli wszyscy... z wyjątkiem jednego człowieka. Ten jeden został”. To było powiedziane poważnie i czułem w jego głosie triumf. Taki był Strzeмиński. Otóż obrazy które wystawiał były przeważnie najprostszymi formami kubistycznymi na gładkim tle. Te obrazy nie mówiły mi nic. Uważałem je za czyste nieporozumienie.

Na dzisiejszej wystawie w Paryżu zobaczyłem po raz pierwszy kilkanaście płócien Strzeмиńskiego tego typu, ustawionych rzędem przy sobie. I odniosłem bardzo dziwne wrażenie, którego nie mogę inaczej nazwać jak niespodzianką. Te najprostsze formy abstrakcyjne, te płótna gładkie, w których, zdawałoby się,

zmienia się tylko jeden kolor, brązowy, czerwony, jednej gładkiej formy na gładkim tle, te obrazy tak do siebie podobne zastanowiły mnie, chciałbym prawie powiedzieć zachwyciły niesłyszanaą czujnością gry kolorystycznej o najwęższej skali. Tu muszę wyznać, że od paru już lat żyję pod obsesją malarstwa Morandiego, całkowicie polegającego na podobnych, najprostszych zestawieniach. Jego obrazy podziwiam jako najwyższe ze znanych mi płócien współczesnych. Różnica polega na tym, że Morandi uzyskuje te same efekty przy pomocy zestawienia paru pudełek, paru butelek czy nawet konewek. Zdaje mi się, że nie znam dziś malarza, który by w dziedzinie wrażliwości na grę kolorów i form osiągnął tak subtelną i najprostszą gamę połączoną z takim śpiewem. Czy przesadzę, że myśląc o nim, myślę o fudze Bacha? Otóż patrząc na tę serię płócien Strzeмиńskiego zdało mi się, że w grze tych prostych abstrakcyjnych form odnajduję tę samą zawziętość i pasję kierowaną przez najwyższą klasę wrażliwości i próbującą wyrazić, przekazać najczystsza muzykę działania barwnego. Że może Morandi doceniłby i odkrył w Strzeмиńskim brata, jak on może potrafiłby uczcić naprawdę Morandiego. To wszystko. Obrazy Strzeмиńskiego, które on nazywał unizmem, w których już nawet tych kontrastów nie było, bo całość obrazu była jednokolorowa, tyle że w tym jednym kolorze była leciutka siateczka kresek, upodobniały się do jakiejś dziwnej jednobarwnej płaszczyzny, jakby do skóry dziwnego węża. To jedno wrażenie chciałem tu opowiedzieć. Bo dalszy rozwój malarstwa Strzeмиńskiego, w wyjątkowo ciężkim okresie, gdy w Polsce zapanował socrealizm, kiedy to podobno jego przyjaciel Przyboś starał się go w jakiś sposób włączyć do ówczesnego oficjalnego nurtu — te płótna zdawały mi się zupełnie obce, nawet nieistniejące. Były to na białych taflach kładzione w dużych odstępach jedne od drugich plamy niebieskie, różowe, żółte, przypominające może cienie motyli. Nie będę mówił o tym, czy i co malarstwo Strzeмиńskiego dało jego następcom. Zdaje mi się, że nic. Próby tej samej lakoniczności nie budziły we mnie nawet cienia przeżycia artystycznego, włącznie do czterech ogromnych płócien biało-szarych, zapełnionych od góry do dołu drobniutkimi cyframi, które zresztą można było co raz to odczytać lub zgadywać. Czy to była nowa forma unizmu? I na tym tle jak wybuch podzięłały na mnie dwa ogromne obrazy Brzozowskiego o formach abstrakcyjnych i gwałtownych zestawieniach kolorów, głównie jedno płótno, całe pocięte szramami czerni na tle wybuchowych czerwieni. Było tam jeszcze wiele innych płócien, o których mówić nie będę, bo nie miałem do nich prawdziwego stosunku. Były również eksponaty jedyne go w Polsce Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Łodzi, kilka świetnych abstrakcyjnych czy prawie abstrakcyjnych obrazów Tytusa Czyżewskiego, obok obrazów Jannereta i Légera, prawdopodobnie dary tych malarzy dla muzeum. Nie dziwię się, że w moich artykułach pisanych wówczas w Polsce nie wspominałem o tych obrazach, były one najdokładniej przeciwieństwem tego, o co wówczas walczy-

liśmy, walki o sztukę koloru, która związana z ruchem postimpresjonistycznym na świecie a przede wszystkim paryskim, była naszym punktem wyjścia.

Jestem przekonany, że pokaz w Beaubourg dał wyobrażenie całego skrzydła sztuki polskiej tamtych czasów i dla każdego uważnego krytyka był cenną informacją.

Józef CZAPSKI

Książki

"Siła i zasada" Zbigniewa Brzezińskiego

Tak jak nie jest intelektualnie możliwe lapidarne podsumowanie rzeczywistości skomplikowanego świata, tak też nie jest możliwe zredukowanie polityki zagranicznej do zgrabnej formuły, w której precyzyjnie łączyłyby się siła i zasada. Jednakże kombinacja tych dwóch elementów jest nieodzowna w przełożeniu misji Ameryki we współczesnej epoce w historycznie znaczące pojęcia.

Zbigniew Brzeziński: „Power and Principle”.

Najnowsza książka Zbigniewa Brzezińskiego „Power and Principle” (Siła i zasada) nie jest, jak mógłby to sugerować jej tytuł, traktatem o polityce czy stosunkach międzynarodowych. Nie jest też, jak mógłby wskazywać podtytuł („Wspomnienia doradcy do Spraw Bezpieczeństwa Państwa”) klasycznym pamiętnikiem. Książka Brzezińskiego jest swoistą kompilacją, w której refleksje teoretyczne przeplatają się z komentarzami praktyka. Na stronach „Siły i zasady” przewijają się relacje wydarzeń, fragmenty „pisanego na gorąco dziennika” i precyzyjne, systemowe analizy głównych problemów polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych. Wszystko to czyni z książki Brzezińskiego niezwykle interesujący przewodnik po meandrach światowej polityki.

We wstępie Brzeziński wspomina o dwóch podstawowych intencjach, przyświecających mu przy pisaniu „Siły i zasady”. Po pierwsze widzi swe dzieło jako ważny wkład historyczny i faktograficzny do przyszłych badań nad latami prezydentury Cartera. Po drugie zaś uważa, że w demokratycznym systemie politycznym wysocy urzędnicy państwowi obowiązani są do dokonania swoistego wyznania wiary wobec społeczeństwa. Celem nadrzędnym książki jest więc ukazanie mechanizmów sprawowania władzy, i to zarówno w procesie formułowania zadań, podejmowania decyzji, jak i pragmatycznych dróg ich realizacji.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 375 — ZYGMUNT KORYBUTOWICZ

GRUDZIEŃ 1970

Pierwsze źródłowe opracowanie wypadków
w Stoczni Szczecińskiej.

Str. 160.

Cena F. 55,00.

TOM 377 — ARTHUR KOESTLER

CIEMNOŚĆ W POŁUDNIE

Przełożył Tymon TERLECKI
Przedmowa Władimira BUKOWSKIEGO

Znana książka niedawno zmarłego pisarza, odsłaniająca mechanizm procesów stalinowskich (książka ta była opublikowana w nr. 16/17 *Kultury* w roku 1949).

Str. 206.

Cena F. 70,00.

TOM 378 — JACEK KACZMARSKI

WIERSE I PIOSENKI

Wybór utworów znanego dziś na całym świecie polskiego poety
i piosenkarza.

Str. 144.

Cena F. 45,00.

Plan Cartera

Obejmując swój urząd, trzydziesty ósmy prezydent Stanów Zjednoczonych Jimmy Carter miał ambitny plan dokonania zasadniczego zwrotu w amerykańskiej polityce zagranicznej. Zamierzał go dokonać odchodząc od zimnego realizmu, typowego dla administracji Nixona i Forda. Miała to zatem być próba nadania polityce zagranicznej USA bardziej moralnych i ludzkich wymiarów. Rzecz jasna, plan doradcy d/s Bezpieczeństwa Państwa był znacznie bardziej konkretny. Składał się z trzech postulatów:

- 1) zwiększenia ideologicznego wpływu Ameryki na świat (głównie poprzez forsowanie koncepcji praw człowieka),
- 2) poprawienia pozycji strategicznej Stanów Zjednoczonych wobec ZSSR (karta chińska),
- 3) odbudowy stosunków z krajami Trzeciego Świata, aby położyć kres niepożądaney i niebezpiecznej izolacji Stanów Zjednoczonych na arenie międzynarodowej.

Warto przypomnieć kontekst amerykańskiej sytuacji wewnętrznej, w której plan ten był formułowany, gdyż wojna wietnamska i afera Watergate zrodziły nie tylko falę antyamerykańskich nastrojów na świecie, lecz stworzyły również bardzo niekorzystny klimat polityczny w samej Ameryce. Koniec lat siedemdziesiątych odznaczał się w Stanach Zjednoczonych atmosferą braku zaufania do zasad i instytucji amerykańskiej demokracji oraz rozkwitem „kultury ustępstw” wobec ZSSR, w myśl zasady: nie ma takiej rzeczy, za którą warto umierać.

Ze stronic „Siły i zasady” jasno wynika, że zarówno Brzeziński jak i Carter, formułując program polityki zagranicznej, jasno sobie z tej sytuacji zdawali sprawę. Można by jednak powiedzieć, że prawdziwy problem administracji Cartera polegał na nieustannych kłopotach z realizacją nakreślonego programu.

Nie sposób w największym nawet skrócie omówić wszystkich problemów, jakie przedstawia Brzeziński w swej książce. Kilka z nich jednak wymaga szczególnej uwagi. Są to przede wszystkim zagadnienia dotyczące stosunków amerykańsko-sowieckich i *détente*, Iranu oraz koncepcji praw człowieka. O ile bowiem Iran jest klasycznym przykładem sytuacji kryzysowej, jakiej administracja Cartera musiała stawić czoła, o tyle problemy *détente* doskonale ukazują tajniki strategii i dyplomacji, zaś koncepcja praw człowieka jest wspaniałą ilustracją sprzężenia etyki i polityki.

Przebudowa *détente*

Linia rozumowania Brzezińskiego, zwolennika *détente*, jest w tej sprawie jasna. Sukcesy ZSSR w wykorzystywaniu *détente* jako środka do realizacji dalekosiężnych celów politycznych były

— zdaniem Brzezińskiego — wynikiem wymiennego stosowania przez Sowiety dwóch podstawowych elementów *détente*: współpracy i rywalizacji, tyle że nie w celu utrzymania *status quo*, jak to rozumiał Kissinger, a w celu zmiany sytuacji w coraz korzystniejszy dla siebie układ. Brzeziński, modyfikując kissingerowski wzór *détente* (zakładający alternatywę *détente* albo wojna), po pierwsze odrzucił tę fałszywą, jego zdaniem, alternatywę. Po drugie uważał, że *détente* to nie synonim *status quo*, a mechanizm zmniejszający ryzyko wojny i pozwalający na dokonywanie zmian na mapie politycznej świata w sposób pokojowy. Po trzecie wprowadził dwa nowe pojęcia, uściślające jego rozumienie *détente*. Terminy te to: *reciprocity* (wzajemność, obustronność) oraz *comprehensive* (włączenie, generalizacja). Słowem, *détente*, ale na zasadzie wzajemności — akcja jednej ze stron spotyka się z kontrakcją drugiej strony, jak również *détente* nie tylko w Europie, ale we wszystkich rejonach świata. W praktyce, jak pisze Brzeziński, oznaczało to, że gdy Sowiety sprzedają marksizm-leninizm, Amerykanie będą forsowali prawa człowieka; jeśli Sowiety mają interesy w Ameryce Środkowej, to Stany Zjednoczone mają swe interesy w Europie Wschodniej. Co więcej, dywersyjne działania ZSSR w Afryce czy na Bliskim Wschodzie byłyby nie do pogodzenia ani z duchem, ani z literą *détente*.

Koncepcja ta, choć spójna i logiczna, nie okazała się jednak skuteczną receptą na pogarszające się stosunki amerykańsko-sowieckie. Carter, mimo że włożył wiele wysiłku w próby poprawy sytuacji w tej tak dla niego ważnej kwestii, przeszedł do historii jako prezydent, który położył kres *détente*. Twierdzenie, iż zmusiły go do tego Sowiety, jakkolwiek prawdziwe, nie wyjaśnia wszystkiego. Wiele stronic „Siły i zasady” poświęconych jest przedstawieniu trudności, jakie taka koncepcja *détente* napotykała w fazie jej realizacji.

Przed wszystkim rola Brzezińskiego często kończyła się na poziomie koncepcyjnym. Można powiedzieć, że jeśli Brzeziński był architektem polityki amerykańskiej, to Vance i Departament Stanu pełnili funkcje głównego inżyniera, który w dodatku nigdy do końca nie przyjął i nie realizował koncepcji architekta. Wielokrotnie wspomina Brzeziński o licznych przetargach i potyczkach, dotyczących czy to konkretnych posunięć, które by realizowały *détente* w jej nowej wersji, czy też nawet poszczególnych sformułowań w korespondencji Carter-Breżniew. Chwiejna, niezdecydowana postawa Cartera, niechęć Vance'a do historycznego i ideologicznego spojrzenia na problem *détente*, jego koncentracja na formalnościach proceduralnych, wreszcie ustawiczne mieszanie polityki z dyplomacją to sprawy, które zdaniem Brzezińskiego wywarły zdecydowanie negatywny wpływ na realizację *détente* w jej nowej formule.

Niestety książka Brzezińskiego w części poświęconej *détente* nie daje jasnej odpowiedzi na pytanie, dlaczego Sowiety zdecydo-

wały się na inwazję Afganistanu. Nie wyjaśnia również szoku, jakim inwazja ta była dla Cartera oraz jak ów szok można było pogodzić z wiedeńskimi całusami. I w końcu, czy i jak można było inwazji zapobiec?

Kryzys irański

Kryzys irański to soczewka skupiająca prawie wszystkie słabości administracji Cartera. Znowu niezdecydowany prezydent, targany — jak pisze Brzeziński — racjami serca i umysłu. Fundamentalne różnice między Departamentem Stanu a tandemem Brzeziński-Brown, biurokratyzowanie procesu podejmowania decyzji, niejasności co do zakresu kompetencji pomiędzy poszczególnymi agencjami rządu. Na pytanie kto stracił Iran można dać tylko jedną odpowiedź: na pewno nie Brzeziński. Nawet jego zdecydowani krytycy przyznają, że był jedynym człowiekiem, udzielającym prezydentowi rad, które mogły uratować pogarszającą się z dnia na dzień sytuację. Niestety Carter z rad swego doradcy nie skorzystał.

W opisie rozwoju wypadków w Iranie Brzeziński twierdzi, że sytuację można było uratować. Wypracowując amerykańską odpowiedź na kryzys w Iranie, należało jego zdaniem odpowiedzieć na dwa pytania. Jakie były podstawowe interesy Stanów Zjednoczonych w Iranie, które należało zabezpieczyć, oraz jak zachować polityczną stabilizację w sytuacji, w której dyktator stoi w obliczu narastającego wrzenia rewolucyjnego. Z odpowiedzią na pierwsze pytanie nie było problemów, z drugim natomiast sprawa wyglądała zgoła odmiennie. Brzeziński uważa, że zwycięskie rewolucje należą do rzadkości, a nieuchronne stają się dopiero *post factum*. Można było rewolucję powstrzymać, doprowadzając do przejęcia władzy przez armię. Irański *establishment* wojskowy gotów był to uczynić, oczekiwał jedynie stanowczego poparcia i pomocy Stanów Zjednoczonych. Scenariusz przewrotu wojskowego miał według Brzezińskiego wszelkie szanse powodzenia i gwarantowałby ochronę podstawowych interesów amerykańskich w Iranie. Przewrót wojskowy pociągałby jednak za sobą użycie siły, rozlew krwi i dłuższy okres tłumienia rebelii. Taki rozwój wypadków był dla Departamentu Stanu nie do przyjęcia. Vance proponował utworzenie rządu koalicyjnego, negocjacje i rokowania z Chomejnim. Miało to doprowadzić do od dawna wymarzonej przez Departament Stanu demokracji Iranu... Finału przypominać nie trzeba. Iran pod Chomejnim stoczył się na dno ruiny ekonomicznej, zaś represje z czasów szacha i jego tajnej policji SAWAK są dziecinną igraszką w porównaniu z terrorem mułłów Chomejnigo.

Kryzys irański odsonił, jak notuje autor „Siły i zasady”, niezmiernie trudną do przewyciężenia awersję liberalnego *establishment*'u do posługiwania się siłą jako narzędziem polityki. Ubolewa również, że elita waszyngtońska nie potrafi zrozumieć,

iż rządy koalicyjne i rokowania są dobre w czasie kryzysów w Kanadzie lub Holandii, nie zaś w Iranie lub Nikaragui. Dodać tu należy, że rozdziały poświęcone Iranowi, a w szczególności opis próby odbicia zakładników, należą do najlepiej napisanych.

Prawa człowieka

Dla administracji Cartera koncepcja praw człowieka stanowiła próbę mocniejszego sprzężenia polityki z moralnością. Według Brzezińskiego zaangażowanie prezydenta w kampanię o prawa człowieka „odzwierciedlało jego (Cartera) własne przekonania religijne”. Ten aspekt polityki zagranicznej wyraźnie odcinał Cartera od jego poprzedników. Czemu służyć miała ta koncepcja? Brzeziński dużo pisze o potrzebie uatrakcyjnienia amerykańskiej polityki zagranicznej, o konieczności nadania jej bardziej ideologicznego zabarwienia. Prawa człowieka miały też stanowić przeciwwagę dla sowieckiej ofensywy ideologicznej. Docieramy tu do sedna formuły Brzezińskiego, wyrażonej w tytule jego książki. Podstawowym warunkiem zarówno atrakcyjności jak i skuteczności amerykańskiej polityki zagranicznej powinna być stała obecność dwóch jej podstawowych składników: siły i zasady. Zbyt często, zdaniem Brzezińskiego, sternicy amerykańskiej polityki zagranicznej dokonywali wyboru; preferując jeden z tych elementów, zapominali o drugim.

Sama koncepcja praw człowieka była nie tylko nowatorską, ale i bardzo pożądaną próbą odrodzenia polityki Stanów Zjednoczonych. Miała i ma nadal ogromne rzesze orędowników i sympatyków, nie tylko w samych Stanach Zjednoczonych, lecz na całym niemal świecie. Stanowiła ważki element w walce z sowiecką ofensywą ideologiczną. Nie była jednak, i co ważniejsze nie mogła być żadnym cudownym panaceum na poprawę pozycji Zachodu wobec Sowietów, a tym bardziej nie pomogła rozwiązać problemów w stosunkach Ameryki z Trzecim Światem.

Krytycy koncepcji praw człowieka wysuwali cały szereg zarzutów — od problematyki prawa międzynarodowego, kwestii suwerenności państw aż do argumentów o bezcelowości politycznej wystawiania jakimkolwiek państwom cenzurek. Wskazywano równocześnie na retoryczny tylko sens całego przedsięwzięcia. Wydaje się jednak, że problem leży zupełnie gdzie indziej. Jak pisze sam Brzeziński, administracja Cartera wybrała prawa człowieka, które „najlepiej odzwierciedlają samą esencję Ameryki”. A no właśnie, czy można serwować samą esencję? Nie tylko dobry smak, lecz i zdrowy rozsądek wyrażnie się temu sprzeciwiają. Trudno się więc dziwić, że prawa człowieka nie zrobiły kariery ani w Afryce, ani w Ameryce Środkowej czy w Azji, a hurra-optymistyczne ich forsowanie doprowadziło w niektórych przypadkach do bardzo kosztownych błędów (np. Nikaragua). Tak jak nie można budować domu od dachu, tak też nie można spodziewać się sukcesu praw człowieka w krajach, w których

podstawowe struktury społeczno-polityczne znajdują się w powi-
 jakach. Esencji danego systemu nie można aplikować bez zbu-
 dowania najpierw podstaw, z których esencja owa bierze po-
 czątek i w oparciu o które może istnieć. Za dobre przykłady
 budowania od podstaw niech służą takie kraje jak Tajwan, Ja-
 majka czy Południowa Korea. Ten uderzający sukces zastosowa-
 nia idei demokratycznego kapitalizmu powinien stanowić jas-
 ny drogowskaz dla przyszłych administracji waszyngtońskich.

Bilans Cartera

Najłatwiej, jak to czyni Brzeziński, dokonać zestawienia suk-
 cesów i porażek. Do sukcesów należą na pewno: porozumienie
 z Camp David, dalsza poprawa stosunków z Chinami oraz propa-
 gowanie idei praw człowieka. Największa porażka to oczywiście
 Iran, i tu wyłączna odpowiedzialność administracji Cartera jest
 bezsporna. Upadek *détente* zalicza Brzeziński również do nie-
 powodzeń, i to niepowodzeń bardzo poważnych. Śmiało dorzu-
 cić można do tej listy zaniedbanie sytuacji w Ameryce Środko-
 wej. Patrząc oczami historyka, nie jest to bilans fatalny. Opinia
 publiczna Stanów Zjednoczonych patrzeć tak jednak nie chciała;
 administracja Cartera stała się dla niej symbolem słabości i nie-
 udolności. Taką percepcja zaważyła również na odbiorze książki
 Brzezińskiego, który w naturalny sposób silnie z Carterem jest
 wiązany. Tworzy to trudną i niewygodną dla autora „Siły i za-
 sadę” sytuację; na jego książkę recenzenci patrzą przez pryzmat
 niepowodzenia. Popularny tygodnik *Time* (maj 1983) pisze: „Jak
 większość politycznych pamiętników 'Siła i zasada' jest przeważ-
 nie ćwiczeniem w samousprawiedliwianiu się”. Inny tygodnik,
Business Week (kwiecień 1983) zauważa: „Bystro, żywo napisana
 (...) usiłuje zrehabilitować politykę swego byłego szefa”. Po czym
 dodaje: „Słabość Cartera wpływała z jego nieuleczalnie moralis-
 tycznej percepcji”, z widzenia spraw polityki w perspektywie
 „walki między czarnym i białym, dobrem i złem”. Druga sprawa
 to *public relations*, które jak się wydaje nigdy nie były mocną
 stroną Brzezińskiego. Nie potrafił ułożyć sobie dobrych stosun-
 ków z amerykańskimi środkami masowego przekazu, nie potrafił
 się nimi posługiwać, nie mówiąc już o zdobyciu ich sobie. Prasa
 i telewizja rzadko były mu przychylnie, często (jak sam przyzna-
 je) siałły zamęt i nieporozumienia. Dotyczy to zarówno jego dni
 w Białym Domu jak i samej książki. Poruszając ten problem,
 Walter Laqueur (*The New Republic*, maj 1983) pisze: „Jego oso-
 bowość nie należała do tych, które łatwo integrują się z twór-
 cami reputacji w Waszyngtonie i Nowym Jorku”. Wspomniany
 wcześniej *Time* dorzuca: „Wydaje się, że Brzeziński nie zdaje
 sobie sprawy, jak często jego bezstronność, kiedy dotyczy innych,
 wygląda na złośliwość, skierowana zaś na siebie samego wygląda
 na bezwstydną egotyzm”. Zasygnalizować też warto recenzje
 Flory Lewis, liberalnej dziennikarki pisującej często o sprawach

polskich, której zdaniem (*New York Times Book Review*, maj
 1983) polskie pochodzenie Brzezińskiego jest powodem emocjo-
 nalnego (czytaj: nieprofesjonalnego) stosunku do ZSSR. Trudno
 się więc dziwić — według Flory Lewis — że Brzeziński nie znaj-
 dował zrozumienia i poparcia dla swych koncepcji i działań...

Odmienne patrzy na książkę Brzezińskiego publicysta mie-
 sięcznika *Commentary*, Edward Luttwak, pisząc: „Książka Brze-
 zińskiego jest uczciwą i dobrze napisaną relacją, wartościową
 dla historyka, atrakcyjną dla wielu czytelników. Nieuchronnie
 jest ona także dziaruszem niepowodzenia, oczywiście nie osobis-
 tego i niekoniecznie polityki zagranicznej, ale z pewnością nie-
 powodzenia politycznego administracji Cartera”.

Prasa konserwatywna pisała o pracy Brzezińskiego na ogół
 krytycznie, ale rzetelnie. Liberalna i lewicująca albo „Siłę i za-
 sadę” zignorowała, albo sugerowała czytelnikom „polskość i emo-
 cje” autora.

Na zakończenie dodajmy, że warto postarać się o udostęp-
 nienie „Siły i zasady” czytelnikowi polskiemu.

Andrzej SUSS

Jestem Miłoszem, Miłoszem być mogę ...

„Jestem Miłoszem, Miłoszem być nie chcę, będąc Miłoszem,
 Miłoszem być muszę, Miłosza w sobie zabijam, ażeby będąc
 Miłoszem być bardziej Miłoszem”.

Witold Gombrowicz

Rozmowy spisane z taśmy dźwiękowej są jedną z plag naszego
 wieku. Stanowią najczęściej surowiec „niby-książek”, w których
 niepiśmienne gwiazdy piłki nożnej, piosenki czy polityki przeka-
 zują potomności zbyteczne pamiętniki, wygładzone przez gra-
 motnych najemników.

Pisarze nie mają zwykle zaufania do tego proceduru. Gom-
 browicz przyjął ofertę wydania rozmów z Dominique de Roux
 pod warunkiem, że sam napisze nie tylko odpowiedzi, ale rów-
 nież zadawane mu rzekomo pytania. Skorzystał jednak z tej
 formy, by postawić sobie pytania, na które nie dał odpowiedzi
 w „Dzienniku”, gdzie czuł się może skrępowany regułami wy-
 myślonej przez siebie gry. Zawdzięczamy temu pomysłowi naj-
 prostszą i najbardziej bezpośrednią jego książkę. Wypełnił luki
 dotyczące dzieła i życia, a również luki w murach fortecy bu-

dowanej dla potomności: stała się wreszcie tak szczelna, że nikt nie będzie już w stanie go upuścić ani przypisać mu geby.

Miłosz troszczy się o swój obraz odbity w oczach innych ludzi jak każdy z nas (*l'enfer c'est les autres* Sartre'a), ale nie ma w nim nic ze stratega, który by z góry zabiegał o prostowanie cudzych opinii. Zabrania mu tego litewski upór i ta rzadka kombinacja skromności i dumy, jaką sam słusznie przypisuje Mickiewiczowi. Stąd nasza wdzięczność dla Aleksandra Fiuta i Ewy Czarneckiej, których książki¹, rewelacyjne dla nas, pozostaną niezastąpionym źródłem dla przyszłego historyka.

Oba cykle rozmów odbyły się w roku 1979, zanim Miłosz został laureatem nagrody Nobla. Fiut nie przeznaczał ich do druku, stanowiły dla niego materiał pomocniczy do obszernego studium poezji Miłosza — wydanie spowodowało zapewne nieodparte zapotrzebowanie krajowe, gdy Nobel ostatecznie odrzucił zakazy cenzury. Dobrze się jednak stało, że przeprowadził z Miłoszem dodatkowy cykl wywiadów w roku 1982, których fragment ukazał się w *Zeszytach Literackich* (lato 1983). Nagroda Nobla doprowadziła do paroksyzmu kontrast między pojęciem Miłosza o sobie i ustokrotnionym echem zewnętrznym jego persony. W przeciwieństwie do zarozumiałców, człowiekowi dumnemu obelgi i oszczerstwa mogą boleśnie dolegać (nie zapominajmy, jak długo Miłosz — w większym jeszcze stopniu niż Gombrowicz — był przez oficjalny kraj i oficjalną emigrację wyłączone „piotunem karmiony”), ale zniechęcają go do rzetelnej reakcji, zamykają w milczącym uporze. Nie do zniesienia natomiast stał się dla Miłosza jego po-noblowski obraz w oczach polskich, „zbyt szlachetny i zbyt prosty” — jak oświadcza Fiutowi, dodając — „a ja nie jestem ani szlachetny, ani prosty”. Ale nagroda Nobla daje zarazem poczucie suwerenności, rozluźniające dawne zahamowania, pozwala na szlachetność wyrażoną bezpośrednio, z dystansem i autoironią. Nic w tym dla uważnego czytelnika poezji Miłosza nowego, ale nie będę ukrywał wzruszenia i podziwu, jakie odczułem słysząc wprost jego głos, gdy mówił Fiutowi:

„Tworzenie mojego obrazu jako postaci heroicznej, szczególnie, kiedy byłem w Polsce... No, po prostu tak się złożyło, że ja nie byłem tak utyltany, ponieważ byłem cały czas za granicą, właściwie od końca 45 roku. Urządzałem się chytrze, siedziałem za granicą, a potem znalazłem się na emigracji, i nie utyltaliśmy się. A jakbym się utyltali, gdybym tam był na miejscu — u, u! No i tu raptem, w okresie 'Solidarności', znaleźli względny gronostaj... Więc traktuję to jako szczególne zbiegi okoliczności. Ale to bardzo żenujące być tym okazem niezłomnego, tym Rejtanem itd. Przede wszystkim chciałbym tutaj wspomnieć o okresach w moim życiu, kiedy uprawiałem prostytucję. Ponie-

1. Aleksander Fiut: *Rozmowy z Czesławem Miłoszem*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1981, str. 140 i 34 ilustracje.

Ewa Czarnecka: *Podróżny świat. Rozmowy z Czesławem Miłoszem. Komentarze, Bicentennial (USA) 1983*, str. 388 i 17 ilustracji.

waż bezpośrednio po wojnie być w służbie dyplomatycznej Polski Ludowej było niewątpliwie zajęciem świadomie hańbiącym. Nie przez to, co tam robiłem, bo nic takiego złego nie robiłem, ale przez sam fakt. W tym okresie więzienia w Polsce były pełne ludzi, którzy byli torturowani albo odsiadali wyroki wyłączone za to, że w czasie wojny walczyli przeciwko Hitlerowi w niewłaściwym podziemiu. Była to sytuacja okropna. Byłem zupełnie świadomy diabelstwa, w które byłem przez to uplątany. I właściwie to była wyłącznie gra na zwłokę, nie wiadomo z oczekiwaniami czego; byle nie siedzieć w Polsce i nie zrywać. Ponieważ naprawdę wierzyłem, że nie mam co robić na świecie jako ten, który pisze po polsku. Ale, żeby nie było żadnych co do tego wątpliwości, bardzo surowo osądzałem te swoje manewry. Niestety, później, w momencie kiedy już nie mogłem dłużej, fałszywa ambicja zabraniała mi przyjść do Canossy, to znaczy uderzyć się w piersi i pokajać przed emigracją, bo skądinąd uważałem, że — rzeczywiście — to nie jest mój świat”.

Dodajmy nawiasem, że Miłosz odżegnuje się tu od tej emigracji, która go oszczerczo atakowała: w „Rozmowach” z Ewą Czarnecką podkreśla swój dług wdzięczności dla *Kultury*, gorąco wspomina Jerzego Stempowskiego, Stanisława Vincenza, Zygmunta Hertzę (by ograniczyć się tylko do zmarłych).

Wyznanie zacytowane powyżej nie jest odpowiedzią na pytanie zadane przez Fiuta, który jest bardziej adwokatem anioła niż diabła: Miłosz to mówi wręcz przeciw swemu rozmówcy, gdy ten (słusznie zresztą) nalega: „Zarówno Pańska twórczość jak droga życiowa dowodzą wierności pewnym zasadom”. Ewa Czarnecka jest ostrzejszym i dociekliwszym interviewerem od Fiuta: może kobiety zadają bardziej kłopotliwe pytania dlatego, że prawda o rozmówcy interesuje je jeszcze bardziej od prawdy historycznej. Oto urywek dotyczący tej samej sprawy (wyjazdu Miłosza na placówkę):

E.C.: — Czy pan był świadom, że taka transakcja to zawsze coś za coś, czy też sądził pan, że potrafi rozegrać tę grę na swoją korzyść?

C.M.: — Putrament mi powiedział: „Chcesz, no to dobrze. Ale pamiętaj, że podpisujesz diabelski cyrograf. Rozumiesz? Diabelski cyrograf!”.

E.C.: — Przynajmniej został pan ostrzeżony. I Putrament miał rację.

C.M.: — Tak, miał rację (...)

E.C.: — Czy pan wtedy chciał pojechać do Ameryki, czy też był to przypadek?

C.M.: — Niekoniecznie do Ameryki. Chciałem się gdzieś wydostać. Klaustrofobia potworna i poczucie, że w Polsce jest zupełnie

mess. Nie miałem żadnych złudzeń, przecież to w 1945 roku wyglądało potwornie: właściwie okupacja i podstawiane jakieś marionetki do rządu. Tak to wyglądało.

E.C.: — *Czy chce pan przez to powiedzieć, że wyjazd na plaćcówkę łączył się z głęboko ukrytą myślą o pozostaniu na Zachodzie?*

C.M.: — To nie było tak jasno sformułowane. Chodziło mi przede wszystkim o to, żeby się wydostać, a co dalej — to się zobaczy. (...)

E.C.: — *Jak pan przyjął memoriał wdowy po Zygmuncie Modzelewskim, Natalii Modzelewskiej, która opisała w Kulturze okoliczności pana wyjazdu z Polski po raz drugi, to jest na samym początku 1951 roku?*

C.M.: — Ja ten tekst opatrzyłem komentarzem, bo pani Natalia Modzelewska niektórych spraw nie pamięta. (...)

Powiedziała mi wtedy: „Pan zdecyduje tak, jak pan będzie uważał. Pan jest wolny. Może pan decydować, jak pan chce. Tylko niech pan pamięta, że jak pan zdecyduje się na nie, to ciąży na panu obowiązek”. „Jaki?” — zapytałem. „Żeby walczyć przeciw katowi Rosji”. (...)

Dla przyjaciół Miłosza są to sprawy znane. W prywatnych rozmowach nigdy ich nie ukrywał, ale uważam choćby powiedzenia Putramenta i Natalii Modzelewskiej (żony ministra spraw zagranicznych PRL!) za bezcenne dla przyszłego historyka Polski i komunizmu.

Zacząłem od spraw biograficznych dlatego, że obie książki raz na zawsze likwidują zatarg Miłosza z emigracją i zapobiegają pokusom krajowych ochotników na Miłoszową hagiografię. Główną ich zasługą jest jednak — już o tym napomknąłem — przekaz samego głosu poety, nigdy nie słabnącej inwencji jego rozmowy. Miłosz na nic nie ma gotowej odpowiedzi, stąd tak częste tu: „nie wiem... mnie się wydaje... bardzo dziwne... ciekawe... ja nie rozumiem, na czym to polegało...”. Wszystko co mówi jest wspaniałą improwizacją. Jedną z głównych linii podziału między pisarzami, to z mego doświadczenia skąpstwo w rozmowie („jeśli to powiem, to może już tego nie napiszę”) i szczodrość w rozmowie (w grę może tu wchodzić strach przed nudą, nieodparta witalność, zrośnięcie z myślą nie pozwalające na użycie gotowej już formuły). Myślę, że u Miłosza działa to wszystko naraz.

Poza paroma anegdotami, przekazem kilku zdarzeń, wszystko w tych książkach jest dla mnie nowe, a co najdziwniejsze, przeprowadzone w tym samym roku rozmowy z Czarnecką i Fiutem, na ten sam ostatecznie temat, nigdy się nie pokrywają, wzbogacają się wzajemnie.

Miłosz mówi Fiutowi: „Moja filozoficzność jest taka jak u pana Jourdain, który nie wiedział, że mówi prozą”.

Ale potem dodaje: „Jak jesteśmy bardzo młodzi, możemy coś zrozumieć, ale przyswoić, tak żeby przeniknęło, że tak powiem, do środka ciała, no, na to trzeba specjalnego doświadczenia. Dlatego tak dużo rzeczy spływa po nas, a bardzo niewiele zagnieżdża się”.

Gombrowicz podobne przypisywał znaczenie „zrośnięciu z myślą”, tyle że w rozmowie dawało to system zamknięty, udoskonalony, wystylizowany, oparty na przeświadczeniu, że skoro nigdy nie można być całkowicie szczerym i spontanicznym, lepiej nie próbować. Rozmowa Miłosza jest twórcza, konkret obrazu i lakoniczność wyrazu sprawiają wrażenie, że warsztat poetycki jest stale „na chodzie”, nawet gdy poeta milczy je chłodzi lub popija wino. „Polska to taka kraina wron i cierni”, powiada Miłosz. Książka Fiuta wydaje mi się szczególnie cenna, jeśli chodzi o cechy tego, co Miłosz określa jako swoje „jakby rozchwywanie narodowe”. Nie może już nazwać siebie, jak jego profesor Sukiennicki, Litwinem mówiącym po polsku, „bo takich zwierząt już właściwie nie ma”. Młode pokolenie polskie nie ma pojęcia, czym była polskość na Litwie, przywiązanie naszych ojców i dziadów do Polski, a zarazem ich niechęć, zabarwiona politowaniem, do „koroniarzy”. Żadnemu chyba polskiemu pisarzowi współczesnemu nie zawdzięczamy tak pięknych i wnikliwych stron o Norwidzie co Miłoszowi (choćby w jego „Historii literatury polskiej”). A tu nagle, w rozmowie z Fiutem: „Norwid jest dla mnie zanadto lechicki. To Lechita. Ja nie lubię Lechitów” (resztę pasjonującego wywodu niech odkryją czytelnicy). W „Rozmowach” z Fiutem Litwa obecna jest w słowie i składni, w krajobrazie i rzeczach (polecam paragraf o żagarach i szakalikach). Mówiąc o elemencie igrania w traktowaniu duchów na przełomie XVIII i XX wieku, Miłosz dodaje: „Ale głębsze pokłady Mickiewicza są zupełnie inne. To jest nasz człowiek, *savo zmogus*. *Savo zmogus* po litewsku znaczy nasz człowiek. My wierzymy w duchy, w zjawiska, bo widzieliśmy sami, że są”.

Aleksander Fiut jest znanym polonistą, czemu zawdzięczamy celne pytania dotyczące lektur i powinowactw literackich poety, Ewa Czarnecka to *rara avis*: czytelniczka obdarzona wyjątkową wrażliwością i intuicją. „Podróżny świata” jest dla mnie najlepszą książką o Miłoszu, a jestem przekonany, że zostanie jedyną w swoim rodzaju. Czarnecka świetnie znała — i podziwiała — poezję Miłosza, zanim go poznała osobiście i każda strona jej książki świadczy o tym, że powoduje nią nie „przyczynkowość”, a zwykła, osobista ciekawość, chęć lepszego poznania fascynującego ją dzieła. Stąd tyle tu pytań dotyczących poszczególnych wierszy, które każdy specjalista by chętnie postawił, gdyby nie wydawały mu się zbyt proste. Miłosz odpowiada na nie chętnie i równie prosto. Zacytuje, na przykład, ustęp dotyczący następującej strofy z „Traktatu poetyckiego”: *Waż wczoraj drogę*

przebiegał o zmroku / Starty oponą, wił się na asfalcie / A my jesteśmy i węzłem i kotem. / Dwa są wymiary. Tu niedosiegalna / Prawda istoty, tutaj, na krawędzi / Trwania, nie-trwania. Dwie linie przecięte. / Czas wyniesiony ponad czas przez czas".

E.C.: — Jak należy rozumieć „czas wyniesiony ponad czas przez czas”?

C.M.: — Najpierw jest czas tylko biologicznego trwania, potem jest czas historyczny, połączony z pamięcią, a potem — nie wiem — kontakt z Panem Bogiem, uzyskanie jakichś wartości stałych, niezmiennych, ale przez to że się tkwi w czasie (...). Bo czas to jest jedyny załóg nieśmiertelności, załóg specyfiki człowieka w porównaniu z naturą. Rzeczywiście — bez czasu i śmierci nie wiadomo, co by z nami było. Najokropniejsze rzeczy by się z nami działy (...).

„Trzy zimy” Miłosza odkryłem właściwie dopiero przekładając wiersze z tego tomu na francuski (uwzględniłem tłumaczenie za formę lektury doskonałej) i jestem dziś przekonany, że to jeden z najwyższych momentów jego twórczości: stanowi wypełnienie pustego miejsca w polskiej poezji — brak w niej Rimbauda. Oto co mówi o tym Ewie Czarneckiej Miłosz:

„Byłem pod olbrzymim ciśnieniem, gdy pisałem te wiersze. Pamiętam, że chodziłem po Paryżu nabrzmiały aż do pęknięcia, powtarzając jedną tylko linię całymi dniami, nie mogąc wyjść dalej, bo to było dla mnie tak niemożliwe do uchwycenia. Ciśnienie było takie, że aż mnie zatykało. Niesłychanie silne, dziwne przeżycie. I myślę, że właściwie warto być poetą, bo przez to doznaje się takich męczarni, ale równocześnie jak się retrospektywnie patrzy, to zupełnie niezwykle: facet chodzi po mieście i próbuje znaleźć jakąś inkantację, która byłaby na miarę jego wewnętrznych parć”.

Dla każdego miłośnika poezji Miłosza jego rozmowy z Ewą Czarnecką będą niewyczerpanym źródłem podobnych odkryć, niespodzianek, radości. Czarnecka nie poprzestała na tym i uzupełniła swe wywiady trzynastoma wnikliwymi szkicami, które skromnie nazywa „komentarzami”. Najcelniejszy jest bodaj tekst o motywie dzieciństwa w poezji Miłosza. Gdybym miał określić poezję Miłosza jednym cytatem, wybrałbym te cztery linie z „Pamiętnika naturalisty”: „Ten chłopiec”, który:

Patrzył jakby od razu rzeczy zmieniała pamięć
Odwracał się jadąc bryką bo chciał najczęściej zachować.
To znaczy zbierał co trzeba na jakiś ostatni moment
Kiedy z okrucichów ułoży świat już doskonały.

Czarnecka tego ustępu nie cytuję, ale pięknie streszcza tożsamość dziecka i dojrzałego poety: „Miłosz pod postacią dziecka jest w swojej poezji równie silnie obecny, co Miłosz-erudyta czy

Miłosz-ironista. Kiedy myślę o tej jego masce, przypomina mi się rysunek Saula Steinberga: stary człowiek trzyma za rękę chłopczyka. Obaj są do siebie bardzo podobni. Dopiero po chwili przychodzi oślnienie — ten mały i ten duży to jedna i ta sama osoba — na początku i pod koniec życia”.

K. A. JELEŃSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

CZARNECKA (Ewa). *Podróżny świata. Rozmowy z Czesławem Miłoszem. Komentarze*. Str. 389 i 3 nlb. (Wyd. Bicenennial Publishing Corporation, New York 1983).

ŻENCZYKOWSKI (Tadeusz). *Generał Grot u kresu walki*. Str. 180 i 12 nlb. (Wyd. Polonia Bookfund, Londyn 1983).

SPISKI (Piotr, opr.). *Od trzynastego do trzynastego* (Polska od 13. 12. 1981 do 13. 12. 1982). Str. 321 i liczne ilustracje. (Wyd. Polonia Bookfund, Londyn 1983).

SZCZYPIORSKI (Andrzej). *Z notatnika stanu wojennego*. Str. 139 i 5 nlb. (Wd. Polonia Bookfund, Londyn 1983).

GRYNBERG (Henryk). *Wśród nieobecnych*. Str. 61 i 3 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1983).

BUKOWSKI (Władimir). *I powraca wiatr...* Przeł. Andrzej Mietkowski. Str. 316 i 4 nlb. (Wyd. Polonia Bookfund, Londyn 1983).

CIOŁKOSZ (Adam). *Walka o prawdę. Wybór artykułów 1940-1978*. Wybór R. Ryser-Szymański. Str. 454 i 8 nlb. (Wyd. Polonia Bookfund, Londyn 1983).

ANDERMAN (Janusz). *Brak tchu. Opowiadania*. Str. 135 i 9 nlb. (Wyd. Puls Publications, Londyn 1983).

CYWIŃSKI (Bohdan). *...potęgą jest i basta*. Str. 103 i 9 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1983).

KOESTLER (Artur). *Krucjata bez krzyża*. Przeł. Gustaw Herling-Grudziński. Str. 195 i 9 nlb. (Wyd. Puls Publications, Londyn 1983).

PIŁSUDSKI (Józef). *Bibuła*. Str. 164 i 4 nlb. (Wyd. Puls Publications, Londyn 1983).

JAN PAWEŁ II. *Pokój Tobie, Polsko! Ojczyzno moja! Homilie i przemówienia w czasie drugiej apostolskiej pielgrzymki do Polski*. Str. 85 i 3 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1983).

Kalendarz młodej Polonii światowej 1984. Do nabycia przez Ewę Gierat, — „Domek”, Flanders Rd., Box 126A, Bethlehem Ct., USA lub „Węzelek” Harcerek, 47 Rutland Gate, London SW7 1PB).

PORADOWSKI (Michał, ks.). *Aktualizacja marksizmu przez trockizm*. Str. 36. (Wyd. Mysł polska, Londyn 1983, cena £1.20).

BAŁABAN (Adam). *Kosynierzy w świetle prawdy*. Str. 366 i 2 nlb. (Wyd. nakładem Autora, Nowy Jork 1979).

ŻUŁAWSKI (Zygmunt). *Od sanacji do PRL*. Str. 87 i 1 nlb. (Wyd. Polonia Book Store and Publishers, Chicago, Ill., USA).

Werbiści w Polsce. Praca zbiorowa księży werbistów, red. Roman Malek SVD. Str. 284 i 2 nlb. (Wyd. księży werbiści, Pieniężno 1982).

- MIŁOSZ (Czesław). *Hymn o Perle*. Str. 109 i 3 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1983, cena zł 85).
- ZDANIEWICZ SAK (Witold, ks., opr.). *Kościół katolicki w Polsce 1945-1982*. Str. 116 i 4 nlb. (Wyd. Pallotinum, Poznań - Ołtarzew 1982).
- RAHNER (Karl). *O możliwości wiary dzisiaj*. Przeł. Anna Morawska. Str. 262 i 6 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1983, cena zł 150).
- ZAGAJEWSKI (Adam). *Cienka kreska*. Powieść. Str. 176 i 4 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1983, cena zł 120).
- Epoka Konstytucji 3 Maja*. Materiały z sesji naukowej zorganizowanej w Uniwersytecie Warszawskim dnia 3 maja 1982 roku. Str. 89 i 3 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Stronnictwa Demokratycznego, Warszawa 1983, cena zł 50).
- Kultura i społeczeństwo* (kwartalnik Komitetu Nauk Socjologicznych PAN). Tom XXVI nr 1-2 (styczeń-czerwiec 1982), str. 289 i 5 nlb. (Wyd. PAN, cena zł 120).
- Kultura i społeczeństwo* (j.w., tom XXVI nr 3-4, lipiec-grudzień 1982). Str. 280, cena zł 120.
- Colloquia Communia* nr 2 (7), marzec-kwiecień 1983. Pismo wyd. pod patronatem Rady Naczelnej ZSP Uniwersytetu Warszawskiego. Str. 145 i 1 nlb. (Wyd. Kolegium Otryckie, Warszawa 1983, cena zł 54).
- KAROL (K. S.). *Solik. Tribulations d'un jeune Polonais dans la Russie en guerre*. Str. 411 i 9 nlb. (Wyd. Fayard, Paryż 1983, cena F. 85).
- MARTCHENKO (Borys), WOROPAY (Olexa). *La famine-génocide en Ukraine 1932-1933*. Str. 133 i 3 nlb. (Wyd. Publications de l'Est Européen, Paryż 1983).
- MOND (George H.). *Histoire et systèmes actuels de l'information à l'étranger: pays socialistes. Première partie: URSS*. Str. 101 i 1 nlb. (Wyd. Institut Français de Presse et des Sciences de l'Information, Paryż 1983).
- MINK (Georges). *L'enjeu polonais: tendances et hypothèses*. W: *Géopolitique* Nr 3/1983, str. 49. Tęgo samego Autora w *Encyclopédie Universalis* 1981 w dziale „Universalis 1981” artykuł pt. *Pologne — l'an II de la révolution* i w *Encyclopédie Universalis* 1982 artykuł pt. *Pologne — retour à la case départ*.
- TWIERDOCHLEBOW (W. J.). *Solidarność. A biblio-historiography of the Gdansk strike and birth of Solidarity movement*. Str. 72. (Wyd. Center for the Study of Opposition in Poland, Menlo Park CA, USA, 1983).
- Polish American Studies* vol. XL Nr 1, Spring 1983. Str. 104. (Wyd. Polish American Historical Ass., 1983).
- NOWAKOWSKI (Marek). *Karpfen für die Miliz. Satiren und Nachrichten*. Str. 200 i 8 nlb. (Wyd. Hanser Verlag, Monachium - Wiedeń 1983).
- BARTOSZEWSKI (Władysław). *Herbst der Hoffnungen. Es lohnt sich, anständig zu sein*. Str. 142 i 2 nlb. (Wyd. Herder, Fryburg-Bazylea-Wiedeń 1983).
- NIKOLAJEW (Ewgenij). *Gehirnwäsche in Moskau*. Str. 270 i 2 nlb. (Wyd. Forschungsinstitut für sowjetische Gegenwart, Monachium 1983, Klaus Schulz Verlag).
- MANDELSZTAM (Osip). *Izbrannaja Poezja*. Str. 190 i 2 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1983).
- ZINOWJEW (Aleksandr). *Ni swobody, ni rawnienstwa, ni bratstwa. Stati, publiczne wystupienija i otrywki iz wystupienij w 1980-1981 g.* Str. 107 i 5 nlb. (Wyd. L'Age d'Homme, Lozanna 1983).
- ZINOWJEW (Aleksandr). *Naszej junosti polot. Literaturno-socjologičeskij oczierek stalinizma*. Str. 161 i 3 nlb. (Wyd. L'Age d'Homme, Lozanna 1983).
- KAMINSKYJ (Anatol). *Kraj, emigracja i miżnarodni zakulisy*. Str. 264 i 6 nlb. (Wyd. Rada Polityczna OUNz, Manchester - München - New York 1982).

Humor krajowy

POLSKA TO DZIWNY KRAJ:

Nie ma bezrobocia, ale nikt nie pracuje;
Nikt nie pracuje, ale plan jest wykonany;
Plan jest wykonany, ale w sklepach nie ma nic;
W sklepach nie ma nic, ale ludzie mają w domach wszystko;
Ludzie mają w domach wszystko; ale wszyscy są niezadowoleni;
Wszyscy są niezadowoleni, ale wszyscy są za Solidarnością...

Wszystkie artykuły w Polsce zaopatrzone są w tzw. „metki”. Artykuły sprzedawane na Zachodzie, specjalnie z dziedziny odzieżowej, posiadają notki dotyczące składu danego materiału oraz wyjaśnienia jak należy je prać. Polskie „metki” tym różnią się od zachodnich, że wyjaśniają nabywcy „co” kupić; oto kilka takich wyjaśnień:

Krawat — zwis męski elegancki;
Slipy — trójkąt męski elegancki;
Śliniaczek — podgardle dziecięce;
Pantofle męskie — wsuwki męskie luzem;
Żyrandol — zwis 5-ciopłomienny;
Kinkiet — kula zawieszakowa górna (albo dolna);
Ścierka do kurzu — skurzawka;
Przedłużacz do kontaktu — przyłączacz obustronny wyłączany do pracy gorącej!

A oto tekst zamieszczony na odwrocie tzw. talonu na obuwie, wydawanego przez województwo stołeczne warszawskie: „Niniejszy talon uprawnia do zakupu 1 pary obuwia skórzanego lub skóropodobnego całorocznego użytku lub zimowego lub tekstylnego jesienno-zimowego w okresie od 1 października 1982 do 31 marca 1983”.

Ponieważ w tzw. krajach socjalistycznych na wszystko, co się robi, należy mieć placet z góry — należy przypuszczać, że tę nowo-mowę zaleca a może i wymyśla ministerstwo Edukacji Narodowej!

Zebrała Zofia HERTZ

HUMOR EMIGRACYJNY

DEPESZA DO JARUZELSKIEGO

Polacy z Nowego Jorku wysłali do generała Wojciecha Jaruzelskiego depeszę następującej treści:

Centralny Komitet Polaków USA przesyła na Pańskie ręce dla władz PRL entuzjastyczne gratulacje z okazji przyznania Pokojowej Nagrody Nobla wielkiemu Polakowi, przywódcy polskich mas robotniczych, niezrównanemu ambasadorowi sprawy polskiej w świecie Lechowi Wałęsie.

Wielkie wyróżnienie ponownie spotkało naród polski i wszystkich Polaków w świecie. Prosimy o przekazanie naszych słów narodowi polskiemu przez środki masowego przekazu, za co dziękujemy.

Centralny Komitet Polski USA

KRAJ — BLOK WSCHODNI

14-8-83

Warszawski *Przegląd techniczny* podaje, że w dniu 31 grudnia 1982 roku w szkołach wyższych oraz placówkach naukowo-badawczych i rozwojowych zatrudnionych było ogółem 11.504 profesorów i docentów. W stosunku do 1981 roku liczba profesorów i docentów zmniejszyła się o 207 osób. W 1982 roku nadano w kraju 442 tytuły naukowe profesora. Przeciętna roczna liczba nadanych tytułów naukowych w latach 1971-1981 wynosi ogółem 418. W 1982 roku najwięcej tytułów naukowych nadano w zakresie nauk humanistycznych — 18,3 % (81), medycznych — 17,4 % (77), technicznych — 12,7 % (56), rolniczych — 11,1 % (49), ekonomicznych — 8,9 % (38) i przyrodniczych — 7 % (31).

2-10-83

Z wypowiedzi ministra Jerzego Urbana: „Gdy idzie o proces KOR, odpowiadać będą cztery osoby: Kuroń, Michnik, Wujec i Romaszewski. Akt oskarżenia wpłynie w najbliższym czasie do sądu wojskowego. Odpowiadać będą z art. 128 w związku z art. 123 KK o przygotowanie spisku przeciwko podstawowym interesom politycznym i obronnym państwa... W procesie niektórych byłych przywódców „Solidarności” odpowiadać ma siedem osób: Gwiazda, Jaworski, Jurczyk, Modzelewski, Palka, Rozpłochowski i Rulewski. Od połowy sierpnia zapoznają się z materiałami dowodowymi sprawy. Będą oni odpowiadać z art. 123 KK za zorganizowanie spisku przeciwko państwu”. Ponadto rzecznik prasowy rządu podał, że od chwili zniesienia stanu wojennego w Polsce aresztowano 116 osób podejrzanych o popełnienie przestępstw o charakterze politycznym.

6-10-83

Dwutygodnik społeczno-kulturalny *Kamena* w Lublinie obchodził 50-lecie swego istnienia. ■ W najbliższym czasie ukaże się w Warszawie nowy tygodnik — *Odrodzenie*. Redaktorem naczelnym został mianowany Tadeusz Myślik. Ma to być pismo powołane do życia przez Radę Krajową PRON.

10-10-83

Sąd Wojskowy w Poznaniu skazał Janusza Pałubickiego, b. członka TKK „Solidarność”, na 4 lata więzienia, zredukowane do lat dwóch z mocy amnestii z lipca br. Trzej inni członkowie TKK zostali uprzednio skazani przez sądy wojskowe — Władysław Frasyniuk, Piotr Bednarz i Józef Pinior (wszyscy z Wrocławia). ■ Jak nas informują, kardynałowie Glomp i Macharski wystosowali gratulacje z powodu przyznania Lechowi Wałęsie Nagrody Pokoju Nobla do ... biskupa gdańskiego. Ponieważ Papież wysłał depeszę gratulacyjną bezpośrednio do Lecha Wałęsy, można powiedzieć, że jest to ilustracja znanego przysłowia francuskiego: *plus catholique que le pape...*

ZACHÓD — EMIGRACJA

19-9-83

W sali Bohaterów w Pentagonie (Waszyngton) odbyła się uroczystość odznaczenia Krzyżem Armii Krajowej dwóch lotników amerykańskich, którzy w czasie Powstania Warszawskiego dokonywali zrzutów dla Warszawy. Są to dwaj ostatni żyjący lotnicy z ogólnej liczby 176.

20-9-83

W Libourne (Francja) została otwarta wystawa prac malarskich p. Janiny Jasińskiej-Luterek. Wystawa wywołała duże zainteresowanie.

25-9-83

Po rocznej przerwie działalności z przyczyn od niej niezależnych, Fundacja imienia Kościelskich przyznała w roku bieżącym cztery nagrody literackie w ogólnej sumie Fr. szw. 12.000,00, które otrzymali: Stefan Chwin i Stanisław Rosiek za zbiór esejów pt. „Bez autorytetu” — Fr. szw. 3.000,00; Jan Góra za zbiór opowiadań pt. „Mój dom” — Fr. szw. 3.000,00; Antoni Pawlak za zbiór wierszy pt. „Obudzimy się nagle w pędzących pociągach” — Fr. szw. 3.000,00; Jan Polkowski za zbiór wierszy pt. „Oddychaj głęboko” — Fr. szw. 3.000,00. Z tych czterech nagród dwie zostały przyznane dzięki pomocy finansowej Polskiej Fundacji Literackiej i Kulturalnej we Fryburgu szwajcarskim.

27-9-83

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Paryżu zorganizowało odczyt Wojciecha Ziemińskiego na temat „Drogi ku niepodległości” (rodowody opozycji w Polsce 1956-1980).

2-10-83

W Londynie odbył się XXIX zjazd S.P.K. w Wielkiej Brytanii. Prezesem nowego zarządu został wybrany Czesław Zychowicz.

8-10-83

Zmarł w Londynie Kazimierz Zdziechowski, ekonomista i publicysta, współpracownik Biblioteki Polskiej w Londynie.

10-10-83

Sąd karny Trybunału Federalnego w Szwajcarii skazał Floriana Kruszyka na 6 lat pozbawienia wolności i 15 lat zakazu pobytu w Szwajcarii. Kruszyk był szefem grupy, która we wrześniu 1982 roku okupowała ambasadę polską w Bernie. Jego współnicy — Marek Michalski i Mirosław Plewiński — zostali skazani na karę 2 i pół roku pozbawienia wolności, a czwarty — Krzysztof Wasilewski na 3 lata. ■ Zmarł w Londynie w wieku 72 lat generał Aleksander Klemens Gabszewicz, pilot Polskich Sił Powietrznych. W czasie bitwy o Anglię odegrał główną rolę w polskim lotnictwie. W okresie powojennym przez 17 lat był prezesem Stowarzyszenia Lotników Polskich, a ostatnio jego honorowym prezesem. ■ Duński Komitet „Stot Solidarność” złożył na ręce Premiera Danii protest przeciwko procesom warszawskim, pod którym złożono 10.111 podpisów. Wśród sygnatariuszy byli członkowie parlamentu, przywódca duńskiej socjaldemokracji Jorgensen oraz przywódcy związków zawodowych.

12-10-83

Zmarł w Niemczech Zachodnich w wieku 61 lat dr Jiří Lederer, wybitny publicysta i dziennikarz czeski. W 1972 roku był on skazany na dwa lata więzienia za artykuły poświęcone wydarzeniom w Polsce w 1968 roku, m.in. z powodu tzw. procesu „taterników”, w 1976 roku był jednym z pierwszych sygnatariuszy Karty 77, w 1977 roku został skazany na trzy lata więzienia, a w 1980 roku wyjechał do Niemiec Zachodnich. Był wielkim przyjacielem Polski oraz Redakcji *Kultury*. W najbliższym numerze zamieścimy wspomnienie o nim.

KRONIKA FRANCUSKA

Francja obok Hiszpanii, Grecji i Turcji nie przyłączyła się do bojkotu połączeń powietrznych z Moskwą, prowadzonego przez pozostałe państwa NATO po sowieckiej zbrodni na 269 pasażerach południowokoreańskiego samolotu Boeing 747. Minister transportu, komunista Fiterman oświadczył, że rząd francuski uważa tego typu sankcje za nieskuteczne dla osiągnięcia poszukiwanego celu... Agencja TASS pochwaliła postawę Francji. Natomiast za bojkotem wypowiedział się związek zawodowy pilotów cywilnych we Francji, obsługa naziemna lotnisk, mechanicy, stewardessy, stewardzi i pracownicy zaopatrzenia. W związku z tym nie odbyła się część lotów Air France, który jako przedsiębiorstwo również nie przyłączył się do protestu innych zachodnich linii lotniczych. Stanowisko Francji w sprawie bojkotu zostało ostro skrytykowane przez opozycję. ■ Prefekt policji paryskiej nie zezwolił na manifestację w sprawie zestrzelenia koreańskiego samolotu, do której wezwał skrajnie prawicowy Front Narodowy. Również Międzynarodowe Oporu odmówiono zezwolenia na manifestację w tej sprawie. ■ Rząd francuski podjął decyzję mającą na celu zapobieżenie przybywaniu do Francji robotników cudzoziemców. Zaostrzenia dotyczą także osób przebywających nielegalnie we Francji oraz pracodawców, zatrudniających na czarno. Nielegalni imigranci będą wydalani, a pracodawcy płacić będą kary sięgające 24 tysięcy franków za każdego nielegalnie zatrudnionego. Według raportu MOP w latach 1979-1982 we Francji było nielegalnie zatrudnionych ok. 800.000-1,5 mln osób, czyli od 3-6 % czynnych zawodowo. Chodzi głównie o północno-afrykańczyków, choć w tej liczbie znajdują się również Polacy. ■ Na ulicach i w metrze paryskim zobaczyć można wielkie plakaty przedstawiające Lecha Wałęsę, nad portretem widnieje napis: „Wolność”. Plakat jest reklamą katolickiego dziennika *La Croix*. ■ W paryskiej videotecce powstał półgodzinny film przedstawiający historię KSS „KOR”. ■ Miasto Saint-Omer w Pas-de-Calais obchodziło 39 rocznicę wyzwolenia. Saint-Omer wyzwolone zostało przez 10-ty Pułk Dragonów pod dowództwem pułkownika Zgorzelskiego. W uroczystościach udział wzięli przedstawiciele Pierwszej Polskiej Dywizji Pancernej, odsłonięto tablicę pamiątkową ku czci wyzwolicieli. ■ Szóstego września odbył się w więzieniu ślub (*per procura*) Edmunda Bałuki z obywatelką francuską Françoise Breton. Françoise Bałuka jest znaną działaczką związkową, od lat występującą na rzecz sprawy polskiej. Pani Bałukowa została w grudniu 1981 roku wydalona z Polski i od tego czasu daremnie ubiega się o widzenie z uwięzionym mężem. ■ W Dunkierce Polonia zakupiła nowy dom, w którym mieścić się będzie Polski Ośrodek Katolicki (101, rue Gaspard Neuts). Dom będzie siedzibą trzech organizacji: Polskiej Misji Katolickiej, Polskich Rodzin i Amitié franco-polonaise. ■ Comédie de Paris wystawia „Zabawę” Sławomira Mrożka w adaptacji Zofii Bobowicz, reżyserii Nicole M. André. ■ Teatr Bastylli wystawił „Matkę” Witkacego. Reżyseruje Jean-Jacques Jacopin, w roli głównej Eleonora Hirt. ■ Ośrodek im. Georges Pompidou i Grupa Poszukiwań Teatralnych i Muzykologicznych przy Państwowym Centrum Badań Naukowych (CNRS) zorganizowały program audiowizualny poświęcony twórczości Tadeusza Kantora. Odbyło się również spotkanie z Kantorem, który mówił na temat: „Teatr Cricot 2 na skrzyżowaniu malarstwa i teatru”. ■ W paryskim wydawnictwie Calligrammes ukazał się album poświęcony twórczości Bruno Schulza. Album zawiera kilkadziesiąt reprodukcji oryginalnych rysunków i grafik Schulza, zdjęcia, opowiadanie pt. „Jesień” w tłumaczeniu J. Lisowskiego, wstęp Serge Fauchereau i posłowie pobra Wojciecha Chmurzyńskiego. ■ W wydawnictwie France-Empire ukazała się obszerna praca Tadeusza Wyryw pt. „La

résistance polonaise et la politique en Europe”. Pozycję tę wydano przy współpracy CNRS i Fundacji Lanckorońskich. ■ W sali parafialnej Kościoła Polskiego w Paryżu czynna była wystawa pamiątek obozowych byłych internowanych. ■ W 44-tą rocznicę agresji sowieckiej na Polskę odprawiono w Kościele Polskim mszę św. w intencji śp. żołnierzy polskich i ich dowódców poległych za wolność i niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej. Podobna uroczystość odbyła się tego samego dnia w Kościele św. Stanisława w Warszawie. ■ Również w paryskim Kościele Polskim odbył się wieczór słowno-muzyczny pt. „Wiktoria wiedeńska”. Udział wzięli: Daniel Olbrychski, Emilia Korczab, Jerzy Krąsek i Jerzy Zięcina, muzycznie opracował Ryszard Hellwing. ■ W Internacie św. Kazimierza w Vaudricourt miał miejsce Walny Zjazd Związku Harcerstwa Polskiego we Francji. Odbyły się wybory do władz Związku, przewodniczącym została ponownie druha Helena Karasińska. ■ Na spotkaniu przedstawicieli paryskiego Komitetu Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność” z przedstawicielami Unii Regionalnej CFTC (związek zawodowy katolicki) w Argenteuil w Normandii podjęto decyzję o przystąpieniu do akcji pomocy polskim więźniom politycznym. Ze strony paryskiego Komitetu Solidarności głos zabierał Piotr Chruszczyński. Na pomoc więźniom uczestnicy spotkania ofiarowali 1.100 F. ■ Przez pięć wieczorów w Teatrze Forum des Halles występowała Ewa Demarczyk. Były to koncerty z okazji polskiej wystawy w Centrum Pompidou. Szkoda, że publiczność stanowiła niemal wyłącznie zamieszkałą w Paryżu Polacy. ■ Pierwszy program telewizji francuskiej sfilmował koncert Jacka Kaczmarskiego. Koncert odbył się w lokalu paryskiego Radia Solidarność i był ostatnim występem Kaczmarskiego w Paryżu — przed koncertami w Stanach Zjednoczonych. ■ TF1 nadała wywiad z Bogdanem Lisem (już po raz drugi). Przywódca związkowy mówił o „sprawie Hardka” i o aktualnej sytuacji Solidarności w kraju. Telewizja francuska wielokrotnie nadawała wywiady z polskimi przywódcami związkowymi i działaczami opozycji. Najwięcej materiałów filmowych pokazywał program drugi: jeszcze w maju emitowano serię wywiadów na temat sytuacji w kraju ze Z. Bujakiem, K. Bielińskim, B. Geremkiem, T. Kielanowskim, E. Lipińskim, J. J. Lipińskim i L. Wujcówną. W czerwcu A2 nadała film z zebrania TTK, gdzie szefowie podziemnej Solidarności przedstawiali sytuację w regionach. Za swoją aktywność A2 zapłaciła zakazem wjazdu do Polski ekipy filmowej na czas pobytu Papieża. Ponadto oba główne programy telewizji francuskiej nadawały wielokrotnie wywiady z Lechem Wałęsą oraz migawki z różnych manifestacji. ■ W Cité Internationale Des Arts Aleksander Woroniecki — fortepian i Anatole Liebermann — wiolonczela wykonywali utwory J. S. Bacha i F. Chopina. ■ Grupa polska Stowarzyszenia św. Wincentego apeluje o nowy udział Francuzów w pomocy humanitarnej dla Polski. Stowarzyszenie prosi o zbiórki lekarstw i materiałów chirurgicznych, żywności i ubrań. Apel sygnowany jest przez prezydenta Stowarzyszenia ks. Platera-Zyberka. Skład: 7, rue de Poitiers, 75007 Paris, metro Solferino, wtorki, czwartki i soboty od godz. 11-tej do godz. 19-tej. ■ W końcu września odbyło się w Paryżu zebranie informacyjne przedstawicieli Komitetów „Solidarité avec Solidarność” z terenu Francji, Belgii, Szwajcarii i Wielkiej Brytanii. Uzgodniono zasady dalszej współpracy. W spotkaniu brał również udział przedstawiciel paryskiego Komitetu Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność” — Piotr Chruszczyński. ■ Wyróżnienie dla zachodnich dziennikarzy. Komentator *Prawdy* Jurij Kornikow oskarżył o fałszowanie obrazu Polski w zachodnich mass mediach byłego korespondenta *Le Monde* w Warszawie, Bernarda Guettę, korespondenta amerykańskiej agencji prasowej UPI oraz dziennikarzy amerykańskich *New York Times'a* i londyńskiego *Times'a*. Wyrażnie brakuje doskonałych komentarzy Guetty z Warszawy. Rozumiejący świetnie sprawy polskie Guetta został ostatnio przeniesiony

do Nowego Jorku. ■ Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu zorganizowało wieczór prof. Kamila Dziewanowskiego z Uniwersytetu Milwaukee na temat politycznego kabaretu w Polsce Międzywojennej. ■ Również Towarzystwo Historyczno-Literackie zorganizowało w gmachu Biblioteki Polskiej drugą część odczytu znanego działacza opozycyjnego Wojciecha Ziemińskiego pt. „Prądy ideowe w Polsce w latach osiemnastych” (część pierwsza, dotycząca okresu wcześniejszego, odbyła się w Domu Kombatantów). W. Ziemiński oceniając okres Solidarności, za podstawowe błędy wolnego związku uznał: 1) przegranie szansy kontrolowania gospodarki, czyli zaprzaczenie robotniczych samorządów, 2) zaprzaczenie możliwości stworzenia społecznej kontroli nad aparatem represji — Ziemiński wskazuje tutaj na niewykorzystane strajki po aresztowaniu Narożniaka, 3) przegrany dostęp do środków masowego przekazu, co można było uzyskać podczas „konfliktu bydgoskiego”. Dyskusja rozwinęła się szczególnie nad problemem samorządów. Zdaniem prelegenta zadaniem polskiego społeczeństwa na dziś jest szeroko rozumiana „solidarność narodu”. ■ Towarzystwo Historyczno-Literackie zorganizowało 10 listopada odczyt inż. Adama Tokarskiego pt. „Z historii techniki polskiej we Francji”. ■ W związku z zapowiedzianymi procesami w Polsce paryski Komitet Koordynacyjny Solidarności prowadzi rozmowy z centralami francuskich związków zawodowych w celu uzgodnienia akcji sprzeciwu wobec procesów przywódców i doradców „Solidarności”. ■ Na tradycyjnym corocznym mitingu CFTEC dużą część wystąpień przywódców zajęła sprawa Solidarności. W spotkaniu wzięł udział Sławomir Czarlewski, reprezentant Biura Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność” za granicą. Zwrócił on szczególną uwagę na zbliżające się procesy działaczy Solidarności i KSS „KOR” oraz na aktualną działalność ruchu związkowego w Polsce. ■ André Bergeron, przywódca centrali związkowej Force Ouvrière (FO) wystosował do prezydenta Francji list w sprawie zbliżających się w Polsce procesów. ■ W Paryżu odbyła się konferencja prasowa na temat pobytu delegata FO w Gdańsku i Szczecinie. Jednak głównym tematem były reakcje na wiadomość o przyznaniu Wałęsie nagrody Nobla, bowiem był to właśnie dzień ogłoszenia decyzji norweskiego Parlamentu. ■ Rzecznik rządu francuskiego Max Gallo wyraził zadowolenie z powodu przyznania pokojowej nagrody Nobla Lechowi Wałęsie. Analogicznie zareagowały wszystkie francuskie centrale związkowe z wyjątkiem komunistycznej CGT. Prasa, telewizja i radio poświęciły wiele miejsca temu wydarzeniu. ■ W sali Centre du Dialogue (23, rue Surcouf) w Paryżu Zbigniew Rapacki wygłosił drugą część odczytu na temat: „Normy polskiej racji stanu w świetle dawniejszych i bliższych doświadczeń”, ponadto odbyła się prelekcja siostry Ewy Rosier — Siedleckiej pt. „Nowa architektura sakralna w Polsce”. ■ W Paryskiej galerii Caro czynna była przez trzy tygodnie wystawa Ewy Lawrusiewicz. ■ Radio Solidarność w Paryżu istnieje już od blisko dwóch lat. W maju br., po akcji protestacyjnej ze strajkiem głodowym włącznie uzyskało od władz francuskich oficjalne zezwolenie na nadawanie swych audycji na falach UKF, 85 MHz Jest jedną z wielu we Francji wolnych radiostacji, z tym, że dysponuje jedynie dwiema godzinami codziennego programu. Oprócz problematyki „solidarnościowej” i polskiej o profilu radia stanowi zainteresowanie Europą wschodnią, Afganistanem — zarówno w sensie ścisłe informacyjnym, jak w wymiarze ogólnym: totalitaryzm, geopolityka, dezinformacja, prawa człowieka czy tematyka związkowa. Wśród tegorocznych audycji znalazły się m.in.: portret L. Kołakowskiego, rozmowa z A. Smolarem o emigracji, wywiady z P. Thibaud i regularne wywiady z przywódcami francuskich związków zawodowych. Radio Solidarność jest fenomenem, choćby dlatego, że utrzymało się tak długo opierając się na pracy wyłącznie społecznej i pomimo prawie całkowitego braku dotacji (nie licząc jednorazowej pomocy Komitetu Solidar-

ności i niektórych związków zawodowych). Nie ma też precedensu jako przedsięwzięcie skierowane w pierwszym rzędzie ku społeczeństwu francuskiemu: audycje w języku polskim stanowią zaledwie 1/4 programów. Autorzy radia żałują tylko, iż mając szanse posiadania „swojego” środka przekazu, i starsza, i nowa emigracja nie włożyły więcej serca i inicjatywy w to przedsięwzięcie. Radio Solidarność liczy na pomoc i współpracę. Adres: 66, rue David d'Angers, 75019 Paris, tel. 240 21 22. ■ Od 27 marca br. audycje Radio France Internationale w języku polskim (patrz *Kultura* nr 12/423 z 1982 roku) zostały przedłużone o pół godziny dziennie. Oprócz dziennika porannego (godz. 6.45-6.55) i audycji wieczornej złożonej z wiadomości i przeglądu francuskiej prasy (godz. 18.30-18.50) Paryż nadaje obecnie drugą audycję wieczorną o godz. 21.45, w której po informacjach i przeglądzie prasy nadawane są komentarze lub inne pozycje, jak tygodnik kulturalny, aktualności nauki i techniki, wywiady, omówienia publikacji trudno dostępnych w Polsce. Od czterech miesięcy w piątki ze słuchaczami spotyka się Kazimierz Brandys. Stały zespół polskiej sekcji RFI — 4 etatowi redaktorzy i asystentka-sekretarka — został ostatnio wzmocniony o trzech dziennikarzy. Dwaj z nich przybyli z Polski w okresie stanu wojennego, trzeci zaś przez szereg lat pracował w sekcji polskiej radia kanadyjskiego. Na dalsze rozszerzenie audycji RFI w języku polskim na razie się nie zapowiada. ■ Od września br. wznowiono po blisko czterech latach przerwy nadawanie z Paryża audycji na falach krótkich w języku rosyjskim, w wymiarze pół godzinny dziennie o 7-ej rano czasu moskiewskiego. W programie tematyka francuska i międzynarodowa. Problemy opozycji w ZSSR traktowane są z wielką powściągliwością. Współpracy nie zaproponowano żadnemu z wybitnych dysydentów rosyjskich przebywających w Paryżu. Audycje RFI są emitowane na zamówienie francuskiego MSZ i w znacznej części przez nie finansowane.

Wojciech SIKORA

Drugiego października 1983 miało miejsce w Paryżu kolejne zebranie Narodowego Kolektywu „Solidarność z Solidarnością”. Przybyło 12 komitetów. Dla porównania podajemy, że pierwsze zebranie miało miejsce w styczniu 1981, zgrupowało siedem komitetów, zaś w ciągu roku przybyło następne siedem. Po puczu Jaruzelskiego powstało ok. 80 w regionie paryskim i ok. 200 na prowincji. Obecne na zebraniu komitety skarżyły się na poważne trudności w organizowaniu konkretnych działań poparcia. Główne przyczyny to: brak jasnych perspektyw wyjścia z polskiego politycznego impasu, brak spektakularnych wydarzeń w kraju, które zmuszałyby *mass media* do mówienia o Polsce, wreszcie zmęczenie i przesyt.

W trakcie zebrania postanowiono nadać szczególne znaczenie kampanii w obronie oskarżonych członków KSS „KOR” i siedmiu przywódców związkowych, uznając, że będą to procesy przeciwko całej Solidarności, a wysokość wyroków stać się może precedensem prawnym. Zebrani dyskutowali na temat stosunków z niezależnymi od Moskwy ruchami pacyfistycznymi. Wyrażono przekonanie, że nierównomierność presji antymilitarnej na rządy dwóch bloków nie tylko stawia pod znakiem zapytania skuteczność ruchów pokojowych, lecz nawet może stworzyć warunki dla wojskowej ekspansji.

Wreszcie Komitet paryski przedstawił zebranym opracowany przez Grupę Inicjatywną projekt powołania konferencji międzynarodowej ruchów poparcia dla Solidarności i krajów wschodnich. W pracach grupy biorą udział przedstawiciele Anglii, Belgii, Szwajcarii i Francji. Pierwsze posiedzenie odbyło się w Paryżu 21-23 września tego roku. Celem konferencji byłaby: wymiana informacji, koordynacja konkretnych akcji a specjalnie: a) kam-

pania w obronie więzionych i represjonowanych, b) kampania w sprawie uwarunkowania przez rządy zachodnie kolejnych negocjacji nt. polskich długów od konkretnych kroków liberalizacyjnych reżimu polskiego, c) ustalenie wspólnej platformy poczynań wobec niezależnych od ZSSR ruchów pokojowych.

Przedstawiciele francuskich komitetów woleli odłożyć decyzję w tej sprawie, nie mieli bowiem praktycznie możliwości przedyskutowania problemów związanych z konferencją w łonie swych własnych komitetów. Tak więc dalsze prace przygotowawcze prowadzone będą przez komitet paryski i tylko w jego imieniu.

Elżbieta CIEŚLAR

KRONIKA KANADYJSKA

Imigracja, a ściślej polityka imigracyjna Kanady uzależniona jest od rynku pracy, dlatego też niektórzy utrzymują, iż w istocie nie ma polityki, a są zarządzenia ministra pracy. Jest to pogląd skrajny, niemniej jednak bliski stanowi faktycznemu. I tak nowy minister imigracji John Roberts opublikował dokument, opracowany jeszcze w czerwcu przez swego poprzednika, który zapowiada obniżenie o 25 % projektowanej poprzednio ilości imigrantów. W listopadzie ub.r. minister Axworthy przewidywał przyjęcie w 1983 roku 105.000 do 110.000 imigrantów, w 1984 roku — 115.000 do 125.000, a w 1985 roku — 120.000 do 135.000. Dokument zatytułowany „The Canadian Economy and Its Implication for Immigration” podkreśla, że wszystkie dane wskazują na to, iż bezrobocie utrzyma się na wyższym poziomie aniżeli przypuszczano i w przyszłym roku wynosić będzie 11,4 %. W tym stanie rzeczy musi się obniżyć imigrację. ■ Biuro „Solidarności”, a raczej grupa działaczy tej organizacji zaapelowało do społeczeństwa kanadyjskiego o pomoc dla członków organizacji w Polsce. Na konferencji prasowej w Toronto pp. Alicja Matuszewska, Ryszard Sawicki oraz Barbara i Zdzisław Nowakowie dowodzili, iż dziesiątki tysięcy osób związanych z „Solidarnością” pozbawionych zostało pracy. Wymienieni dysponują nazwiskami i adresami 2.000 rodzin w Polsce znajdujących się w krytycznej sytuacji i proszą o pomoc dla nich. Biuro przyjmować będzie zlecenia oraz donacje. ■ Od nocy 31 sierpnia do południa 1 września nad budynkiem konsulatu generalnego PRL w Montrealu powiewała flaga „Solidarności”, którą zawiesili „nieznani osobnicy”. ■ Manifestacja torontońska w trzecią rocznicę podpisania „Porozumień Gdańskich” zorganizowana przez Kongres Polonii Kanadyjskiej okrug Toronto oraz Centralę Związków Zawodowych wypadła błado. Na wielkim placu przed ratuszem zgromadziło się najwyżej około 500 osób, w tym przedstawiciele organizacji etnicznych i związków zawodowych. Wygłoszono wiele przemówień, lecz brakło wśród mówców reprezentacyjnych przedstawicieli stronnictw politycznych. ■ Tragiczną śmiercią zmarł 6 września w Ottawie Jerzy Anders, syn gen. Andersa. Zastrzelił go podwładny z pracy, który następnie popełnił samobójstwo. W trzy dni później zginął w wypadku na ulicy w Ottawie 47-letni dr Władysław Janusz Wrażej jr., docent wydziału medycznego University of Ottawa. ■ W bibliotece uniwersyteckiej Robarts Library w Toronto od 28 września do 21 października czynna jest wystawa „Fryderyka Chopina: jego życie i epoka”. Ekspozatę pochodzą z różnych zbiorów prywatnych oraz z Warszawy z Tow. i Muzeum Chopina. ■ Stowarzyszenie Techników Polskich w Toronto zorganizowało cykl 8 wykładów z historii i kultury polskiej dla słuchaczy młodego pokolenia polonijnego nie mającego dziejów Polski oraz dla nowo przybyłych, którzy otrzymali w szkołach zniekształcony obraz przeszłości.

Wykłady prowadzone będą w języku angielskim lub polskim. ■ Organizacje polonijne we wszystkich większych ośrodkach miejskich uruchomiły szkoły polskie, to znaczy naukę języka polskiego. Lekcje odbywają się zazwyczaj raz tygodniowo i prowadzone są przez kwalifikowanych nauczycieli i najczęściej w budynkach szkół publicznych. ■ Na uniwersytecie McGill w Montrealu odbyła się uroczystość uczczenia śp. prof. Juliusza Stachiewicza. Prelegent przedstawił osiągnięcia i zasługi Zmarłego na polu „Heat Transfer in Canada”. Ustanowiony przez Stowarzyszenie Chemików i Stowarzyszenie Inżynierów Mechaniki Medal Jules Stachiewicz przyznany pośmiertnie Juliuszowi Stachiewiczowi wręczono rodzinie Zmarłego.

B. H.

30 września 1983 r.

Z OSTATNIEJ CHWILI

29.9.1983 Francuskie Ministerstwo Oświaty wydało dekret o nadaniu Lechowi Wałęsie przez Uniwersytet Paris VIII — Vincennes — Saint-Denis tytułu doktora *honoris causa*. Uniwersytet wystosował wniosek do Ministerstwa już w 1982 roku a powyższy dekret poprzedził o kilka dni przyznanie Lechowi Wałęsie Nagrody Pokoju Nobla.

W dniach 1-2 października 1983 odbył się w Warszawie I walny zjazd adwokatów polskiej, na którym wybrano nowe władze Naczelnej Rady Adwokackiej. Dziekanem została wybrana adwokat Maria Budzanowska, posłanka na Sejm, która głosowała w swoim czasie przeciwko rozwiązaniu NSZZ „Solidarność”.

RATUJMY SACHAROWA!

Przed sześcioma laty powstał w Paryżu tzw. „Komitet Piętnastu”, którego głównym celem było działanie na rzecz umożliwienia wyjazdu ze Związku Sowieckiego osobom, które tego pragną. By skonkretyzować swoje zadania członkowie tego ugrupowania, liczącego dziś z górą 400 osób, postanowili działać w obronie piętnastu konkretnych osób w Sowietach i ich rodzin. Gdy którejs z nich udaje się opuścić Sowiety, Komitet obejmuje swym patronatem kolejną — tak, by stale mieć „pod swymi skrzydłami” 15 rodzin. Od czasu powstania Komitetu 11 rodzin objętych patronatem zdołało opuścić ZSSR.

Od 1976 roku Komitet zorganizował w sumie około 150 wyjazdów swych współpracowników do ZSSR, gdzie spotykali się oni z rodzinami więzionych i prześladowanych *otkazników* — ludzi którym władze od lat odmawiają paszportów. Po ostatnich wizytach działacze Komitetu uznali, że najbardziej dramatyczna, najbardziej nagła jest sprawa prof. Andrieja Sacharowa i jego żony, Eleny Bonner. Życie ich jest dziś zagrożone.

Od czasu głodówki, którą na przełomie listopada i grudnia 1981 roku Sacharowowie prowadzili walcząc o wyjazd ich przybranej córki do męża w USA, stan ich zdrowia bardzo się pogorszył. W ciągu ostatnich miesięcy pani Elena Bonner wielokrotnie zwracała uwagę zachodniej opinii publicznej, że mąż jej po prostu umiera i że nie jest w stanie zapewnić mu

koniecznej opieki. Członkowie „Komitetu Piętnastu” zostali poinformowani o tym w czasie ich niedawnej wizyty w Moskwie.

Prof. Sacharow uważał do niedawna, że jego działania na rzecz praw człowieka mają większe znaczenie i oddźwięk, gdy pozostaje on w ZSSR i dlatego odmawiał przyjęcia zaproszeń z Zachodu i nie zwracał się do władz sowieckich o wizy wyjazdowe.

Dziś jednak wiadomo, że państwo Sacharow są gotowi wyjechać ze Związku Sowieckiego. Zaakceptowali zaproszenia zachodnie tylko z jednego powodu — ponieważ są bliscy śmierci.

„Komitet Piętnastu” postanawia zatem przez najbliższe miesiące prowadzić działania pod hasłem *Akcja na rzecz Andrieja Sacharowa i Eleny Bonner*.

Proponowany program jest wielostopniowy. Do ambasady ZSSR uda się z petycjami szereg delegacji składających się z wybitnych przedstawicieli francuskiego świata społeczno-politycznego oraz naukowców. Jako pierwsza uda się w ostatnich dniach października grupa pięciu laureatów Nagrody Nobla, później kolejno inne.

Podstawowa akcja zacząć się ma 14 listopada o godzinie 18-tej manifestacją pod ambasadą sowiecką w Paryżu, a także w innych stolicach europejskich, m.in. w Oslo, Londynie, Waszyngtonie, Frankfurtu i Kopenhadze. Przewiduje się, że otwarcia manifestacji w Oslo dokona norweski minister spraw zagranicznych. Od 14 listopada — aż do połowy grudnia zaplanowane są codzienne „czuwania” pod ambasadą: od południa do wieczora każdego dnia szereg osób stać będzie pod sowieckimi misjami dyplomatycznymi z transparentami: „Żądamy respektowania porozumień z Helsinek, Belgradu, Madrytu!”, „Domagamy się uwolnienia Sacharowa!”, „Sacharow umiera — pozwólcie mu żyć!” itp. W związku z tym programem niezbędne jest znalezienie odpowiedniej ilości osób do tych permanentnych manifestacji.

„Komitet Piętnastu” apeluje do wszystkich, komu bliskie są ideały o które od lat walczy prof. Andriej Sacharow — wolność, poszanowanie praw człowieka, pokój — by wsparli swą obecnością te planowane przedsięwzięcia. W celu skoordynowania akcji w Paryżu i sporządzenia harmonogramu dyżurów, wszyscy chętni proszeni są o skontaktowanie się jak najszybciej z przedstawicielami Komitetu: José FERON, 25, rue des Rossays, 91600 Savigny-sur-Orge, tel. (6) 905.91.88. Zgłoszenia można też składać u Andrzeja Mietkowskiego, Międzynarodówka Oporu, 102, avenue des Champs Elysées, 75008 Paris, tel. (1) 562.86.90.

Pamiętajmy, że od nas w dużym stopniu zależy, czy rosyjski laureat Pokojowej Nagrody Nobla będzie żył. Pamiętajmy to zwłaszcza dziś, gdy polski przywódca „Solidarności” został uhonorowany tą samą nagrodą, co 8 lat temu Sacharow.

Andrzej MIETKOWSKI

(Międzynarodówka Oporu, Depart. Europa Wschodnia)

Ś. † P.

JANUSZ PRAWDZIC-SZLASKI

PULKOWNIK WP

ŻOŁNIERZ AK, PSEUDONIMY „BORSUK” I „PRAWDZIC”

legionista, peowiak, organizator i komendant AK na województwo nowogrodzkie, więzień sowiecki i bezpieki PRL, kawaler Orderu Virtuti Militari V kl., odznaczony Krzyżem Niepodległości, Krzyżem Walecznych, Krzyżem AK, zmarł 23 sierpnia 1983 r. w Londynie.

ŻONA,

RODZINA W KRAJU I ZA GRANICĄ

Listy do Redakcji

Floryda, 16 września 1983.

Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł p. W. Rostafińskiego w *Kulturze* za lipiec/sierpień 1983 na temat wyrazów obcych w języku polskim bardzo interesujący i potrzebny. P. W. Rostafiński zauważył tylko dwa rusycyzmy: dacza i chałtura. Jeżeli się czyta krajową prasę i zna rosyjski, widzi się, jak bardzo polski jest zachwaszczony! Język rosyjski uchodzi za jeden z bogatszych języków. Ale można jednak zauważyć, że co 4 słowo jest pochodzenia obcego (łacina, francuski — np. garmanżeria). Obce wyrazy przyszły do Polski przeważnie z Rosji razem z rusycyzmami.

Zacznijmy od rusycyzmów (cytuję z prasy krajowej): nieudacza, nieudacznik, nieudaczność = pech, pechowiec, pechowość (M. Radgowski ex z *Polityki*). Draka, uwidim (*Stolica*), szantrapa (*Przekrój*), wsio, osobaczyc, chłam, rozliczne (np. „tłumaczone na rozliczne języki”), dokaż (= udowodnij), smykałka, barachło, perypatki itd., itp.

Wyrazy które przyszły z Rosji a są obcego pochodzenia, np. perturbacje, spec, pryncypialny, pryncypia, suweniry (na polskiej granicy celnicy pytają: „Ma pan suweniry?”), pakiet, chuligan itd. Polacy oraz prasa krajowa nagminnie używają całych powiedzonek rosyjskich, np. „jestem w kursie” (czyli „zakończyłem”), „jestem w tej sprawie zorientowany”, „podłożyć komuś świadeł”, „zaklepać” (np. temat). Zamiast powiedzieć „w takiej sytuacji” użyć „złoty problem” — „złota sytuacja”. Podobnie „złożony problem” — „złożona sytuacja”. Inny rusycyzm, bardzo dziś popularny, to „nawis inflacyjny” — z rosyjskiego „nawies”.

Do tego wszystkiego dochodzą jeszcze wymyślone przez polskich producentów „nowości”:

Np. z okulistyki: „badanie oka na zbliż!” Jest tego mnóstwo. Czyli ZŁOŻONOŚĆ problemu.

Łączę pozdrowienia

B. WOJAS

Toronto, 10 sierpnia 1983.

Szanowny Panie Redaktorze,

Będę wdzięczna za zamieszczenie w listach do Redakcji uwag, jakie mi się nasunęły po przeczytaniu w *Kulturze* Nr 6/429, 1983 r., artykułu prof. E. Możejki o polonistyce północnoamerykańskiej.

„Uderz w stół”

Sally Boss, autorkę „Sławistyki nie rosyjskiej” (*Kultura*, wrzesień 1982), prof. Krzyżanowskiego oraz innych, którzy zabierali głos w sprawie stanu sławistyki-polonistyki na uniwersytetach amerykańskich i kanadyjskich — gdzie sytuacja jest może nie identyczna, ale bardzo podobna — można uważać za osoby, które, mając nieraz różne, wręcz kranicowo odmienne poglądy, mają wspólną troskę — sprawę nauczania polonistyki na tym północno-amerykańskim kontynencie.

P. Boss jest chyba pionierką, a jej artykuł to przysłowiowy kij w mrowisku. Chciałabym do tego mrowiska wstawić i własny „kijek”, jako że mam za sobą trzy lata studiów sławistycznych — literatura rosyjska i polska — na uniwersytecie w Toronto, co mi dało pewne osobiste doświadczenia.

Dobrze się stało, że prof. Możejko zajął się w swym artykule sprawą polonistyki na uniwersytetach kanadyjskich. Krytyki p. Boss nie uważam za niesłuszną czy przesadzoną, ponieważ na własnej skórze doświadczyłam zawodów i rozczarowań w tej dyscyplinie naukowej. Wobec czego pozwałam sobie na zabranie głosu w dyskusji, jaką jej artykuł wywołał.

Pierwszym rozczarowaniem, jakie mnie spotkało, był angielski język wykładowy; dotyczyło to zarówno polonistyki, jak i rusycystyki. Nie jest tak jednakże z germanistyką, której wykłady są w języku niemieckim.

Zalecana lektura na tych studiach sławistycznych jest też w języku angielskim. Nietrudno ją otrzymać, ponieważ większość arcydzieł literatury rosyjskiej jest dawno przetłumaczona, łącznie z *Sołżenicynem* i *Nadzieją Mandelsztam*. Dużo gorzej przedstawia się nasz dorobek literacki w tłumaczeniach. Prof. Miłosz, żeby udostępnić swym słuchaczom lekturę arcydzieł polskich, wydał antologię poezji polskiej po angielsku, która oczywiście nie objęła całego bogactwa twórczości polskiej. Z tłumaczonej prozy zapamiętałam „*Lalkę*” Prusa i „*Nienasytę*” Witkiewicza. Tego ostatniego tłumaczył prof. L. Iribarne z Uniwersytetu w Toronto. Pracował nad nim 10 lat i rzekł się dalszych tłumaczeń. Wobec nieopłacalności tych tłumaczeń nie można mu się dziwić. Wypada tu również wspomnieć prof. Daniela Geroulda z City University of New York, który udostępnił swym słuchaczom wiele polskich utworów dramatycznych Gombrowicza, Wyspiańskiego i Witkacego.

Zarówno prof. Iribarne jak i Gerould byli słuchaczami prof. Miłosza i jego zasługą jest, że rozniecił w nich isierkę polszczyzny.

Z powyższych wykładów nikt, albo mało kto wyniósł korzyści językowe. Na wykładach z literatury rosyjskiej prace piśmienne oddawałam w języku rosyjskim i angielskim, u prof. Iribarne, za jego zgodą, pracę końcową napisałam po polsku. To było moje pierwsze rozczarowanie. Drugim była znikoma ilość słuchaczy. Na literaturze rosyjskiej było ich z reguły dwa siedmiory, na rosyjskim można się było spodziewać piętnastu. Naturalnie ilość słuchaczy często była zależna od atrakcyjności wykładu. Prof. Iribarne, podówczas jeszcze lektor, był zagrożony zamknięciem katedry i tylko energiczne kroki ze strony jego słuchaczy tę katedrę uratowały. Z pomocą przyszedł Polski Fundusz Millenijny, który do dziś wpłaca rocznie na ten cel 10 tys. kan. dolarów.

Czyja w tym wina? Na pewno nie prof. Iribarne ani prof. Hanny Markowicz w Toronto (język polski), ale słabego zainteresowania ze strony polskiej. Większość Polaków w drugim pokoleniu zna jako tako polski i potrafi się w tym języku porozumieć (z mniejszymi lub większymi błędami). Wybierają polski, bo im najłatwiej z tego przedmiotu otrzymać tzw. kredyty, czyli stopnie, zaliczane do ukończenia studiów. Im więcej tych kre-

dytów robią, i to łatwiejszym kosztem od innych przedmiotów, tym dla nich wygodniej. Nie myślą oni o swym przyszłym zawodzie lekarza czy adwokata, jak to chciałby widzieć prof. Możejko. Tak więc czyste wyrachowanie, a nie zainteresowanie decyduje o wyborze przedmiotu. Zapewne tak samo jest z językiem rosyjskim, na który, jak się zorientowałam, chodzą przeważnie Ukraińcy.

Na cóż może im się przydać język, czy literatura, kiedy w życiu codziennym nie mają praktycznego zastosowania?

I tu dochodzę do sedna sprawy — znajomość własnej literatury czy języka doceniają nie tylko ludzie wykształceni, ale przede wszystkim ludzie przywiązani do własnej kultury, a takich na emigracji jest niewiele. Dla drugiego pokolenia Polaków, które najchętniej i najłatwiej czyta po angielsku, została wydana w roku 1981 przez Federację Polek w Kanadzie książka prof. Ignacego Wieniewskiego w tłumaczeniu angielskim „*The Foundations of Polish Culture*”. Książka niewielka i niedroga, 7 dolarów, na którą może sobie pozwolić każdy chętny do zapoznania się z kulturą kraju, z którego pochodzi jego rodzice i dziadowie.

Aniela LEPSZY

15 października 1983.

Drogi Panie Redaktorze,

Klempski w swoim artykule (zresztą bardzo słusznym) traktuje na jednej płaszczyźnie „powszechną delegalizację” Solidarności z ludobójstwem dokonanym przez Niemców na polskich Żydach. Więcej: uważa „obojętność” na pierwsze za bardziej karygodną od obojętności na drugie. Zabrakło mu wyobraźni: nie poczuł swędu i smrodu dziesiątek tysięcy (w getcie), milionów (w obozach) żydowskich trupów.

Uważam za swój moralny obowiązek zwrócić na to w *Kulturze* uwagę.

Łączę wyrazy szacunku i serdeczny uścisk dłoni!

K. A. JELEŃSKI

22 września 1983.

Drogi Panie Redaktorze!

We wrześniowym numerze *Kultury* (1983) Redakcja wysunęła pewne wnioski dotyczące sytuacji w Kraju. Wynika z nich, że w dążeniu do wyzwolenia trzeba przestać liczyć na innych i należy przejść do zorganizowania podziemia w celu wszczęcia upartej walki, przede wszystkim o uwolnienie przywódców politycznych, którzy w więzieniach czekają na procesy.

Nasuwa się logiczne pytanie: jaka ma być ta walka, skoro Redakcja wykłucha „samobójcze koncepcje rewolucji czy przewrotu”?

Czy ma to być nadal walka słowami, czy także czynami kosztującymi więcej niż „dwie krople krwi”?

Niektóre sytuacje wymagają postawienia kropki nad i.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Adam NASIELSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

Paryż, 7 października 1983.

W 219 numerze *Narodowca* (z 21 września 1983) redakcja zamieściła Oświadczenie Kongresu Solidarności Narodu (KSN) pt. „Być zwyciężonym i nie ulec to zwycięstwo”, z komentarzem naczelnego redaktora pisma, p. Michała Kwiatkowskiego. P. Kwiatkowski ostro atakuje autorów oświadczenia za odwołanie się do kultu Józefa Piłsudskiego oraz do idei Polski niepodległej, połączonej silnymi związkami z suwerenną Białorusią, Litwą, Ukrainą i południowymi sąsiadami. Co do Piłsudskiego p. Kwiatkowski pisze: „...wprowadził ustrój przypominający trochę obecny ustrój Jaruzelskiego...”, i zastanawia się dalej: „...Jak bowiem zwalczać na serio jedną sfałszowaną i dyktatorską Konstytucję w imię drugiej, sfałszowanej i dyktatorskiej Konstytucji i chcieć, bez ośmieszenia się, zastąpić żyjącego, dyktatorskiego generała... przykładem nieżyjącego, dyktatorskiego marszałka. Czyżby dlatego, że jeden doprowadził Polskę do klęski wrześniowej, a drugi do klęski grudniowej...”. By się nie ośmieszać zostawmy tę wypowiedź bez komentarza.

Jeśli chodzi o drugą sporną kwestię, p. Kwiatkowski polemizuje w ten sposób: po pierwsze retorycznie pyta, jak można taką Polskę osiągnąć ... „skoro nie potrafią [autorzy deklaracji — przyp. W.S.] nawet uwolnić psiej budy w Warszawie. Może cudem...”. I po drugie, twierdzi p. Kwiatkowski, taka Polska (niepodległe państwo polskie z silnymi związkami z ULB) jest Polską, na którą Andropow i Jaruzelski gotowi się zgodzić, albowiem w tym układzie właśnie Rosjanie byłiby najsilniejsi, o co wspomnianym dwóm panom właśnie chodzi... Pierwszym argumentem zapewne lepiej zajmą się zainteresowani warszawiacy, warto natomiast przypomnieć panu Kwiatkowskiemu, iż był taki czas, kiedy Ukrainę zamieszkiwali Ukraińcy, Białoruś Białorusini, a Litwę Litwini. Ale być może tego wcale nie warto przypominać, bowiem żeby zapomnieć, trzeba najpierw wiedzieć... Z poglądami pana Kwiatkowskiego specjalnie polemizować nie warto, nie są one na szczęście niebezpieczne i chyba wystarczy samo ich odnotowanie. Niebezpieczne i szkodliwe są natomiast insynuacje zawarte w jego komentarzu. Otóż zaznacza on wyraźnie, że tekst oświadczenia KSN przekazał mu wraz z prośbą o opublikowanie znany działacz Solidarności Mirosław Chojecki. Jednocześnie, po przeprowadzeniu druzgoczącej analizy poglądów autorów deklaracji p. Kwiatkowski sugeruje, iż być może jest to fałszywka sfabrykowana przez bezpiekę i tylko jej rozpowszechnianie tego oświadczenia jest na rękę. Ergo, znany działacz Solidarności przekazał patriotom z *Narodowca* fałszywkę!

Oczywiście deklaracja KSN „Być zwyciężonym i nie ulec to zwycięstwo” fałszywką nie jest.

Wojciech SIKORA

DOBREJ NIEGDYŚ GŁOWY MĘTLIK

Dziękuję p. Jackowi Bierezinowi za artykuł „Przypadek nieuleczalny” (*Kultura* nr 7/8, 1983). Dawna działalność pisarska J. Giertycha, płodnego publicysty, a zwłaszcza jego prace z historii „Polityki Polskiej” — udokumentowane i rozsądne, mimo patronowania niesławnej książce O. Warszawskiego o religijności Piłsudskiego, nie nastrojały zastrzeżeń. Uprzejmie interweniowałem w pomyślnym polskim Londynie, na moją prośbę, gdy pe-

wien „minister” i pewien kawalerzysta przyaresztowali moją książkę w drukarni niejakiego Garby. O jego „Liście otwartym” i podróży do kraju słyszałem niewiele. Giertych jest na bocznych torze wieku własnego i XX i wybrał fatalną drogę politycznego, ostatniego błysku. Nie rozumie, że Polska w kajdankach upatruje rozsądnej, patriotycznej rady — co robić? — od emigracji. 40 lat okupacji wprowadziło zamęt w głowy inteligencji technicznej, gdy inna niemal została wytrzebiona. Niedawno słuchałem, jak doktor i magister i inżynier nie odróżnili gen. Kutrzeby od niemieckiego gen. Kutschery. Czterech księży, przysłanych z Polski — nazwiska władzom kościelnym na żądanie — plecie głupstwa UB na temat podziemia. Jak ci ludzie, znękani, okłamani, zdradzeni, nieraz obici — mają przyjmować rady Giertycha z Londynu? Był czas, że utytułowani głupcy zastanawiali się w Londynie nad statusem obecnej Polski. „Ograniczona suwerenność”, „wschodnia niepodległość”, „prowincja”? Faktem jest okupacja, wykonywana przez agenturę Jaruzelskiego, biegunowo odległa od wykonywanej przez gen. Zajączka za Aleksandra I. Określenie jaruzelszczyzny jako akcji „patriotycznej, stosowanej w polskim interesie”, jest przyjęciem sowieckiej agentury przez Giertycha. To, że Jaruzelski nosi 4 gwiazdki, a nie buławy wiele nie znaczy, bo wisieleczy humor Warszawy rzekłby, że nosi na naramiennikach kije ZOMO. To, że Giertych jest katolikiem też nic nie znaczy, bo pamiętamy Szczęsnego Potockiego i hetmana Branickiego. List Giertycha to dezinformacja na skalę zachodnich reporterów, dążących za sensacją i mało rozumiejących. Giertych służy Sowietom z przekonania, lub bez, ale jest nieobliczalnym szkodnikiem.

Jest rozsądną koniecznością dogadanie się Polski z Rosją, ale nie przez pośrednika w mundurze nihi-polskim, oczywistego „papa”, czyli pełniącego obowiązki Polaka. Jesteśmy rozwarstwieni, zostaliśmy pozbawieni ogromnego procentu inteligencji w Katyniu i w wojnie i w więzieniach, ale to nie powód, by wyśpiewywać pochwały nowemu Murawiewowi, Nowosilcowowi i Apuchtinowi!

Spółczesność polskie na emigracji nie lubi czytać i nie rozumie się na chronologii. W kraju czytają zachłannie, ale dostają sieczkę z „mowy-trawy”.

Muszę skończyć oświadczeniem, ponieważ Giertych jest narodowcem, endekiem, członkiem Stronnictwa Narodowego, które miało niegdyś wspierać, naprawdę patriotyczne osiągnięcia. W latach 1940-1943 byłem w dowództwach organizacji narodowych w podziemiu (w NOW i NSZ), by je oddać do dyspozycji Naczelnego Wodza i Prezydenta RP w Londynie. Dokonałem tego w lutym 1944. Opisałem to dość mocno w książce „O Narodowych Siłach Zbrojnych”, która wyszła w kwietniu w Londynie.

Nie należałem do politycznego kierownictwa w żadnej z wymienionych organizacji. Nie należę do żadnego stronnictwa, partii ani uroczystej kanapy wzajemnej adoracji. Myli się Z. Siemaszko, wpisując mnie na listę razem z Dłużewskim, Kamińskim etc. Nie chcę jednak, by moje nazwisko było wymieniane jednym tehem obok Giertycha, po jego dość starym — lat sześć — popisie myślenia nie-politycznego!

Bardzo mi przykro, ale Giertycha przypadek jest nieuleczalny.

Stanisław ŻOCHOWSKI

Stanisław Merko, Wavre (Belgia) — zamiast kwiatów na grób śp. dr. Krzysztofa Wize, zmarłego w Wiedniu, ekonomisty, profesora „Uniwersytetu Merly” w obozie jenieckim Oflag III (Woldenberg - Dobiegniewo), kolegi „wrześniowca” i współpracownika PAIRC w Europie	F. 100,00
Polish-Canadian Action Group — Solidarność i Niepodległość — Toronto, Ont. (Kanada) — (nadesłał skarbnik Ryszard Kenny-Krajewski) — \$ c. 1.000,00	F. 6.400,00
Wojciech Szczygalski, Zurych — na pomoc dla uwięzionych i działających w podziemiu członków „Solidarności” — Fr. szw. 30,00	F. 113,00
Szwajcar z Zurychu — Fr. szw. 37,00	F. 139,00
Związek Weteranów Polskich im. Marszałka Józefa Piłsudskiego, Montréal, Qué. (Kanada) — na pomoc rodzinom jeszcze uwięzionych w Polsce członków „Solidarności”	F. 6.400,00

WPŁATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ

E.M., Paryż — na pomoc dla prześladowanych w Polsce	F. 200,00
Albin Katz, Bat-Yam (Izrael) — na pomoc dla więźniów politycznych i ich rodzin	F. 175,00
Józef Kunc, Long Beach, CA (USA) — na Fundusz Obrony Społecznej, po raz 21-szy — \$ 50,00	F. 400,00
George Orick, USA — \$ 50,00	F. 400,00
Sara Petrasso, Arlington, MA (USA) — zamiast kwiatów na grób Walerego Starczewskiego — na pomoc rodzinom prze- śladowanych w Kraju — \$ 100,00	F. 800,00
Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Manitoba (Kanada) — \$ US 100,00	F. 800,00
Dr Zygmunt Stankiewicz, Sztokholm — Krs 100,00	F. 100,00
W Redakcji <i>Listów do Polaków</i> złożyli na rzecz ukrywających się przed reżymem patriotów polskich: J. Harasiuk — \$ 10,00 i A. Nowicki — \$ 5,00 (obydwaj z Stevens Point, WI (USA) — \$ 15,00	F. 120,00
Jan Nowak, Annandale, VA (USA) — na Fundusz Drukarzy im. Władysława Głowackiego — \$ 50,00	F. 400,00
NN, USA — na obronę uwięzionych członków KOR-u — \$ 10,00	F. 80,00
Na 14-te urodziny Joanny Koraszewskiej w dniu 29 paździer- nika — zmarłej 3 września 1983 r. — zgodnie z Jej poczuciem wolności i godności osobistej — na obronę uwię- zionych w Polsce KOR-owców i Solidarnościowców — przesyła Babcia	F. 500,00

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 4^e trimestre 1983.

Imprimé en France

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (3) 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
ARGENTYNA: «Liberia Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel. 29 1248	\$ A. 5,50	\$ A. 30,00	\$ A. 56,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, 1011 Wien, Schön- laterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14. Tel. 52-60-175	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
BELGIA: Maria Rondonowska, 132, Avenue Coghen, 1180 Bruxelles. Tel.: (2) 345 08 25. Konto 310.0334324.51 w Banque de Bruxelles	F.B. 300,00	F.B. 1300,00	F.B. 2600,00
BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czeków do adminis- tracji «Kultury»	\$ US 5,00 F. 36,00	\$ US 28,00 F. 200,00	\$ US 52,00 F. 380,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd .. FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księ- garniach polskich w Paryżu	F. 36,00	F. 200,00	F. 380,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B 4 Vliissingen. Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176 .. IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel. 621311	Fl h 15,00 F. 36,00	Fl h 80,00 F. 200,00	Fl h 145,00 F. 380,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man R2V 2P2. Tel. 339-5577; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin Lopuszański, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; «Polish Voice Publishing» Co., 1089 Queen St. W Toronto 145 Ont Polish Alliance Press, Ltd. («Związkowiec»), 1638 Bloor St., w., Toronto, Ont. M6P 1A7	\$ Can. 6,00 DM 12,00 F. 36,00	\$ Can. 35,00 DM 70,00 F. 200,00	\$ Can. 60,00 DM 130,00 F. 380,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1. NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss. ... SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431. SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel. (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34-6. U.S.A.: S. Dobczyński, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel. 475-8886; Ada Dziewa- nowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego, Cal. 92104. Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725 - 17th St., N.W. Washington D.C. 20009; H. Kosciuch, 41963 Utica Rd., Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Mil- waukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel. (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel. (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38-th Street, New York, N.Y., 10018. Tel. [212] 354-0492	F.S. 10,00 F. 36,00	F.S. 60,00 F. 200,00	F.S. 110,00 F. 380,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Ken- way Rd., London SW5. ORD. Tel. (01) 370 2210 .. WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel. 75-67-241	\$ US 5,00 F. 36,00	\$ US 28,00 F. 200,00	\$ US 52,00 F. 380,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 380; półroczna — F. 200.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 4,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 380 — ZBIGNIEW HERBERT

RAPORT Z OBLĘŻONEGO MIASTA

Nowy tom wierszy znakomitego polskiego poety.

Str. 88.

Cena F. 40,00.



TOM 381 — SERIA „DOKUMENTY”

PRAWA CZŁOWIEKA I OBYWATELA W PRL W OKRESIE STANU WOJENNEGO

(13. 12. 1981 - 31. 12. 1982)

Opracował Zespół Redakcyjny Komitetu Helsińskiego w Polsce.
Z upoważnienia: Zbigniewa BUJAKA, Bogdana LISA, Władysława
HARDKA, Józefa PINIORA, Eugeniusza SZUMIEJKI.

Str. 224.

Cena F. 75,00.



TOM 382

ROZMOWY NIEKONTROLOWANE ROZMOWY NIEKONTROLOWANE ROZMOWY NIEKONTROLOWANE

Rozmowy przeprowadzone w okresie od maja do końca listopada 1982 roku z 16-toma przedstawicielami polskiej inteligencji w kraju, które są świadectwem prawdziwych odczuć doznawanych w poszczególnych miesiącach stanu wojennego.

Str. 246.

Cena F. 75,00.



TOM 383 — MAREK NOWAKOWSKI

NOTATKI Z CODZIENNOŚCI

Nowy tom autora **Raportu o stanie wojennym**, dotyczący życia w kraju po zniesieniu stanu wojennego.

Str. 156.

Cena F. 50,00.